Harry Harrison Przestrzeni! Przestrzeni!

. prolog .

W grudniu 1959 roku prezydent Stanów Zjednoczonych, Dwight D. Eisenhower, stwierdził: Tak długo, jak ja jestem na tym stanowisku [...I ten rząd [...I nie uzna sprawy kontroli urodzin za problem; który winien zostać objęty nasza polityką i rozwiązany. To nie nasza sprawa. Żaden rząd amerykański od tamtych czasów nie uznał tego za swoją sprawę.

W 1950 roku Stany Zjcdnoczone - skupiając zaledwie 9% światowej populacji - konsumowały 50% światowego wydobycia surowców. Ten procent rośnie i, jeżeli utrzyma się na obecnym poziomie wzrostu, to za piętnaście lat Stany Zjednoczone będą zużywały ponad 83% rocznego wydobycia bogactw ziemi. Przy końcu stulecia, jeśli liczba mieszkańców Ameryki będzie wzrastać w tym samym tempie, kraj ten będzie potrzebował ponad 100% wszystkich pozyskiwanych na Ziemi kopalin tylko po to, by utrzymać swój standard życiowy. Jest to matematyczna niemożliwość - pomijając już nawet i to, że na świecie będzie wówczas około siedmiu miliardów ludzi, którzy zapewne też będą chcieli mieć nieco surowców dla siebie. A wówczas, jaki będzie ten świat?

Poniedziałek 9 sierpnia 1999 r.

Nowy Jork - wyłudzony od łatwowiernych Indian przez przebiegłych Holendrów, odebrany miłującym prawo Holendrom przez wojowniczych Brytyjczyków, wyrwany z kolei pokojowo nastawionym Brytyjczykom przez zrewolucjonizowanych kolonistów. Rosnące tu niegdyś drzewa spłonęły już dziesiątki lat temu, wzgórza wyrównano, a zbiorniki wodne osuszono i zasypano, kierując kryształowo czyste źródła prosto do kanalizacji. Wyciągając coraz dalej z macierzystej wyspy macki urbanizacji, miasto stało się megalopolis. Cztery z jego pięciu dzielnic pokryły połowę jednej, na ponad sto mil długiej wyspy, objęły swym zasięgiem jeszcze jedną wyspę i wraz z biegiem rzeki Hudson dotarły do macierzystego kontynentu Ameryki Północnej. Piąta i najważniejsza dzielnica to Manhattan: płyta z pierwotnego granitu i skał metamorficznych, otoczona ze wszystkich stron wodą, jak stalowo - kamienny pająk przyczajona pośrodku sieci mostów, tuneli, przewodów, linii metra i połączeń promowych. Nie będąc w stanie rozrastać się już na powierzchni ziemi, Manhattan zaczął żywić się własną tkanką, burząc stare budynki, by zastąpić je nowymi, wyrastając wyżej, coraz wyżej i nigdy dość wysoko, w miejscu tym bowiem zdają się nie istnieć granice ścisku, zupełnie jakby nic nie było w stanie powstrzymać nieustannie napływających zewsząd mas ludzi. Zakładają tu rodziny, a dzieci ich i dzieci ich dzieci czynią to samo, aż miasto staje się z wolna molochem nie mającym w całej historii świata równego sobie pod względem liczby ludności.

Tego upalnego sierpniowego dnia roku 1999 w Nowym Jorku mieszka, z dokładnością do kilku tysięcy, trzydzieści pięć milionów ludzi.

następny

Harry Harrison Przestrzeni! Przestrzeni!

. 1 .

Wpadające przez otwarte okno sierpniowe słońce przypalało nagie nogi Andrew Ruscha tak długo, aż niewygoda wyrwała go z głębokiego snu. Powoli zaczął zdawać sobie sprawę z gorąca i z tego, jak zmięte i przepocone jest prześcieradło, na którym leży. Przetarł sklejone powieki, lecz nie wstawał jeszcze, wpatrywał się tylko w popękany, pełen plam i nacieków sufit. W pierwszej chwili niezbyt wiedział, gdzie się znajduje, na wpół obudzony na nowo rozpoznawał pokój, w którym mieszkał już od ponad siedmiu lat. Ziewnął, spojrzał na leżący na krześle obok łóżka zegarek i od razu poczuł się lepiej. Ziewnął raz jeszcze, przyglądając się przez porysowane szkiełko wskazówkom. Siódma... siódma rano, zaś w kwadratowym okienku widniała mała cyfra 9. Poniedziałek, dziewiąty sierpnia 1999 roku, już od rana upalny; fala gorąca, która trzyma Nowy Jork w swym obezwładniającym uścisku od dziesięciu dni, nie ustępowała. Podrapał się z boku, w miejscu gdzie pot dał mu się we znaki, po czym usunął nogi ze smugi światła i skłębił poduszkę pod karkiem. Z drugiej strony cienkiego przepierzenia, które dzieliło pokój na dwoje, rozległo się najpierw pobrzękiwanie, potem wizgot przechodzący szybko w wysoki pisk.

- Dobry... - krzyknął poprzez hałas i rozkaszlał się. Wciąż kaszląc, wstał niepewnie i podszedł do ściennego zbiornika, by utoczyć szklankę wody; pociekła cienkim, brązowawym strumykiem. Wypił ją i postukał knykciami w miernik poziomu, aż ten podskoczył, zawahał się i opadł w pobliże napisu: Pusty. Zbiornik wymagał napełnienia i Andy będzie musiał dopilnować tego, nim wyjdzie o czwartej na służbę. Dzień się zaczął.

Przysunął twarz do wielkiego pękniętego lustra pokrywającego cały fronton szafy i potarł szczeciniasty policzek. Trzeba będzie się jeszcze ogolić przed wyjściem. Nie należy spoglądać na siebie wcześnie rano, gdy jest się nagim i wystawionym na ciosy, pomyślał, z niesmakiem przyglądając się chorobliwej bieli skóry i krzywym nogom, które zwykle w spodniach wyglądały nie najgorzej. Jak udało ci się osiągnąć stan, w którym żebra sterczą jak u głodującej szkapy, a brzucho rośnie coraz większe? Uszczypnął miękką skórę, dochodząc do wniosku, że musi to być wynik diety skrobiowej i przesiadywania w tej klitce. Jedno co dobre, to że tłuszcz nie pojawił się na twarzy, chociaż, niestety, czoło co roku było wyższe - nie było to zbyt widoczne, jak długo krótko przycinał włosy. Dopiero co przekroczyłeś trzydziestkę, pomyślał, a już robią ci się worki pod oczami. I masz za duży nos; czy to nie wujek Brian powtarzał zawsze, że to przez walijską krew w rodzinie? Zaś uzębienie masz

po wilkach i gdy się uśmiechasz to wyglądasz jak rozradowana hiena. Przystojny z ciebie diabeł, Andy Rusch, lecz czy możesz powiedzieć mi, kiedy ostatni raz miałeś randkę? Skrzywił się do siebie i poszedł poszukać chustki, by wytrzeć swój imponujący walijski nos.

W szufladzie została już tylko jedna para czystych gatek; założył je stwierdzając, że oto jest kolejna rzecz, którą musi dzisiaj zrobić - pranie. Pisk za ścianką działową nie ustawał. Andy pchnął drzwi łączące pomieszczenia.

- Nabawisz się choroby wieńcowej; Sol - powiedział do siwobrodego mężczyzny, który, usadowiony na pozbawionym kół rowerze, pedałował zapamiętale, strużki potu ściekały po jego piersi, wsiąkając w owinięty wokół bioder ręcznik.

- Nie grozi - wydyszał Salomon Kahn, miarowo poruszając nogami. - Robię to codziennie od tak dawna, że moje serducho z miejsca by zaprotestowało, gdybym przestał. A odkąd nie stać mnie na papierosy, za którymi wcale zresztą nie tęsknię, nie grozi mi rak narządów, zaś regularne dawki alkoholu przemywają mi arterie z cholesterolu. Na dodatek w wieku lat siedemdziesięciu pięciu nie muszę obawiać się prostaty, ponieważ...

- Sol, proszę, oszczędź mi tych wszystkich szczegółów na pusty żołądek. Nie masz może odrobiny lodu?

- Weź dwie kostki, jest naprawdę gorąco. Ale nie otwieraj za bardzo lodówki.

Andy uchylił drzwiczki małej chłodziarki, która przycupnęła pod ścianą i, szybko wyjął plastikowy pojemnik z margaryną, wycisnął z foremki dwie kostki lodu, po czym zatrzasnął drzwi. Napełnił szklankę wodą ze ściennego zbiornika i odstawił ją na stół obok margaryny.

- Jadłeś już? - spytał:

- Zjem razem z tobą, chyba dość już się naładowało. Sol przestał kręcić pedałami i pisk przeszedł najpierw w pojękiwanie, po czym zamarł. Odłączył przymocowane do tylnej piasty druty, zwinął je ostrożnie i położył obok czterech samochodowych akumulatorów czerniejących na lodówce. Potem, wytarłszy dłonie w przepocony ręcznikowy sarong, odsunął jedno z uratowanych z forda, rocznik 1975, starych siedzeń i usadowił się przy stole naprzeciwko _Andy'ego.

- Słuchałem wiadomości o szóstej - powiedział. - Geronci organizują dziś kolejny marsz protestacyjny dla poparcia kwatery głównej. Z tego to dopiero może być choroba wieńcowa!

- Ten widok zostanie mi szczęśliwie oszczędzony, wychodzę dopiero o czwartej, a Union Square to nie nasz rewir. - Otworzył pudełko z pieczywem, wyjął sześciocalowy kwadrat suchara i pchnął opakowanie w stronę Sola. Rozsmarował cienko margarynę, nadgryzł i krzywiąc się zaczął żuć. - Mam wrażenie, że margaryna jest zepsuta.

- Nie może być! - mruknął Sol, wgryzając się w suchar bez omasty. - Wszystko zrobione ze starego oleju samo - chodowego i wielorybiego tranu od samego początku śmierdzi zepsuciem.

- Zaczynasz przemawiać jak zielony - stwierdził Ady, spłukując suchara zimną wodą. - Wszystkie wytwarzane petrochemicznie tłuszcze nie mają praktycznie żadnego zapachu, a na dodatek nie ma już żadnych wielorybów, a zatem nie ma i tranu. To dobra oliwa z chlorelli.

- Wieloryby, plankton, olej ze śledzi, wszystko to samo. Zalatuje rybą. Nie smaruję nigdy pieczywa, brakuje tylko, żeby mi płetwy wyrosły. - W tej samej chwili rozległo się gwałtowne pukanie do drzwi. - Nie ma jeszcze ósmej, a oni już cię szukają.

- Niekoniecznie - powiedział Andy, kierując się ku drzwiom. - Może, ale nie tym razem. Równie dobrze jak ja wiesz, że tak puka tylko wasz posłaniec i stawiam dolary przeciwko orzechom, że się nie mylę. Widzisz? - Z ponurą satysfakcją spojrzał na szczupłego posłańca z gołymi nogami, który pojawił się w drzwiach ledwo Andy je otworzył. - Czego chcesz, Woody? - spytał Andy.

- Niszecho nie chce - wyseplenił Woody; miał zaledwie dwadzieścia parę lat, lecz po zębach zostało mu tylko wspomnienie. - Porusznik mówi psynies, ja psynose. Wręczył Andy'emu tabliczkę opatrzoną nazwiskiem adresata.

Andy zwrócił się ku światłu i rozpieczętował przesyłkę. Szybko odcyfrował kanciaste pismo porucznika, po czym wziął kredę i naskrobał pod spodem swoje inicjały. Zwrócił tabliczkę posłańcowi, zamknął za nim drzwi i wrócił do stołu, by dokończyć śniadanie.

- Nie patrz tak na mnie - powiedział Sol, widząc jak Andy marszczy brwi. - To nie ja wysłałem tę wiadomość. Czy nie mylę się przypuszczając, że nie jest to nic miłego?

- To geronci. Już teraz zablokowali Union , Square i trzeba wzmocnić patrole w rewirze. Ściągają nas tam. - Ale czemu ty? To robota raczej dla pałowych.

- Pałowi! Kto cię tego nauczył? Jasne, potrzeba przede wszystkim zwykłych patroli przeczesujących tłum, ale prócz tego muszą też być detektywi zdolni wyłowić znanych agitatorów, złodziejaszków, kieszonkowców i całą resztę. To będzie mordęga. Muszę zameldować się przed dziewiątą. Zdążę jeszcze przynieść wodę.

Powoli ubrał spodnie i luźną sportową koszulę. Na parapecie okna ustawił rondel wody, by zagrzała się od słońca i wziął dwa pięciogalonowe kanistry. Gdy wychodził, Sol oderwał się od ekranu telewizora i spojrzał na niego ponad oprawkami starych okularów.

- Gdy przyniesiesz wodę, zrobię ci drinka. A może to za wcześnie dla ciebie?

- Jeśli wziąć pod uwagę, jak dzisiaj się czuję, to nie jest za wcześnie.

Zamknął za sobą drzwi i ostrożnie zaczął szukać drogi w atramentowej czerni korytarza. Tuż przed schodami zaklął: omal nie spadł, potknąwszy się na pozostawionej przez kogoś kupie śmieci. Dwa piętra niżej w ścianie zostało przebite

okno i wpadało przez nie dość światła, by móc widzieć stopnie aż do parteru. Po wilgotnej sieni gorąco Dwudziestej Piątej Ulicy uderzyło go zatęchłą falą, dusznym miazmatem złożonym z woni rozkładu, brudu i nie umytej ludzkości. Musiał przeciskać się między kobietami, które już zapełniały stopnie budynku. Ostrożnie stawiał stopy, bacząc, by nie nadepnąć na jakieś dziecko, których wiele bawiło się poniżej. Chodnik był wciąż pogrążony w cieniu, lecz tak pełen ludzi, że iść można było jedynie jezdnią. Andy odsunął się od rynsztoka, by ominąć również nieczystości i śmieci. Rozmiękczony upałem asfalt ustępował pod stopami, przyklejał się do podeszew butów. Przed kolumnowym punktem poboru wody na rogu Siódmej Alei zgromadziła. się już zwykła kolejka. Gdy podszedł bliżej, dosłyszał gniewne krzyki, którym towarzyszyło kilka uniesionych pięści. Rozszemrany tłum zaczął się rozpraszać i Andy ujrzał, jak policjant w mundurze zamyka stalowe drzwi.

- Co się dzieje? - spytał Andy. - Wydawało mi się, że ten punkt otwarty jest do południa?

Policjant odwrócił się, jego dłoń automatycznie poszukała broni, ale zaraz rozpoznał kolegę z tego samego rewiru. Zsunął czapkę i wierzchem dłoni wytarł pot z czoła.

- Właśnie dostałem rozkazy od sierżanta. Wszystkie punkty zostają zamknięte na dwadzieścia cztery godziny. W związku z suszą poziom rezerw obniżył się niebezpiecznie i zachodzi konieczność oszczędzania wody.

- Do diabla z takimi wiadomościami - powiedział Andy, patrząc na klucz, który wciąż jeszcze tkwił w zamku. - Zaraz idę na służbę, a to znaczy, że nie będę miał co pić przez parę dni...

Rozejrzawszy się uważnie wokoło, policjant otworzył drzwi i wziął od Andy'ego jeden kanister.

- Jeden ci wystarczy - napełniał go pod kurkiem i przyciszonym głosem zwrócił się do Andy'ego: - Nie powtarzaj tego, ale podobno znów wysadzono akwedukt w głębi stanu.

- Znów farmerzy?

- A któż by inny? Byłem tam strażnikiem zanim przyszedłem do naszego rewiru. Tam jest paskudnie, można wylecieć w powietrze wraz z akweduktem. Utrzymują, że miasto kradnie ich wodę.

- Mają jej dość - powiedział Andy, biorąc pełny pojemnik. - Więcej niż potrzebują. A tutaj, w mieście, jest trzydzieści pięć milionów cholernie spragnionych ludzi.

- A kto mówi, że jest inaczej? - spytał gliniarz, zatrzaskując i dokładnie zamykając drzwi.

Andy przepchnął się przez tłum na schodach i przeszedł na tylne podwórko. Wszystkie ubikacje były zajęte, a gdy w końcu udało mu się wejść do jednej z kabin, zabrał kanister ze sobą. Pozostawiony padłby z pewnością łupem któregoś z bawiących się na stercie śmieci dzieciaków.

Gdy wspiął się wreszcie na schody i otworzył drzwi mieszkania, przywitał go czysty dźwięk kostek lodu odbijających się o szkło.

- To co grasz to piąta symfonia Beethovena - powiedział, stawiając zasobnik i sam padając na krzesło.

- Mój ulubiony kawałek - Sol zdjął z lodówki dwie oszronione szklanki i z religijnym niemal namaszczeniem wrzucił do każdej po cienkim plasterku cebuli. Podał napój Andy'emu, który ostrożnie siorbnął lodowaty płyn.

- Próbując tego jestem prawie gotów uwierzyć, Sol, że nie jesteś całkiem szalony. Czemu to się nazywa Gibson?

- To tajemnica, odpowiedź przepadła w otchłani dziejów. Zresztą, czemu Stinger to Stinger a Pink Lady to Pink Lady?

- Nie mam pojęcia. Nigdy żadnego nie próbowałem. - I ja też nie, ale teraz mówię o nazwie. Zupełnie jak to zielone coś, co można dostać w byle spelunie, Panama. Też nic nie znaczy, po prostu nazwa.

- Dzięki - Andy opróżnił szklankę. - Od razu wszystko lepiej wygląda.

Poszedł do pokoju. Z szuflady wyciągnął broń z kaburą i zamocował ją do paska spodni. Znaczek policyjny, jak zawsze, spięty był razem z kluczami. Położył na nim notatnik, ale zawahał się. Zapowiadał się długi i ciężki dzień i wszystko mogło się zdarzyć. Spod koszul wyciągnął najpierw kajdanki, potem tubkę z miękkiego plastiku wypełnioną śrutem. W tłumie bywa to użyteczniejsze niż pistolet. I nie tylko to: nowe, o wiele surowsze przepisy nie pozwalają użyć ostrej amunicji z byle powodu. Umył się, jak potrafił, połową kwarty wody, która ogrzewała się na parapecie, natarł twarz małym kawałkiem szorstkiego szarego mydła aż zarost nabrał niejakiej miękkości. Brzytwa była już solidnie wyszczerbiona; ostrząc ją o wnętrze szklanki rozmyślał, jakby było dobrze, gdyby udało się sprawić sobie nową. Może jesienią.

Gdy wrócił do pokoju obok, Sol podlewał właśnie rosnące w skrzynce na oknie rzędy ziółek i wątłej cebulki. - Nie daj się zrobić, uważaj na drewniane pięciocentówki - powiedział nie podnosząc oczu. Sol miał miliony takich i podobnych dziwacznych powiedzonek. Co to niby miało być, ta drewniana pięciocentówka?

Słońce było już wyżej i gorączka narastała, opanowując bez reszty smolisto - betonowy wąwóz ulicy. Cień na chodnikach był węższy i stopnie domu były tak zapchane ludźmi, że ledwo przeszedł przez drzwi. Ostrożnie odepchnął brudną, małą dziewczynkę ubraną jedynie w strzępiaste, poszarzałe majtki. Stopień niżej ustąpiła. mu drogi wychudzona kobieta, a siedzący obok niej mężczyzna spojrzał na niego z nienawiścią. Zimne rysy twarzy nadawały mu dziwny wygląd, sugerujący, że wszyscy, jak tu siedzą, są członkami jednej, rozzłoszczonej rodziny. Andy utorował sobie drogę między pozostałymi. Dochodząc do chodnika musiał przekroczyć nogę leżącego bezwładnie starszego mężczyzny, który wyglądał nie tyle na śpiącego, ile raczej na martwego. Mógł rzeczywiście nie żyć, kogo tutaj to obchodziło... Wokół jednej z jego kostek obwiązany był drut, a jego drugi koniec obejmował pętlą klatkę piersiową małego dziecka, siedzącego obojętnie obok brudnych i bosych stóp

starego. Dzieciak bezmyślnie żuł skrawek poskręcanego, plastikowego talerza; był równie mocno obrosły brudem, z patykowatymi ramionami i ciężkim, obrzmiałym brzuchem. Czy stary naprawdę był trupem? Jedynym jego zadaniem, jakie miał na tym świecie do wypełnienia, była rola kotwicy utrzymującej to dziecko w jednym miejscu, a do tego nadawał się w każdym stanie.

Boże, ale ja paskudnie się czuję, pomyślał Andy. To przez tę gorączkę. Nie spałem dobrze, męczyły mnie jakieś znory. To lato bez końca, i wszystkie te kłopoty, które zawsze łażą stadami. Najpierw upał, potem susza, złodzieje sklepowi, a teraz geronci. Musieli mieć nierówno pod dachem, żeby wychodzić w taką pogodę. A może to ona przywiodła ich do szaleństwa... Było zbyt gorąco, by myśleć, a gdy skręcił za róg, Siódma Aleja zapłonęła przed nim rozedrganym blaskiem, z miejsca, atakując nagie ramiona i twarz. Dochodziła dopiero za kwadrans dziewiąta, a koszula już kleiła mu się do pleców.

Na Dwudziestej Trzeciej Ulicy było odrobinę lepiej. Ocieniała ją biegnąca przez całe miasto estakada.. Szedł niespiesznie, jednym okiem zerkając na tłoczące się riksze i platformy. Wokół każdego z filarów wiaduktu kłębił się tłum szukających ochłody ludzi. Szczęśliwcy oblepiali podstawę konstrukcji jak skorupiaki, podczas gdy ci z zewnątrz siedzieli z nogami tuż pod kołami pojazdów. Górą z łomotem przewalały się ciężarówki, takie same jak ta, którą dostrzegł zaparkowaną naprzeciwko frontonu pobliskiego budynku. Od tyłu właził powoli policjant w mundurze, zaś obok szoferki stał z notatnikiem w ręce porucznik Grassioli. Przerwał rozmowę z sierżantem i skinął na Andy'ego. Nerwowy tik wstrząsnął jego lewą powieką w parodii mrugnięcia.

- W ostatniej chwili, Rusch - stwierdził, odhaczając go na liście.

- To miał być mój wolny dzień, sir. Przyszedłem, gdy tylko posłaniec przyniósł mi rozkaz. - Wiedział, że jeśli będzie potulny wobec porucznika, to Grassy gotów był to wykorzystać. Był diabetykiem, wrzodowcem i często miewał bóle żołądka.

- Dobry glina jest na służbie dwadzieścia cztery godziny na dobę, więc pakuj się do ciężarówki. Razem z Kulozikiem zajmiecie się kieszonkowcami. Wieczne płacze tych z Central Street wychodzą mi już uszami.

- Yes, sir - powiedział Andy do pleców porucznika. Po trzystopniowej drabince wspiął się do wnętrza pojazdu i usiadł na składanej ławce obok dosypiającego Steve'a Kulozika. Był to mężczyzna solidnej budowy, o trudnej do ustalenia proporcji między mięśniami i tłuszczem. Tak jak Andy nosił wymięte bawełniane spodnie i koszulę z krótkim rękawem i tak samo wypuścił koszulę ze spodni, by ukryć broń. Ujrzawszy Andy'ego otworzył na wpół jedno oko, mruknął coś i powrócił do drzemki.

Starter jęczał nieznośnie, aż w końcu pojony byle jakim paliwem diesel zapalił, wstrząsając się jednak i krztusząc. Skierowali się na wschód. Siedzący na bocznych ławach mundurowi usiłowali wystawiać twarze na pęd powietrza, obserwując przy okazji ulice. Tego lata policja nie była zbyt popularna, woleliby w: rc widzieć, gdyby ktoś usiłował czymś w nich rzucić. Z nagłą wibracją pojazd przeszedł na niższy bieg; naciskając nieustannie na sygnał kierowca torował sobie drogę pomiędzy kłębiącymi się ludźmi i z wolna pełzającymi wehikułami poruszanymi siłą mięśni. Gdy dotarli do Broadwayu, musieli zwolnić jeszcze bardziej. Z ulicy obok Madison Square, na którym od dawna był pchli targ i miasteczko namiotowe, wysypywali się ludzie. Było

coraz tłoczniej, skręcili zatem do centrum. Geronci zebrali się już i maszerowali na południe, niechętnie ustępując drogi ciężarówce. Policjanci spoglądali na nich obojętnie - falująca masa siwych głów, głów łysych, sporo ludzi z laskami, jakiś mężczyzna z długą, siwą brodą szedł o kulach, wiele było wózków inwalidzkich. Gdy dotarli do Union Square, nie przysłaniane tu przez budynki słońce zaatakowało ich z całą siłą.

- To morderstwo - powiedział Steve Kulozik ziewając i zeskakując z ciężarówki. - Wyprowadzanie dziadków na taki upał pewnie zabije połowę z nich. W słońcu musi być ze sto stopni, o ósmej były już dziewięćdziesiąt trzy.

- Właśnie dlatego są tu lekarze - Andy skinął ku grupce ubranych na biało ludzi, którzy rozkładali nosze tuż obok przyczepy Departamentu Szpitali. Detektywi ruszyli ku tyłom tłumu wypełniającego już niemal całkowicie park. W centrum zgromadzenia wznosiła się platforma dla mówcy. Dał się słyszeć chrobot wzmacniaczy i szybko ucięte wycie testowanego systemu nagłaśniającego.

- Rekordowe lato - mruknął Steve, spokojnie przeczesując tłum wzrokiem. - Słyszałem, że poziom wody w zbiornikach retencyjnych obniżył się tak bardzo, że część rur znalazła się nad powierzchnią. Nie mają jak czerpać. Na dodatek chłopi znów wysadzili akwedukt w głębi stanu...

Megafony zagrzmiały wzmocnionym głosem:

- Towarzysze, koledzy i drogie panie, członkowie Związku Gerontów Ameryki, proszę was wszystkich o uwagę. Zamówiłem trochę chmur na dziś rano, ale wygląda, że prośba, jak zwykle, nie dotarła gdzie trzeba...

Pomruk aprobaty przetoczył się przez park, rozległy się nieliczne oklaski.

- Kto przemawia? - spytał Steve.

- Reeves. Czasem nazywają go Dzieciak, bo ma tylko sześćdziesiąt pięć lat. Obecnie jest sekretarzem gerontów i jeśli wszystko pójdzie tak jak teraz, to w przyszłym roku zostanie pewnie ich prezydentem... - jego słowa zginęły w rozgrzanym powietrzu, gdy Reeves znów przemówił.

- Ale dość jest chmur w naszym życiu, tak więc zapewne obejdziemy się bez chmur na niebie. - Tym razem tłum był bliski gniewnej reakcji. - Władze przypilnowały, by niezależnie od tego na ile zdolni jesteśmy jeszcze do pracy, pracy tej dla nas nie było. Przyznały nam zasiłek tak drobny, że wręcz znieważający, za który mamy się utrzymywać, a jednocześnie władze dbają o to, byśmy za te pieniądze mogli kupować coraz mniej. Co rok, co miesiąc, prawie każdego dnia...

- Jest pierwszy - Andy wskazał na mężczyznę, który opadł w tłumie na kolana i przycisnął ręce do piersi. Już chciał tam się skierować, ale Steve powstrzymał go.

- Zostaw go im - dwóch sanitariuszy przepychało się już do chorego. - Atak serca lub porażenie słoneczne. To nie ostatni. Chodź, przejdźmy się trochę.

- ...raz jeszcze wzywani jesteśmy do zjednoczenia się... siłom, które utrzymują nas na takim poziomie, sprawiają, że zżera nas ubóstwo, że głodujemy zapomniani... rosnące koszty zniweczyły...

Zdawało się nie być żadnego związku między małą postacią na odległej mównicy a rozbrzmiewającym wkoło głosem. Detektywi rozdzielili się i Andy powoli przepychał się przez tłum.

- ...nie pogodzimy się z tym, nawet gdy zostaniemy wyprowadzeni w pole po raz drugi, trzeci czy nawet czwarty, jeśli do tego dojdzie, że znów przyznają nam podwyżkę zasiłku. Nie zaakceptujemy tych brudnych kątów, które nam dają z nadzieją, że przyśniemy tam z głodu. Jesteśmy witalną siłą, powiem więcej, jesteśmy tym właśnie żywotnym elementem populacji, rezerwą doświadczenia wieku, wiedzy, umiejętności osądu. Niech władze miejskie, władze stanowe Albany i Waszyngtonu zaczną działać lub niech przygotują się na to, że gdy po najbliższych wyborach przeliczą głosy, to odkryją...

Słowa dudniły Andy'emu w uszach, lecz nie zwracał na nie większej uwagi przepychając się między wytężającymi ze wszystkich sił uwagę, gerontami. Czujnie rozglądał się wokoło po morzu bezzębnych warg, siwych bokobrodów i załzawionych oczu. Tutaj nie było kieszonkowców, porucznik mylił się w przewidywaniach. Kieszonkowcy wiedzieli, gdzie warto próbować i nie ruszali tłumu takiego jak ten. Ci wszyscy ludzie byli goli. Nawet, jeśli ktoś miał trochę drobnych, to były ukryte w jednej z tych starych zapinanych portmonetek i zaszyte gdzieś głęboko w bieliźnie.

Zauważył poruszenie - to dwóch młodych chłopców przepychało się przez tłum wymieniając radosne okrzyki, podkładając sobie nogi. Widocznie bawili się w "kto upadnie pierwszy".

- Dość tego - powiedział Andy stając im na drodze. - Uspokójcie się i zjeżdżajcie stąd, chłopcy, nic tu po was.

- A bo co? Możemy robić co chcemy...

- A bo prawo tak chce - warknął Andy wyciągając z kieszeni tubkę ze śrutem i unosząc ją jako ostrzeżenie. - Dalej!

Bez słowa odwrócili się i już spokojnie oddalili się. Odprowadził ich tak daleko, by mieć pewność, że odejdą. Dzieciarnia, pomyślał chowając tubkę z powrotem do kieszeni, może dziesięć, może jedenaście lat, lecz już trzeba na nich uważać, bo jeśli zapomnisz się i odwrócisz do nich tyłem, a ich będzie dość, to obalą cię i potną na kawałeczki choćby odłamkami szkła, jak zdarzyło się to temu biedakowi Taylorowi.

Wydawało się, że coś opętało staruszków. Poruszali się w tył i przód, falowali, a gdy wzmacniacze na chwilę umilkły, gdzieś spoza mównicy doleciał odległy krzyk. Brzmiał jak zapowiedź kłopotów i Andy zaczął przepychać się w kierunku jego źródła. Głos Reevesa zamarł nagle, wrzaski były teraz lepiej słyszalne i towarzyszył im brzęk wybijanych szyb. Nagle nad placem popłynął głos kogoś zupełnie innego.

- Mówi policja. Proszę was wszystkich, byście rozeszli się. Mityng dobiegł końca. Opuszczajcie Union Square od północy...

Słowa utonęły we wściekłym wyciu i geronci ruszyli naprzód niesieni falą emocji. Krzyki po chwili umilkły i znów odezwał się Reeves.

- Chłopaki... spokojnie teraz... chcę tylko, byście zachowali spokój... nie jest waszą winą, że nam przerwano, chodzi zupełnie o coś innego. Jest tu ze mną kapitan policji, wyjaśnił mi sytuację i z miejsca, w którym stoję, widzę, co się dzieje. Nie ma to żadnego związku z naszym spotkaniem. Na Czternastej Ulicy doszło do jakiegoś zamieszania. NIE! Nie idźcie tamtędy, możecie tylko ucierpieć. Policja zresztą już tam jest i nie przepuści was. Widzę, jak nadchodzą siły specjalne, a policja wspomniała o drucie...

Jego ostatnim słowom towarzyszył jęk i tłum zadrżał. Zgromadzeni ruszyli w drugim kierunku, powoli opuszczając Union Square, byle dalej od Czternastej Ulicy. Starcy wiedzieli o drucie wszystko, co trzeba.

Andy minął mównicę; tutaj tłum był rzadszy. Za to Czternasta Ulica była zapchana całkowicie. Ruszył szybko w tym kierunku. Na obrzeżach tłumu stali policjanci "oczyszczający" przestrzeń w pobliżu parku. Najbliższy z nich uniósł pałkę szturmową i krzyknął na Andy'ego: - Spadaj synku, bo będzie z tobą źle!

Gdy Andy pokazał mu znaczek, skinął głową uspokojony i odwrócił się.

- Co jest grane?

- Z wolna szykują się zamieszki, a będzie jeszcze gorzej. Hej! Ty tam! Do tyłu! - Postukał pałką w krawężnik i kuśtykający o kulach starzec po krótkim wahaniu zawrócił w kierunku parku.

- Klein miał dzisiaj jedną z tych błyskawicznych wyprzedaży, wiesz, pakują na wystawę tablicę na znak, że chcą się czegoś szybko pozbyć i, jak dotąd, wszystko szło spokojnie. Lecz tym razem mają cały transport kotletów sojowych... - uniósł głos aż do wrzasku, by przekrzyczeć dwa zbliżające się zielono - białe helikoptery. - Parę durnych bab kupiło swoje i poleciało za róg, by wypaplać wszystko jednej z lotnych ekip telewizji, która włóczy się po okolicy. Ludzie zbiegli się zewsząd jak szarańcza. A nie zablokowaliśmy, jak dotąd, nawet połowy ulic. Tę stronę będziemy zamykać drutem... właśnie leci.

Andy przypiął oznakę do kieszeni koszuli i przyłączył się do funkcjonariuszy odpychających tłum, który nie protestował: wszyscy z drżeniem spoglądali w górę na wirujące łopaty śmigłowców, zbijając się razem jak bydło uciekające przed owczarkami. Helikoptery obniżyły lot i spod ich kadłubów runęły w dół bele drutu. Rdzawe żelazne zwoje drutu kolczastego upadły na jezdnię z tak dużym impetem, że rozrywały wszystkie zabezpieczenia.

To nie był zwyczajny drut kolczasty. Był to drut z metalu pamiętającego, który niezależnie od tego, jak by nie został zwinięty lub skręcony, wracał zawsze, gdy tylko ustępowały ograniczenia, do swego pierwotnego kształtu. Zwykły drut leżałby po prostu jak zarżnięte ciele, ten walczył zawzięcie, by odzyskać pamiętaną formę, poruszając się niepowstrzymanie jak ślepa bestia; sploty uwalniały się jeden po drugim i pełzły wzdłuż ulicy. Policjanci w grubych rękawicach łapali końce i

naprowadzali je we właściwych kierunkach, ustawiając w ten sposób barierę w poprzek arterii. W jednym miejscu spotkały się w bezmyślnej walce dwa odcinki; szczepiały się jeden z drugim, wspinały w powietrze tylko po to, by upaść i walczyć dalej aż do zjednoczenia we wspólnym kłębowisku. Gdy ostatnie kawałki przestały zgrzytać, jezdnia była całkowicie zablokowana na jard wysoką i na jard szeroką ścianą drutu.

Lecz kłopoty jeszcze nie skończyły się. Nie zablokowanymi ulicami z południa wciąż napływali ludzie. Przez chwilę doszło do impasu. Dalsze zrzuty drutu powstrzymałyby tłum, lecz nie można było ciskać go wprost na głowy, potrzebna była chociaż niewielka wolna przestrzeń. Policjanci miotali się, stawiając czoła napierającym masom ludzi, a śmigłowce bezradnie brzęczały nad nimi jak rozzłoszczone pszczoły.

Nagle, poprzedzone odgłosem wyduszanej szyby, wybuchły krzyki. Wystawa Kleina, nie wytrzymała naporu ludzkich ciał, które teraz były nadziewane na ostre odłamki szkła. Lała się krew, rozlegały się jęki. Andy usiłował przedrzeć się do miejsca wypadku. Jakaś kobieta z rozciętym czołem i twarzą zalaną krwią wpadła na niego, lecz zaraz falujący tłum poniósł ją dalej. Im był bliżej, tym trudniej przychodziło mu się poruszać. Ponad zgiełkiem słyszał policyjne gwizdki. Ludzie wdzierali się do środka sklepu przez wybite okno, depcząc po zakrwawionych ciałach rannych, i na oślep zabierali pudła. Andy krzyczał, lecz w ogólnym ryku ledwo sam słyszał swój głos. Wyciągnął ręce w kierunku mężczyzny, który usiłował wyjść ze sklepu trzymając w ramionach cały stos paczek. Nie sięgnął go, lecz udało się to innym: mężczyzna skulił się i upadł pod ciosami rąk, które wyciągały się, by odebrać mu paczki.

- Stójcie! - krzyczał Andy. - Przestańcie! - Był jednak bez szans, zupełnie jak w upiornym śnie. Z okna wynurzył się młody chłopak, Chińczyk w pocerowanej koszuli i niemal nastąpił Andy'emu na stopę. Do piersi przyciskał białe pudło ze sojowymi zrazami. Andy zdołał jedynie wyciągnąć ręce. Chłopak zerknął na niego bez słowa, obejrzał się i złożył niemal we dwoje, by ukryć łup przed nacierającą ciżbą. Całym szczupłym ciałem przylgnął do muru. Usiłował wydostać się ze ścisku. Po chwili było widać tylko jego stopy drgające, jakby walczył z narastającą falą; na żylastych nogach miał sandały zrobione ze starej opony samochodowej. Zniknął Andy'emu z oczu i ten zaraz o nim zapomniał. Wskoczył na wystawę i zajął miejsce obok innego policjanta, który zdołał już nieco powstrzymać szturmujących, przejeżdżając pałką po wyciągniętych ramionach. Andy zręcznie ogłuszył rabusia, usiłującego przemknąć pomiędzy nimi. Nieprzytomne ciało wypchnął na zewnątrz, a rozsypane towary odrzucił w głąb sklepu. W okolicy zaczęły zawodzić syreny i ponad morzem ludzkich głów uniosła się biała mgiełka. Sikawki przedzierały się przez tłum.

następny

. 2 .

Billy Chung zdołał wepchnąć plastikowy pojemnik ze sojowymi kotletami pod koszulę na tyle dobrze, że gdy się przygarbił nie było nic prawie widać. Przez chwilę miał jeszcze swobodę ruchów, potem ścisk stał się zbyt duży. Odpychając się od nacierającego lasu nóg, poszukał schronienia pod ścianą. Twarz przytulił do rozgrzanych cegieł; nie próbował się nawet poruszyć, aż cios kolanem w głowę pozbawił go przytomności. Następną rzeczą, jaką zapamiętał, był strumień zimnej wody spływający mu po plecach. Sikawki rozpraszały tłum. Ta, która wycelowała w niego, przykleiła go na chwilę do ściany, po czym przesunęła się dalej. Pozbierał się roztrzęsiony i rozejrzał wokoło, ale najwyraźniej nikt nie zauważył zdobyczy ściskanej kurczowo za pazuchą. Ludzie rozbiegali się, niektórzy pokrwawieni, niektórzy posiniaczeni, wszyscy mokrzy. Przemykali obok ciężko sunących ciężarówek z sikawkami na dachach. Wraz z innymi Billy ruszył na Irving Place, gdzie było trochę mniej ludzi. Rozpaczliwie rozglądał się w poszukiwaniu miejsca, gdzie mógłby znaleźć odrobinę samotności, czyli tego, o co w tym mieście było najtrudniej. Zamieszki skończyły się i w każdej chwili ktoś może go zauważyć i zainteresować się, co to takiego wypycha mu koszulę, i zechcieć mu to odebrać: Nie był na swoim terenie, w tej dzielnicy w ogóle nie było Chińczyków, zaraz go zauważą, zaraz się nim zainteresują... Podbiegł trochę, lecz zaczął dyszeć ciężko i zwolnił do szybkiego marszu. Musi coś znaleźć. O tam. Wykopy pod ścianą jednego z budynków. Proszę. Głęboka dziura aż do fundamentów, na dnie rury i kałuża błotnistej wody. Usiadł na poszarpanej krawędzi betonowego chodnika i rzucił jeszcze spojrzenie wokoło. Nikt nie patrzył na niego, chociaż w pobliżu było wielu ludzi wychodzących z budynków lub siedzących na stopniach. Wszyscy przyglądali się raczej przemoczonym i zszarganym resztkom tłumu, które powoli przepływały ulicę. Z tupotem nadbiegł jezdnią mężczyzna trzymający pod ramieniem wielką paczkę. Wymachiwał zaciśniętą pięścią, lecz i tak ktoś stanął mu na drodze i mężczyzna upadł z krzykiem. Najbliżej stojący rzucili się, by pozbierać rozsypane suchary. Billy uśmiechnął się; miał pewność, że w tej chwili nikt nie zwraca na niego uwagi. Skoczył, zapadając się po kostki w błoto na dnie. Wykop zrobiono w celu odsłonięcia grubej na stopę, skorodowanej żelaznej rury. W ścianie była płytka nisza, do której zdołał się wcisnąć. Nie była to najlepsza kryjówka, lecz z góry można było dostrzec tylko jego stopy. Położył się na boku na chłodnej ziemi i rozdarł pudełko.

- Patrzcie, patrzcie - powtarzał w kółko sam do siebie. Roześmiał się zdając sobie sprawę, że zaczyna się ślinić i gadać od rzeczy. Sojowe zrazy, całe opakowanie, każdy płaski i brązowy, i wielki jak jego dłoń. Wbił zęby w jeden kawałek, odgryzł potężny kęs i połknął łapczywie, następne upychał palcami w ustach tak długo, aż ledwo mógł przełykać. Przeżuwał wspaniałe, miękkie kotlety zastanawiając się ile czasu minęło od chwili, gdy ostatnio jadł coś równie dobrego.

Zjadł trzy kotlety z fasoli sojowej i soczewicy, pomiędzy kęsami ostrożnie wysuwając głowę z ukrycia. Odgarniał z oczu mizerne, czarne włosy i spoglądał w górę. Nikt go nie obserwował. Wyjął następny kotlet, lecz tym razem jadł już powoli.

Skapitulował dopiero wtedy, gdy rozciągnięty do granic możliwości żołądek zaprotestował przeciwko czemuś tak niezwykłemu jak bycie pełnym. Zlizując z palców ostatnie okruchy, obmyślał plan pozbycia się reszty i zaczął wyrzucać sobie, że zjadł aż tak wiele. Naprawdę potrzebował gotówki, a kotlety mogły mu jej dostarczyć. Ostatecznie głód równie dobrze można zaspokoić sucharami z wodorostów. Do diabła. Pudełko za bardzo rzucało się w oczy, by iść z nim ulicą, nie dawało się też całkowicie ukryć pod koszulą. Trzeba będzie kotlety w coś owinąć. Może w chustkę do nosa. Wyciągnął z kieszeni brudny, pomięty kawał szmaty - pozostałość po starym prześcieradle i opakował pozostałe zrazy. Rogi chustki związał tak, by nic nie wypadło ze środka. Zawiniątko wetknął za pasek szortów. Wybrzuszenie nie zwracało uwagi, chociaż nieprzyjemnie uciskało pełny brzuch. Można było iść.

- Co ty tam robisz na dole, chłopcze? - spytała go siedząca na pobliskich schodach rozczochrana, niechlujna kobieta, gdy wytknął głowę z dziury.

- Wysadzam to w powietrze! - krzyknął i ścigany jej upiornym śmiechem uciekł za róg. Chłopcze! Miał siedemnaście lat i może nie był zbyt wysoki, lecz nie był już chłopcem. Głupia krowa.

Aż do Park Avenue starał się iść szybko; wolał uniknąć spotkania z miejscowymi gangami. Potem zwolnił i ruszył w kierunku Madison Square i znajdującego się tam pchlego targu. Było to miejsce zatłoczone, gorące, zgiełkliwe chórem wielu jazgoczących nieustannie głosów i wypełnione odorem zestarzałego brudu, kurzu i spoconych ciał. Powolny maelstrom przechodzących, zatrzymujących się ludzi. Ten czy ów oglądał wyłożone na straganach stare garnitury, suknie, wyszczerbioną porcelanę, bezużyteczne ozdóbki. Ktoś kłócił się o cenę małej tilapii z rozwartym pyszczkiem i martwo spoglądającymi okrągłymi oczami. Straganiarze zachwalali swoje tandetne towary, a ludzie przepływali obok, dbając jednak o to, by ustępować z drogi dwóm policjantom, którzy szli jeden obok drugiego i niczego nie omijali spojrzeniem, lecz trzymali się głównie ścieżki, która przecinała plac. Ścieżka prowadziła do starego, w zamiarze tymczasowo ustawionego miasteczka namiotowego - piramid szarego, połatanego płótna o jednoznacznie wojskowym rodowodzie.

Policja trzymała się z dala od wąskich ścieżynek wijących się przez dżunglę wózków, straganów i różnych szop, które tłoczyły na całej powierzchni targu. Tutaj można było kupić i sprzedać wszystko. Bill przestąpił nad ślepym żebrakiem, rozciągniętym między betonową ławą a rozklekotanym straganem sprzedawcy wodorostów, i skierował się w głąb targowiska. Patrzył nie na towary, ale na tych, którzy je sprzedawali i w końcu zatrzymał się przed wózkiem załadowanym najróżniejszymi plastikowymi pojemnikami, talerzami, kubkami i miskami, których niegdyś jaskrawe kolory spłowiały do szarości.

- Łapy precz! - właściciel stuknął kijem o bok wózka i Billy wycofał szybko palce.

- Nie dotykam pańskich rupieci.

- Jeśli nie kupujesz, to znikaj stąd - powiedział męuzyzna; orientalny typ z pomarszczonymi policzkami i rzadkimi siwymi włosami.

- Ja nie kupuję, ja sprzedaję - Billy przysunął się bliżej i wyszeptał tak cicho, by tylko mężczyzna mógł usłyszeć: - Nie kupi pan kilku sojowych kotletów?

Mężczyzna spojrzał na niego krzywo.

- Pewnie kradzione - powiedział znudzonym głosem.

- Dalej, chce pan je czy nie?

Mężczyzna uśmiechnął się bez humoru.

- Jasne, że chcę. Ile ich masz?

- Dziesięć.

- Półtora dolca za jeden. Piętnaście dolarów.

- Gówno! Sam je zjem. Trzydzieści za całość.

- Nie pozwól, synu, by chciwość cię zniszczyła. Obaj wiemy, ile naprawdę są warte. Dwadzieścia dolców za całość. Kropka. - Wyłowił dwa wymiętoszone dziesięciodolarowe banknoty i trzymając je w palcach zażądał:

- A teraz mi je pokaż.

Billy podał mu pakuneczek. Mężczyzna schował go pod wózek i zajrzał do środka.

- W porządku - powiedział i nie wyjmując rąk spod wózka przełożył kotlety na kawałek grubego, zmiętego papieru i oddał chustkę. Tego nie potrzebuję.

- Teraz forsa.

Mężczyzna podał mu ją powoli, uśmiechając się, gdy transakcja już się dokonała.

- Czy zaglądasz czasem do Mott Street Club?

- Żartuje pan sobie? - Billy złapał pieniądze.

- A powinieneś. Jesteś Chińczykiem i przyszedłeś z tymi zrazami do mnie, ponieważ ja też jestem Chińczykiem i wiesz, że możesz mi zaufać A to znaczy że potrafisz myśleć...

- Wybij to sobie z głowy, dziadku - Billy wskazał kciukiem na własną pierś. - Ja jestem Tajwańczykiem, a mój ojciec był generałem. I wiem jedno - nic mnie nie łączy z wami, komuchami z centrum.

- Ty gówniarzu... - mężczyzna uniósł kij, ale Billy'ego już nie było.

Tak, teraz wszystko miało się zmienić! Nie odczuwał już tak gorąca, gdy przepychał się przez zwarty tłum. W kieszeni mocno ściskał pieniądze, które dawały nadzieję na przyszłość. Dwadzieścia dolców to więcej niż kiedykolwiek miał w życiu. Dotychczas

zdarzyło mu się mieć na raz trzy dziewięćdziesiąt i to był rekord. Ukradł je kiedyś przez otwarte okno z mieszkania po drugiej stronie korytarza. Trudno było zdobyć gotówkę, a gotówka była jedyną rzeczą, która się liczyła. W domu nigdy nie widywał pieniędzy. Wszystko, co było potrzebne do życia, dostawali za bony opieki społecznej. Inna sprawa, że było tego tyle, by zapałać do życia nienawiścią. Żeby dostać cokolwiek więcej, potrzebna była gotówka, czyli to, czym właśnie dysponował. Czekał na taką chwilę od dawna.

Na Dziewiątej Alei znalazł biuro Western Union, oddział Chelsea. Siedząca za kontuarem dziewczyna o ziemistej twarzy ledwo na niego spojrzała, potem wbiła oczy w okno, za którym przelewała się fala spoconych ludzi. Zmiętą chustką otarł pot z twarzy. Schyleni nad dalekopisami operatorzy w ogóle nie zwrócili na niego uwagi. Było tu cicho, jedynie przez otwarte drzwi dochodził stłumiony pomruk miasta i co pewien czas rozlegał się stukot dalekopisu. Na ławce pod ścianą siedziało sześciu spoglądających na niego podejrzliwie chłopców i było widać, że ich podejrzliwość może lada chwila przemienić się we wrogość. Idąc w kierunku dyspozytora słyszał, jak ich stopy szurają po podłodze, jak skrzypi ławka, na której siedzą. Całą siłą woli powstrzymując się przed odwróceniem ku nim głowy czekał, aż dyspozytor raczy go zauważyć.

- Czego chcesz, chłopcze? - mężczyzna podniósł w końcu oczy. Mówił tak, jakby samo wypowiadanie słów sprawiało mu przykrość. Miał pięćdziesiąt parę lat, był zgrzany i zły na cały świat, który niegdyś obiecywał mu więcej.

- Nie potrzebuje pan posłańca?

- Wynoś się. Mam ich aż za wielu.

- Mógłbym się przydać, proszę pana. Mogę pracować o dowolnej porze, kiedy pan każe. Mam pieniądze na kaucję - wyjął jeden z dziesięciodolarowych banknotów i położył na kontuarze. Mężczyzna obrzucił go szybkim spojrzeniem i wrócił do swojej roboty.

- Mamy dość posłańców.

Ława zaskrzypiała głośniej i ktoś podszedł od tyłu do Billy'ego. Nabrzmiały powstrzymywaną złością chłopięcy głos powiedział:

- Czy ten chinol przeszkadza panu, panie Burgger? Billy wcisnął pięść z pieniędzmi z powrotem do kieszeni.

- Siadaj, Roles, znasz moje zdanie na temat bijatyk. Dyspozytor obrzucił obu chłopców spojrzeniem i Billy domyślił się szybko, jakie to jest zdanie i zorientował się, że nie będzie tu pracował, jeśli zaraz czegoś nie wymyśli.

- Dziękuję panu, że zechciał pan ze mną porozmawiać, panie Burgger - powiedział i cofając się, nastąpił całym ciężarem na palce tamtego. - Nie będę panu już przeszkadzał...

Chłopak wrzasnął i wymierzył Billy'emu cios pięścią w ucho. Billy zachwiał się i rozejrzał bezradnie nie czyniąc nic, by się obronić.

- Sam tego chciałeś, Roles - powiedział Mr Burgger z niesmakiem. - Jesteś zwolniony.

- Ale... panie Burgger... - zajęczał Roles. - Przecież pan wcale nie zna tego chinola...

- Wynoś się stąd! - Mr Burgger uniósł się nieco i wskazał dłonią na rozdziawiającego usta chłopca. - Won! Zapomniany chwilowo Billy usunął się na bok. Uważał tylko, by się nie uśmiechnąć. Do tamtego dotarło w końcu, że nic już tu nie poradzi i wyszedł, rzuciwszy uprzednio Billy'emu spojrzenie pełne palącej nienawiści. Tymczasem Mr Burgger skrobał coś na jednej z tabliczek.

- Dobra, chłopcze, wygląda na to, że znalazłeś sobie zajęcie. Jak masz na imię?

- Billy Chung.

- Za każdy doręczony telegram płacimy pięćdziesiąt centów - wstał i z tabliczką w ręce podszedł do kontuaru. - Biorąc telegram zostawiasz u mnie dziesięciodolarowy depozyt. Gdy oddajesz mi tabliczkę z powrotem, ja daję ci dziesięć pięćdziesiąt. Jasne?

Położył tabliczkę na kontuarze i sugestywnie na nią spojrzał. Billy podążył za jego wzrokiem i przeczytał napisane kredą słowa: Piętnaście centów dla mnie.

- Wszystko w porządku, Mr Burgger.

- To dobrze - powiedział mężczyzn ścierając dłonią '' napis. - Znajdź sobie miejsce i siedź cicho. Żadnych rozrób, żadnych bijatyk, żadnych hałasów, jeśli nie chcesz, aby spotkało cię to samo, co Rolesa.

- Tak, panie Burgger.

Gdy usiadł, pozostali chłopcy patrzyli na niego podejrzliwie. Dopiero po paru minutach jeden z nich, ciemny i jeszcze niższy od Billy'ego przysunął się bliżej i spytał szeptem:

- Ile wziął?

- O co ci chodzi?

- Nie udawaj idioty. Albo mu coś odpalisz, albo tu nie i pracujesz.

Piętnaście. - A mówiłem ci przecież... - wyszeptał z pasją inny chłopak. - Mówiłem ci, że on nie poprzestanie na dziesięciu...

Umilkł raptownie, gdy dyspozytor spojrzał w ich kierunku.

Potem dzień płynął już w upalnym bezruchu. Billy'emu podobało się nawet, że może sobie siedzieć bezczynnie. Co pewien czas któryś z chłopców dostawał

telegram, lecz on nie był wzywany. Sojowe zrazy jak ołów zalegały mu na żołądku i dwakroć musiał wychodzić na zaplecze, do ciemnej i nędznej toalety. Na ulicy cienie wydłużały się, ale powietrze pozostało niezmiennie duszne i gorące. Ledwo minęła szósta, w biurze zjawiło się jeszcze trzech roznosicieli. Ławka była już teraz pełna. Mr Burgger spojrzał na nich z wyraźnym niezadowoleniem, które zdawało się dominować wśród jego odczuć.

- Paru z was może sobie pójść.

Jak na pierwszy dzień pracy Billy dość już się wysiedział - nogi mu zdrętwiały, a kotlety przeszły do przeszłości i był znów głodny - postanowił zatem dać sobie spokój. Należało pomyśleć o kolacji. Do diabła, skrzywił się kwaśno. Wiedział, co dostanie na kolację: to samo, co każdego wieczoru od lat. Szedł wolno Dwunastą Aleją. Było tu chłodniej dzięki lekkiej bryzie od rzeki. Skrywszy się za szopami rozejrzał się jeszcze wkoło, podważył jeden z drucianych pasków, na których trzymały się jego sandały i wsunął w szczelinę oba banknoty. Były jego i tylko jego. Zacisnął drut z powrotem i wspiął się po trapie, który prowadził na pokład "Waverly Brown", frachtowca zacumowanego od dawna przy pirsie numer sześćdziesiąt dwa.

Zasłaniając rzekę stały tu stare statki typu Victory i Liberty. Wystrzępione liny i pordzewiałe łańcuchy utrzymywały w miejscu ten dziwny pejzaż niesamowitych kształtów - barierki zawieszone suszącą się bielizną, wsporniki, rury, przewody, wywietrzniki, kominy. W oddali widniał jedyny wzniesiony przyczółek nigdy nie ukończonego Wagner Bridge. Dla Billy'ego była to zwyczajna sceneria. Urodził się tutaj po tym, jak jego rodzina, wraz z innymi uchodźcami z Formozy, została osiedlona w tymczasowych, z pośpiechem przygotowanych kwaterach na pokładach rozpadających się, nikomu niepotrzebnych statków, które od czasu zakończenia drugiej wojny światowej rdzewiały na cumach naprzeciw Stony Point. Zdawało się to być idealnym rozwiązaniem, przynajmniej wtedy. Z pewnością, nikt by nie narzekał, gdyby było to rozwiązanie tymczasowe. O nowe lokale było jednak coraz trudniej. Zaczęto zatem do przerdzewiałej, obrośniętej wodorostami floty dodawać nowe jednostki, aż stała się ona częścią miasta i wszystkim zdawało się już teraz, że istniała tu zawsze.

Statki były połączone systemem pomostów i trapów, tylko od czasu do czasu można było dostrzec między burtami cuchnącą, pokrytą pływającymi śmieciami powierzchnię rzeki. Billy na pamięć znał drogę do "Columbia Victory", jego domu. Schodami zszedł pod pokład do mieszkania 107.

- Trafiłeś akurat - przywitała go siostra, Anna. - Wszyscy już jedli i masz szczęście, że zostało cokolwiek dla ciebie.

Z wysokiej półki zdjęła talerz i postawiła na stole. Miała tylko trzydzieści siedem lat, lecz jej włosy były już prawie całkiem siwe, a grzbiet przygięty ku ziemi.

Dawno utraciła nadzieję na to, że wyjdzie za mąż i tym samym opuści Shiptown. Była jedynym dzieckiem Chungów, które urodziło się jeszcze na Formozie, niemniej w chwili wyjazdu była tak młoda,. że jej wspomnienia z wyspy ograniczały się do niewyraźnych urywków czegoś w rodzaju przyjemnego snu.

Popatrzył na wystygłe, wilgotne kawałki zapiekanki i na brunatne suchary i poczuł, jak żołądek podchodzi mu do gardła. Befsztyki były wciąż zbyt świeże w pamięci.

- Nie jestem głodny - powiedział, odsuwając talerz. Matka zareagowała natychmiast. Po raz pierwszy odkąd wszedł, chociaż zauważyła jego obecność, odwróciła się od telewizora.

- Co jest z tym jedzeniem? Czemu nie chcesz tego jedzenia? To jest dobre jedzenie.

Miała cienki, wysoki głos, a lekkie zawodzenie jednoznacznie wskazywało, że posługiwała się chińskim z kantońskim akcentem. Nigdy nie zadała sobie trudu, by nauczyć się czegoś więcej niż paru angielskich słów, w domu nigdy nie posługiwali się tym językiem.

- Nie jestem głodny - gorączkowo szukał kłamstwa, które by ją usatysfakcjonowało. - Jest za gorąco. Proszę, weź to, jeśli chcesz.

- Nigdy nie odejmuję moim dzieciom jedzenia od ust. Jeśli ty nie chcesz jeść, to zjedzą bliźniaki - mówiąc nie odrywała oczu od ekranu. Dochodzący z głośnika jazgot niemal zagłuszał jej głos, rywalizując z wrzaskami dwóch siedmioletnich chłopców walczących w kącie o zabawkę. - Daj mi to proszę. Tylko spróbuję, większość jedzenia zawsze oddaję dzieciom. - Wsunęła suchar do ust i zaczęła żuć szybkimi ruchami gryzonia. Mała była szansa, że bliźniaki zobaczą cokolwiek. Była bowiem specjalistką w wyjadaniu okruchów, resztek i okrawków; pękata obłość jej sylwetki była tego najlepszym dowodem. Po omacku wzięła drugi suchar.

Gorąco i niedawne przejedzenie nie poprawiły Billy'emu samopoczucia. Nagle zdał sobie sprawę z ciasnoty panującej w tej klitce o stalowych ścianach, z zawodzenia braci, ryku telewizora i z tego, jak siostra grzechocze mytymi właśnie talerzami. : Przeszedł do drugiego pokoju, jedynego pomieszczenia, które zapewniało odrobinę spokoju i odosobnienia. Zatrzasnął za sobą ciężkie, metalowe drzwi. Niegdyś był to jakiś składzik; sześć stóp kwadratowych powierzchni starczało akurat na łóżko, na którym sypiały jego matka i siostra. W burcie wycięto okno - kwadratowy otwór noszący na krawędziach trzydziestoletnie ślady palnika. Zimą zatykali go drewnianą okiennicą, teraz jednak Billy swobodnie mógł oprzeć się ramionami o ostre zadry i spojrzeć ponad zakotwiczoną flotą na odległe światła brzegu New Jersey. Było już niemal ciemno, lecz powietrze nadal tchnęło gorączką.

- Gdy krawędzie zaczęły wcinać mu się w skórę, wycofały się i w stojącej za drzwiami misce z ciemną wodą obmył twarz i ramiona. Przeglądając się w małym, zawieszonym na ścianie lusterku wygładził włosy. Gwałtownie ściągnął w dół kąciki ust. Jego twarz była na tyle okrągła i młoda, że w stanie odprężenia wargi zakrzywiały się lekko do góry, zupełnie jakby się uśmiechał. Lecz twarz kłamała, nie było mu wcale do śmiechu. Resztkami wody przemył jeszcze nogi, usuwając brud i błoto. Od razu zrobiło mu się nieco chłodniej. Położył się na łóżku i spojrzał na jedyną dekorację pokoju - wiszącą na ścianie fotografię ojca. Kapitan Chung Pei - fu, oficer armii Kuomintangu, awansował szybko i chociaż całe swoje życie oddał wojnie, nigdy nie wziął udziału w walce. Urodził się na Formozie w 1940 roku i należał do drugiego pokolenia żołnierzy naznaczonej przemijaniem, starzejącej się armii Chang Kai - sheka. Gdy generalissimus umarł nagle w wieku lat osiemdziesięciu czterech, kapitan

Chung nie miał nic wspólnego z przewrotami pałacowymi, które ostatecznie wypchnęły na szczyt generała Kunga. A gdy doszło w końcu do inwazji z kontynentu, leżał w szpitalu chory na malarię. Pozostał tam podczas walk i "siedmiu dni śmierci", które nastąpiły później. Był jednym z niewielu wywiezionych drogą powietrzną po ostatecznym upadku wyspy. Znalazł się za granicą szybciej niż jego rodzina. Na fotografii był wciąż mocnym mężczyzną, żołnierzem, lecz Billy pamiętał go jako człowieka złamanego. Popełnił samobójstwo dzień po tym, jak urodziły się bliźniaki.

Mrok ukrył fotografię przed wzrokiem Billy'ego, odeszła z pola widzenia jak wspomnienie. Po chwili znów ukazała się w migoczącym blasku małej żarówki. Napięcie skakało, aż w końcu tylko spiralka jarzyła się czerwonawo i znów zapadły ciemności. Albo tego wieczoru wyłączyli wcześniej elektryczność, albo znów coś się zepsuło. Leżał w dusznej czerni i czuł, jak łóżko nagrzewa się i wilgotnieje pod jego plecami, a ściany żelaznej skrzyni zaciskają coraz bardziej, aż w końcu nie był w stanie znieść ich naporu. Mokrymi palcami poszukał drzwi, po chwili trafił na klamkę. W drugim pokoju nie było wcale lepiej. Raczej o wiele gorzej - migoczące, zielonkawe światło telewizora przekształcało twarze matki, siostry i braci w oblicza świeżych topielców z szeroko rozwartymi ustami i oczami. Z głośnika dochodził tętent kopyt i nie kończąca się palba sześciostrzałowców. Matka rytmicznie ściskała w dłoni mały generator prądu - awaryjne źródło mocy. Zauważyła Billy'ego, gdy ten usiłował przemknąć do drzwi i nie przerywając pracy chciała mu oddać prądniczkę.

- Teraz twoja kolej. Moja ręka już się zmęczyła.

- Ja wychodzę. Niech Anna się tym zajmie.

- Zrobisz co każę! - wrzasnęła. - Będziesz mnie słuchał. Chłopiec musi słuchać matki.

Była tak zła, że zapomniała o generatorze; ekran pociemniał i bliźniaki z miejsca się rozryczały. Anna krzyknęła, by uciszyły się, lecz to tylko powiększyło zamieszanie. Nie wyszedł z domu, lecz wybiegł i nie przestał biec, aż znalazł się na pokładzie, pokryty potem, ciężko dyszący.

Nie było co ze sobą zrobić, nie było dokąd iść. Każda stopa kwadratowa otaczającego go miasta była szczelnie wypełniona ludźmi, hałasem, gorączką.

Noga za nogą przeszedł przez czarny labirynt do brzegu, a potem, bez jakiegokolwiek szczególnego zamiaru, skierował się ku rzadko rozstawionym latarniom Dwudziestej Trzeciej Ulicy. Ciemność nie oznaczała w tym mieście bezpiecznego schronienia. Może powinien zajrzeć do Western Union, chociaż, o tej porze... Skręcił w Dziewiątą Aleję i zagryzając wargi spojrzał na żółto - niebieski szyld. Z wnętrza wypadł posłaniec z tabliczką, po chwili drugi. Chyba powinien wejść.

Gdy stanął w drzwiach, serce zabiło mu żywiej - ławka była pusta. Mr Burgger spojrzał znad swego biurka z wyrazem złości na twarzy tak samo świeżym, jak za dnia.

- Dobrze, że zdecydowałeś się wrócić, bo inaczej nie miałbyś po co wracać. Mamy spory ruch, sam nie wiem czemu właśnie dziś. Weź to i doręcz. - Skończył wypisywać adres na wierzchu tabliczki, po czym przez otwór w zawiasach przesunął papier z

klejem, poślinił końce i skleił, zamykając przesyłkę. - Forsa na. kontuar. - Rzucił tabliczkę.

Drut nie chciał puścić i Billy złamał paznokieć wydostając pieniądze. Rozwinął jeden z banknotów i położył na porysowanym drewnie. Drugą dziesięciodolarówkę ścisnął w garści, złapał tabliczkę i wypadł na ulicę. Zniknąwszy z pola widzenia przystanął pod ścianą i w świetle latarni nad szyldem odczytał adres: Michael O Brien, Cleelsea Park North, W. 28 St.

Wiedział, gdzie to jest, lecz chociaż mijał tamtejsze budynki nie zliczoną liczbę razy, to nigdy nie był wewnątrz tej enklawy luksusowych apartamentów wzniesionych w 1976 roku, wkrótce po spektakularnej aferze korupcyjnej, która pozwoliła miastu oddać Chelsea Park prywatnym inwestorom. Były to budowle ogrodzone murem, z tarasami i blankami w nowofeudalnym stylu, idealnie oddającym tak intencje właścicieli, jak i pragnienia mieszkańców - tutaj masy nie miały wstępu. Skierował się do wejścia dla shiżby na tyłach budynku. Nacisnął guzik tuż pod schowanym w murze i zabezpieczonym drucianą siatką mdłym świetlikiem.

- To wejście jest zamknięte do piątej, zero, zero - zaszczekał z głośnika nagrany głos. W nagłym przypływie strachu przycisnął tabliczkę do piersi. Teraz będzie musiał podejść do frontowych drzwi, jasno oświetlonych i strzeżonych przez portierów. Spojrzał na swoje nogi. Spróbował oczyścić je z bardziej zestarzałych plam. Jakoś mu się udało, lecz nic nie mógł zrobić z połataną i poplamioną odzieżą. Normalnie nie zauważał tego, wszyscy w jego otoczeniu ubrani byli tak samo. Wiedział jednak, że tutaj jest inaczej. Nie chciał stawać twarzą w twarz z ludźmi z tego budynku. Obchodząc go wokoło żałował, że w ogóle podjął tę pracę. Skierował się wreszcie ku rzęsiście oświetlonemu wejściu.

Otaczająca całość fosa, teraz pusta, jak na urągowisko, była przecięta mostem stylizowanym na most zwodzony, z pordzewiałymi łańcuchami i opadającą kotwicą z ostro zakończonych sztab metalu, tyle że w kratownicę były wprawione grube szyby. Wejście przypominało bramę piekielną. Po drugiej stronie krat rysowała się pękata sylwetka portiera, nieruchoma, z rękami założonymi na plecach. Nie drgnął nawet wtedy, gdy Billy zatrzymał się dziesięć stóp od drzwi. Wpatrywał się tylko weń zimno, nie zmieniając wyrazu twarzy. Nie licząc, że cokolwiek zdziała słowami, Billy podniósł tabliczkę tak, by dało się z wnętrza odczytać wypisany na wierzchu adres. Portier zamrugał i niechętnie dotknął jednej z ozdobnych spiral. Część oszklonej kraty przesunęła się na bok.

- Mam wiadomość dla kogoś, kto tu mieszka... - Billy z przerażeniem słuchał swego niepewnego, pełnego lęku głosu.

- Newton, frontowe wejście - powiedział portier, kciukiem nakazując Billy'emu, aby wszedł.

W głębi rozległego westybulu otworzyły się drzwi, rozległ się nagle ucięty odgłos męskiego śmiechu. Ten, który wyszedł i zamknął za sobą drzwi, ubrany był w taki sam mundur jaki nosił portier, smoliście czarny ze złotymi guzikami, lecz na ramionach miał naszyte czerwone galony. - O co chodzi, Charlie?

- Dzieciak z telegramem. Nie widziałem go przedtem. Portier uznał, że wykonał już swój obowiązek i wrócił do postawy czuwającego przy drzwiach psa łańcuchowego.

- Tablica jest dobra - powiedział Newton wyrywając ją z rąk Billy'ego i przesuwając palcami po nalepce firmowej Western Union. Oddał ją i szybkimi klepnięciami sprawdził jego koszulę i szorty.

- Jest czysty - powiedział ze śmiechem - tyle że będę teraz musiał umyć ręce.

- W porządku, chłopcze - rzucił portier nie odwracając się.

- Zanieś to na górę i wracaj tu szybko.

Strażnik też odwrócił się do Billy'ego plecami i odszedł, zostawiając chłopaka pośrodku wielkiego, wzorzystego dywanu i nie dając mu najmniejszej wskazówki, gdzie właściwie powinien się skierować. Chciał spytać o drogę, lecz nie potrafił wydobyć z siebie głosu, nie śmiał odezwać się do kogoś, kto właśnie okazał mu swą przewagę. Najbardziej na świecie pragnął w tej chwili znaleźć jakiś kąt, by się ukryć. Z odrętwienia wyrwał go świst dochodzący z drugiej strony westybulu. U podstawy czegoś, co z początku wziął za wielkie, kościelne organy, rozsunęły się drzwi windy. Operator dźwigu spojrzał na niego i Billy ruszył w tym kierunku, trzymając tablicę telegramu przed sobą jak tarczę mającą chronić go przed wrogością środowiska.

- Mam wiadomość dla pana O'Briena - głos trząsł mu się, załamywał. Windziarz, chłopak w tym samym wieku, skrzywił się w fałszywym uśmiechu; był młody, lecz pracował ciężko i nauczył się właściwych manier.

- O'Brien, 41 - E, to jest czwarte piętro. Mówię ci to na wypadek, gdybyś nie wiedział niczego o domach mieszkalnych. - Blokował sobą wejście do windy i Billy nie wiedział, co ma teraz zrobić.

- Czy... winda... To znaczy, czy mogę...

- Nie będziesz zasmradzał windy lokatorom. Tam są schody.

Billy czuł na plecach odprowadzający go gniewny wzrok i coś z tego gniewu udzieliło się również i jemu. Czemu musieli zachowywać się właśnie w ten sposób? To że tu pracowali, nie znaczyło przecież, że tu mieszkali. Śmiechu warte - te typy mieszkające w takim miejscu. Nawet ten tłusty drań przy wejściu. Cztery piętra. Ciężko dyszał, gdy doszedł do drugiego, a gdy dotarł na czwarte, musiał zatrzymać się, by otrzeć pot. W obu kierunkach ciągnął się korytarz z niszami drzwi otwierającymi się w ścianach i strzegącymi pustki średniowiecznymi zbrojami. Skóra swędziała go od potu, powietrze było duszne, gorące. Początkowo ruszył w złym kierunku. Musiał zawrócić, aż doszedł do szeregu drzwi o malejących numerach. 41 - E, podobnie jak wszystkie inne, nie miał dzwonka ani kołatki, lecz jedynie małą tabliczkę z pozłacanym napisem: O'Brien. Drzwi otworzyły się ledwo ich dotknął. Zajrzał do środka i wszedł do małego korytarzyka z drugimi drzwiami naprzeciwko. Było to coś w stylu średniowiecznej wewnętrznej sieni. Drzwi zamknęły się za nim wywołując przypływ paniki, która pogłębiła się jeszcze, gdy dochodzący gdzieś z góry głos, spytał:

- Czego chcesz?

- Telegram. Western Union - powiedział, rozglądając się po pustej klitce i szukając źródła głosu.

- Pokaż tablicę.

Nagle zdał sobie sprawę, że głos dochodzi z siatki nad drugimi drzwiami, gdzie była zamocowana również kamera TV. Uniósł tabliczkę tak, by mogła zostać odczytana za pośrednictwem soczewki. Musiało to zadowolić niewidocznego obserwatora, ponieważ zaraz rozległ się szczęk wyłączanej instalacji i po chwili drzwi otworzyły się, wypuszczając falę mroźnego niemal powietrza.

- Daj mi to - powiedział Michael O'Brien, więc Billy wręczył mu tabliczkę i czekał, aż adresat złamie pieczęć i podważy paznokciami połówki.

O'Brien był mężczyzną około sześćdziesiątki, z wydatnym brzuchem, podwójnym podbródkiem i stalowo - siwymi włosami. Nosił ślady młodości spędzonej w dokach West Side: blizny na knykciach i boku szyi, złamany nos, który nigdy nie został należycie złożony. W 1966 roku był dwudziestodwuletnim gówniarzem i, jak zaznaczał z dumą ilekroć o tym opowiadał, we łbie miał pustkę, zaś jedyne co go interesowało, to picie i dziwki. Kilka dni w tygodniu pracował w porcie po to tylko, by mieć za co zabawić się w weekend. Kiedyś jednak zdarzyło mu się trafić do aresztu za burdę w "Shamrock Bar and Grill" i to odmieniło jego życie. Dochodząc do zdrowia w St. Vincent's (nos wygoił się szybko, ale była jeszcze sprawa rozbitej o podłogę głowy) zastanowił się nad swoim życiem i postanowił coś z nim zrobić. Jakie to były postanowienia, nie opowiadał jednak nigdy i ten wątek pozostawiał domyślności słuchaczy oraz plotkom, wszyscy bowiem wiedzieli, że zajął się tak zwaną "ochroną" różnych ludzi i spraw. Jemu podlegały wykradane z doków materiały i wiele innych dziedzin, o których w jego obecności lepiej było nie wspominać. Tak czy inaczej, te nowe interesy bardziej się opłacały niż praca w dokach i nigdy nie żałował swojej decyzji. Sześć stóp i dwa cale jego ciała zawinięte w obszerny i kolorowy szlafrok przypominały cyrkowego słonia. Mógł być śmieszny, ale nie był. Za wiele widział, za wiele przeżył i był zbyt pewny swej siły, by wzbudzać śmiech, nawet teraz, gdy poruszając wargami czytał w skupieniu treść telegramu.

- Poczekaj tutaj, muszę to sobie odpisać - powiedział doczytawszy do końca. Billy przytaknął szczęśliwy, że może pobyć dłużej w chłodnym, klimatyzowanym i bogato urządzonym wnętrzu. - Shirl, gdzie do cholery jest notatnik?

Zza drzwi z lewej strony korytarza dobiegła niewyraźna odpowiedź. O'Brien otworzył je i wszedł do środka, a oczy Billy'ego podążyły za nim - ujrzał biel zaścielonego łóżka i leżącą na nim kobietę.

Leżała na brzuchu, niczym nie przykryta, z rudymi włosami rozsypującymi się na poduszce. Miała białoróżową skórę z piegami na ramionach. Była nie dalej, jak dziesięć stóp od niego: jedną nogę założyła na drugą podkreślając krągłość pośladków. O'Brien mówił coś do niej, lecz dla Billy'ego padające słowa były jedynie nic nie znaczącymi dźwiękami. Potem ona obróciła się w kierunku drzwi i ujrzała go.

Nic nie mógł zrobić; ani się poruszyć, ani odwrócić oczu. Ona widziała, że się jej przygląda.

Dziewczyna uśmiechnęła się i uniosła, wyciągając smukłe ramię ku drzwiom. Przez chwilę widział jeszcze jej krągłe, pełne piersi z różowymi czubkami, potem drzwi się zatrzasnęły.

Gdy w chwilę później otworzyły się i O'Brien wyszedł na korytarz, łóżko było już puste.

- Będzie odpowiedź? - spytał Billy biorąc z powrotem tabliczkę. Czy ten mężczyzna zauważył, jak dziwnym i nieswoim głosem Billy zadał to pytanie?

- Nie, bez odpowiedzi - powiedział O'Brien otwierając drzwi na korytarz. Czas płynął teraz bardzo powoli. Billy wyraźnie widział otwarte drzwi, lśniący zatrzask zamka i płaski kawałek metalu osadzony w ścianie obok. I zwisające z niego druty. Czemu to było takie istotne?

- Nie da mi pan napiwku? - spytał tylko po to, by zyskać jeszcze chwilę.

- Zjeżdżaj stąd, zanim cię wykopię.

Upał panujący na korytarzu uderzył go dwakroć silniej niż przedtem. Po chłodzie apartamentu był to piec, na dodatek w dolnych partiach jego ciala rozpalało się drugie źródło ciepła, zupełnie jak wtedy, gdy po raz pierwszy zdarzyło mu się być blisko dziewczyny. Zatrzymał się, żeby ochłonąć i oparł głowę o ścianę. Nawet na zdjęciach, które czasem wpadały mu w ręce, nigdy nie widział dziewczyny takiej jak ta. Te zaś z którymi sam miał do czynienia, miały zwykle szarą skórę, patykowate nogi i ręce, podartą bieliznę i były równie brudne jak on. Tyle przynajmniej widział zwykle w półmroku.

Oczywiście. Pojedynczy zamek w wewnętrznych drzwiach był połączony z alarmem antywłamaniowym. Lecz teraz alarm nie działał, widział zwisające druty. Tych rzeczy nauczył się wtedy, gdy Sam - Sam był przywódcą Tygrysów. Włamał się razem z nimi do paru sklepów, potem jednak gliny zwinęły Sam - Sama. Łom powinien dać radę tym drzwiom w sekundę. Ale co to miało wspólnego z dziewczyną? Uśmiechała się przecież, prawda? Nie może się doczekać, aż ten stary sukinsyn pójdzie do pracy.

Wszystko to były mrzonki, wiedział dobrze. Dziewczyna nie chciałaby mieć z nim nic wspólnego. Chociaż, uśmiechała się... Mieszkanie to co innego - szybki skok zanim naprawią te druty; gdyby jeszcze dało się jakoś obejść tych drani przy frontowych drzwiach. Tak, to nie miało nic wspólnego z dziewczyną, tu chodziło o gotówkę. Zszedł cicho na parter i rozejrzawszy się, skręcił do piwnicy.

Trzeba pomóc szczęściu. Nie spotkał nikogo, a w drugim pomieszczeniu, do którego wszedł, znalazł okno, które również miało rozłączony alarm. Możliwe, że tak było w całym budynku, jeśli na przykład wymieniali instalację, lub coś się zepsuło, zresztą, mniejsza z tym. Na pokrywającym okno kurzu wyrysował kształt serca. Teraz będzie mógł rozpoznać je od zewnątrz.

- Nie śpieszyłeś się, chłopcze - powitał go portier, gdy wszedł już do westybulu.

- Musiałem poczekać, aż przepisze wiadomość i przygotuje odpowiedź, to nie moja wina. - Chociaż wyjąkane, i kłamstwo zabrzmiało niespodziewanie szczerze. To było tak proste.

Portier nie chciał nawet sprawdzać tablicy. Z sykiem pneumatyków przeszklone drzwi otworzyły się i Billy wyszedł na pusty most, za którym czekały mroczne, zatłoczone, brudne i śmierdzące ulice.

następny

. 3 .

Przez pomruk klimatyzatora, dźwięk tak monotonny, że szybko przestawało się go zauważać, przebijał się nigdy nie milknący puls wielkiego miasta; dudnienie, które bardziej czuło się niż słyszało. Shirl lubiła ten odgłos, któremu tutaj, za grubymi ścianami, towarzyszyło poczucie bezpieczeństwa. Była późna noc, zegar wyświetlał 3:24, pod jej spojrzeniem cyfry przeskoczyły na 3:25. Zmieniła pozycję; obok niej Mike poruszył się na szerokim łóżku i wymamrotał coś przez sen. Zastygła, by go nie obudzić. Po chwili uspokoił się, naciągnął prześcieradło na ramiona, oddech stał się głębszy, wolniejszy. Mieszane przez klimatyzator powietrze mile chłodziło jej nagie ciało. Zanim wrócił do łóżka i obudził ją, złapała kilka godzin snu i nie miała ochoty wylegiwać się dłużej. Wstała i podeszła do dmuchawy, podstawiając się pod zimny prąd. Przebiegła palcami po skórze i skrzywiła się, gdy doszła do obolałych piersi. Przyjdzie znów ukryć pod makijażem sińce, jutro będzie cała w czarne i granatowe cętki. Mike zawsze złościł się, ile razy widział sińce i zadrapania, jakby zupełnie nie był w stanie skojarzyć, że jest to wynik jego brutalności. Zasłony nad klimatyzatorem rozchyliły się nieco wpuszczając noc do wnętrza. Gdzieś lśniły rzadkie światła, zupełnie jak oczy zwierząt. Poprawiła kotary i przyklepała je, by się nie poruszyły.

Mike zachrapał niskim, gardłowym głosem, który mógł solidnie przestraszyć kogoś nie przyzwyczajonego. Shirl wiedziała, że jeśli chrapie w ten sposób, to śpi głęboko. Może nawet zdoła wziąć prysznic bez jego wiedzy! Bezszelestnie przeszła po dywanie ku drzwiom łazienki i zamknęła je za sobą powoli, że nic nie szczęknęło. Proszę! Włączyła światło i uśmiechnęła się do plastikowej imitacji marmuru na ścianach i lśniącej, złotej armatury. Ściany były dźwiękoszczelne, lecz jeśli nie spał dostatecznie głęboko, mógł usłyszeć bulgotanie wody w rurach. Zdjął ją nagły strach;

wstrzymała oddech i stanęła na palcach, by spojrzeć na miernik wody. Dobrze, wypuściła powietrze z westchnieniem. Zawór został odkręcony. Mike odcinał wodę za dnia - woda kosztowała sporo. Zabronił Shirl brać I prysznic, chociaż sam robił to bez żenady. Jeśli raz na jakiś j czas zajrzy tu po kryjomu, pomyślała, to Mike i tak tego nie zauważy.

Było wspaniale zimno, stała pod strumieniem wody , dłużej niż zamierzała; z poczuciem winy spojrzała na zawór. Wytarła się i usunęła ręcznikiem wszystkie krople wody ze ścian i podłogi, po czym zagrzebała ręcznik na dnie kosza, do którego on i tak nigdy nie zaglądał. Czuła się wspaniale, uśmiechnęła się wklepując puder w mrowiącą skórę. Masz dwadzieścia trzy lata, Shirl, a nie zmieniłaś rozmiaru sukni, odkąd skończyłaś dziewiętnaście, no, może z wyjątkiem obwodu biustu. Używała teraz większego stanika, lecz to było w porządku, mężczyźni to lubili. Wzięła z szafki czysty szlafrok i założyła go.

Gdy przechodziła przez sypialnię, chrapanie Mike'a i przypominało dźwięk tnącej piły. Wyglądał ostatnio na umęczonego, zapewne noszeniem kapelusza. Przez ten rok, od kiedy z nim zamieszkała, przybrał chyba ze dwadzieścia funtów, głównie w pasie. Jemu zdawało się to nie przeszkadzać, a ona starała się niczego nie zauważać. Włączyła telewizor i czekając aż się nagrzeje, przeszła do kuchni, by zrobić sobie drinka. Najkosztowniejsze trunki, czyli piwo i samotna butelka whisky, była wyłącznie dla Mike'a, ale jak długo można brać sobie do serca takie zakazy. Tak naprawdę, to było jej wszystko jedno, co pije, dopóki miało to miły smak. Została jeszcze butelka wódki; zmieszana z koncentratem pomarańczowym była całkiem dobra, jeśli dodało się trochę cukru.

Dziesięciocalowy ekran wypełniała głowa mężczyzny, który poruszał bezgłośnie ustami i spoglądał wprost na nią. Wiedziała, że to idiotyzm, ale zaciągnęła poły szlafroka i zapięła go. Uśmiechnęła się znów, czując, jak znika uczucie skrępowania. Z drinkiem w ręce zwinęła się na kanapie tuż obok poręczy z zamontowanym pilotem. Na sąsiednim kanale były wyścigi samochodowe, na kolejnym zaś stary film Johna Barrymore'a. Kopia była do niczego, a całość robiła wrażenie przedpotopowej produkcji - szybko naciskała dalsze guziczki pilota. Sprawdziwszy większość programów, wybrała jak zwykle kanał dziewiętnasty - kanał kobiecy , który emitował wyłącznie tasiemcowe seriale w blokach. Projekcja wszystkich odcinków trwała, czasem dwadzieścia cztery godziny. Tego akurat serialu nie widziała, zrozumiała tyle, na ile było to możliwe. Film był brytyjski, aktorzy mówili z dziwnym akcentem, nie za wszystkimi wątkami nadążała, lecz akcja była dość interesująca. Jakaś kobieta bez makijażu rodziła właśnie w potach, jej mąż był w więzieniu, lecz właśnie przyszła wiadomość, że uciekł, a mężczyzna, który był ojcem dziecka, niedorozwiniętego, jak właśnie stwierdził, był bratem jej męża. Shirl upiła drinka i rozsiadła się wygodnie przed ekranem.

O szóstej wyłączyła odbiornik, umyła i wytarła szklankę i poszła się ubrać. Tab zaczynał służbę o siódmej i chciała zrobić wszystkie zakupy jak najwcześniej, póki nie narośnie upał. Cicho, by nie obudzić Mike'a, poszukała rzeczy - majteczki, cieniutki stanik i szarą sukienkę bez rękawów - dość starą i znoszoną, by pójść w niej na zakupy. Żadnej biżuterii i oczywiście żadnego makijażu - nie było sensu szukać kłopotów. Nie jadała śniadań - pomagało to kontrolować kalorie, wypiła jednak przed wyjściem filiżankę czarnej kawy. Dokładnie o siódmej sprawdziła jeszcze, czy ma w

torebce kluczyki i czy pieniądze są na swoim miejscu, wzięła z szuflady wielką torbę i wyszła.

- Dzień dobry panience - powiedział windziarz otwierając jej drzwi i odsłaniając w serdecznym uśmiechu lekko nadpsute uzębienie. - Zapowiada się kolejny upalny dzień.

- W wiadomościach mówili, że już są osiemdziesiąt dwa stopnie.

- To nawet nie połowa tego, co jest naprawdę - drzwi zamknęły się i winda ruszyła. - Oni mierzą temperaturę na dachu, a mógłbym się założyć, że na poziomie ulicy jest o wiele więcej.

- Pewnie masz rację.

Kiedy na dole wysiadła z windy, Charlie powiedział coś do ukrytego mikrofonu.

- Dzisiaj znów będzie upał - przywitał ją, gdy podeszla bliżej.

- Dzień dobry, Miss Shirl - powiedział Tab wychodząc z pokoju strażników. Uśmiechnęła się, szczęśliwa, że go widzi; najmilszego strażnika, jakiego znała i jedynego, który nigdy nie robił jej propozycji i to nie dlatego, że się hamował; po prostu taka myśl w ogóle nie przyszła mu do głowy i za to lubiła Taba najbardziej. Szczęśliwie ożeniony, z trójką dzieci, opowiedział jej już wszystko o Amy i o chłopakach.

Był dobrym strażnikiem. Nawet nie widząc kastetu, który nosił na lewej ręce, można było poznać, że potrafi o siebie zadbać - niewysoki, lecz szeroki w barach, zaś grające muskuły przedramion mówiły same za siebie. Wziął od niej portmonetkę i schował w zapinanej kieszeni; podała mu jeszcze torbę na zakupy. Gdy drzwi otworzyły się, wyszedł pierwszy - przejaw złych manier w dobrym towarzystwie, lecz dobry zwyczaj strażnika. Było gorąco, gorzej niż oczekiwała.

- A ty nie uraczysz mnie prognozą pogody? - spytała mrużąc oczy na widok rozgrzanej, już zatłoczonej ulicy. - Sądzę, że dość ich już pani dzisiaj słyszała, Miss Shirl. Ja sam zebrałem z tuzin. - Nie spoglądał na nią, gdy mówił, lecz, jak na zawodowca przystało, przez cały czas lustrował ulicę. Zwykle poruszał się i mówił powoli - robił to celowo, takiego właśnie bowiem zachowania większość ludzi oczekiwała od Murzyna. Jednak gdy zaczynały się jakieś kłopoty, nie trwały nigdy długo - Tab wyznawał zasadę, że przeciwnika należy wyeliminować pierwszym ciosem, który, jeśli został właściwie zadany, nie wymagał już korekty.

- Mamy dzisiaj coś szczególnego w planie? - spytał.

- Nie, tylko coś na obiad. I muszę jeszcze wstąpić do Schmidta.

- To może weźmnie pani rikszę, by oszczędzić siły przed tą wizytą?

- Tak, dzisiaj chyba tak. Riksze były stosunkowo tanie, a jeśli zwykle chodziła pieszo, to dlatego, że lubiła. Jednak nie w tym upale. Na postoju czekał cały rząd

riksz, ich właściciele siedzieli skuleni w cieniu pojazdów. Tab podprowadził ją do drugiego z kolei i przytrzymał go, by mogła wsiąść.

- A ja to co? - spytał gniewnie pierwszy w kolejce. - A nic, masz łyse opony - odpowiedział spokojnie Tab.

- Nie są łyse, tylko trochę zdarte, tak nie wolno... - Zjeżdżaj! - syknął Tab unosząc nieco pięści; ostre, żelazne kolce zalśniły w słońcu. Mężczyzna wskoczył na siodło i popedałował ulicą. Pozostali tylko odwrócili w milczeniu twarze. - Gramercy Park - powiedział do drugiego rikszarza.

Nie jechał szybko, Tab mógł spokojnie dotrzymać im tempa idąc obok. Shirl miała przed sobą unoszące się miarowo ramiona rikszarza pokryte strużkami potu, lśniące mokro plecy; widziała nawet sypiący się z włosów łupież. Skrępowana sytuacją skierowała wzrok na ulicę. Wokół przechodzili niespiesznie ludzie, inne riksze manewrowały między ciężko załadowanymi platformami. Bar na rogu Park Avenue wywiesił od rana napis: Dziś piwo od 14.00, i już parę osób czekało w koleje. Tyle godzin stania po jeden kufel piwa, pomyślała, i to po ostatnich podwyżkach. Piwa nigdy nie było dużo, zawsze usprawiedliwiano to ograniczonymi przydziałami ziarna lub czegoś innego, a przy takiej pogodzie znikało błyskawicznie ledwo zaczynała się sprzedaż, i to za fantastyczne ceny. Skręcili w Lexington i zatrzymali się na rogu Dwudziestej Pierwszej Ulicy. Wysiadła i poczekała w cieniu, aż Tab zapłaci kierowcy. Spomiędzy stoisk rynku spożywczego dochodził zgryźliwy chór głosów. Wziąwszy głęboki oddech i położywszy rękę na ramieniu Taba, ruszyła przez ulicę w kierunku Gramercy Park.

Wejście okalały stoiska z sucharami z wodorostów; wielokolorowe stosy piętrzyły się ponad tłumem, wabiąc brązem, czerwienią, błękitnawą zielenią.

- Trzy funty zielonych - powiedziała do tego samego co zawsze sprzedawcy, potem spojrzała na kartę z ceną. - Znowu dziesięć centów na funcie!

- Sam muszę tyle zapłacić, proszę pani, nie mam ani centa więcej zysku - na jednej szalce wagi położyła ciężarek, na drugą wsypał suchary.

- Ale dlaczego wszyscy pozwalają, by ceny rosły? - wzięła z szalki połamany kawałek suchara i zaczęła go żuć. Kolor zależał od rodzaju wodorostów, z których robiono suchary; zielony smakował jej zawsze najbardziej, mniej niż inne trącił jodyną.

- Podaż i popyt, podaż i popyt - sprzedawca wsypał suchary do trzymanej przez Taba torby. - Im więcej ludzi, tym mniej towarów. Słyszałem, że farmy wodorostów zakładane są teraz już na pełnym morzu, a im dłuższy transport, tym wyższa cena. - Wygłaszał tę litanię głosem tak monotonnym, jakby powtarzał ją już wielokrotnie.

- Nie wiem, czy ludzie to zniosą - powiedziała Shirl, gdy już odchodzili. W duchu zaś poczuła się nieswojo, przy stanie funduszów Mike'a nie musiała bowiem obawiać się niczego. Zastanawiała się, jak posunąć naprzód sprawę pensji Taba, nie zarabiał przecież wiele. - Chcesz suchara? - spytała.

- Dzięki pani, może później - obserwował tłum zręcznie odsunął ramieniem mężczyznę z wielkim workiem na plecach, który szedł prosto na nią.

Przez zatłoczony rynek przedzierał się powoli zespół muzykantów: trzech mężczyzn z gitarami domowej roboty i szczupła dziewczyna, której słaby głos ginął w zgiełku. Gdy podeszli bliżej, Shirl rozpoznała utwór; był to tegoroczny przebój "EL Troubadors": ...on earth above her... As pure a thought as angels are... to know her was to love her. Słowa nijak nie chciały pasować do zapadniętej piersi i kościstych ramion dziewczyny. Nie wiedząc czemu, Shirl poczuła się zażenowana.

- Daj im dziesięć centów - szepnęła do Taba, sama szybko podeszła do stoiska z nabiałem. Gdy Tab dołączył do niej, wrzuciła do torby opakowanie oleiny i małą butelkę mleka sojowego. Mike bardzo lubił je do kawy.

- Tab, proszę, bądź tak miły i przypomnij mi, bym odniosła butelki, to już czwarta! Przy kaucji dwóch dolarów za jedną, moja skleroza wkrótce doprowadzi mnie do ruiny.

- Przypomnę pani jutro. Jeśli będzie pani robiła zakupy. - Pewnie będę musiała. Mike zaprosił parę osób na obiad, nie wiem jeszcze ile, nie mówił też, co mam przygotować.

- Zawsze można podać rybę - Tab wskazał na wielki betonowy zbiornik z wodą. - Zbiornik jest pełny.

Shirl stanęła na palcach i zajrzała w mroczną wodę, gdzie ptywała stłoczona ławica tilapii.

- Świeża lapia - powiedziała kobieta sprzedająca ryby. - W nocy wyłowiona z jeziora Rankonkoma. - Zaczerpnęła siecią i pokazała im szamoczący się ładunek sześciocalowych rybek.

- Będzie je pani miała jutro? - spytała Shirl. - Chciałabym świeże.

- Czego tylko chcesz, kochana. W nocy przywiozą mi nowe.

Nie mieli już nic do załatwienia na rynku. Upał narastał, nadeszła pora, by dokonać ostatniego zakupu.

- Sądzę, że nie ma co odwlekać wizyty u Schmidta - powiedziała Shirl głosem na tyle osobliwym, że Tab aż odwrócił na chwilę oczy tłumu i spojrzał na nią.

- Oczywiście, proszę pani. Tam będzie chłodniej. Sklep Schmidta mieścił się w piwnicy wypalonego budynku przy Drugiej Alei; nad poziom ulicy wystawał tylko poczerniały kawał muru i kilka wzniesionych byle jak chat. Trzeba było przejść alejką na tyły, potem zejść trzy stopnie w dół, by stanąć przed ciężkimi, zielonymi drzwiami z judaszem.

W cieniu pod ścianą przycupnął strażnik - do tego sklepu wpuszczani byli wyłącznie stali klienci. Uniósł dłoń pozdrawiając Taba. Rozległ się szczęk zamka i ze środka wyszedł starszy mężczyzna z obfitością siwych włosów. Wspiął się na stopnie.

- Dzień dobry, sędzio - powiedziała Shirl. Sędzia Santini i Mike O'Brien mieli wiele wspólnych interesów i spotykała go już nieraz, głównie u Mike'a w domu.

- Witaj, dzień dobry, Shirl - wręczył strażnikowi niewielki, biały pakunek. - Też chciałbym, żeby to był dobry ranek, lecz jak dla mnie, jest zbyt gorąco. Latka lecą. Nic, pozdrów ode mnie Mike'a.

- Zrobię to, do widzenia, sędzio.

Tab podał jej portmonetkę, zeszła na dół i zastukała do drzwi. Po drugiej stronie coś się poruszyło, ktoś zerknął przez judasza, po czym szczęknął metal i drzwi się otworzyły. Wewnątrz panował chłodny półmrok.

- Ho, ho, czy to nie nasza kochaneńka Miss Shirl? - powiedział mężczyzna przy drzwiach, zatrzaskując je i zasuwając z powrotem rygle. Usiadł na stołku pod ścianą i złożył w ramionach dwururkę. Shirl nie odpowiedziała, nigdy nie reagowała na jego zaczepki. Zza lady uśmiechał się szeroko i prosiakowato właściciel sklepu, Schmidt.

- No, Shirl, czy przyszłaś może kupić znów coś smacznego dla Mr O'Briena? - połową tłustego ciała, spowitego w spryskany krwią biały fartuch, położył się na ladzie. Duże, czerwone dłonie wsparł o krawędzie kontuaru.

Przytaknęła, lecz zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć, strażnik zawołał:

- Niech pan jej da coś na osłodę, panie Schmidt, założę się, że po to przyszła.

- Nie sądzę, Arnie, to niepodobne do Shirl.

Obaj roześmiali się głośno. Shirl też próbowała zdobyć się na uśmiech; uniosła krawędź spoczywającego na ladzie arkusza papieru.

- Chciałabym kawałek wołowiny, jeśli jest - powiedziała, a oni znów wybuchnęli śmiechem. Zawsze tak było, dobrze wiedzieli, jak daleko mogą się posunąć nie przysparzając sobie kłopotów. Wiedzieli wszystko o niej i o Mike'u i nigdy nie zrobili ani nie powiedzieli niczego, co mogłoby go urazić. Usiłowała opowiedzieć mu raz o tym wszystkim, lecz ponieważ nie potrafiła podać żadnego konkretnego oskarżenia, dostarczyła mu tylko dobrej zabawy. Gdy już się uśmiał, stwierdził, że nie ma się czym przejmować i że trudno oczekiwać dobrych manier od zwykłych rzeźników.

- Popatrz tylko na to, Shirl - otworzył drzwiczki wmurowanej w ścianę za ladą szafy i wyjął mały, obdarty ze skóry ochłap mięsa. - Ładny kawałek, skruszały, z tłuszczem. Noga psa.

Mięso rzeczywiście wyglądało dobrze, ale to nie było to, czego szukała.

- To bardzo miło z pana strony, że mi pan to proponuje, ale wie pan, że Mr O'Brien woli wołowinę. - Coraz trudniej jest o nią ostatnio, Shirl - sięgnął głębiej do szafy. - Kłopoty z zaopatrzeniem, z dostawcami, windowanie cen, sama wiesz, jak jest. Ale Mr O'Brien jest moim stałym klientem, kupuje tutaj od dziesięciu lat i jak długo starcza

dla mnie, tak długo starczy i dla niego. Co powiesz o tym? - wycofał rękę i zatrzasnął drzwiczki, pokazując Shirl mały kawałek mięsa z cienką warstwą tłuszczu.

- Wygląda bardzo ładnie.

- Nieco ponad pół funta. Starczy?

- W sam raz.

Schmidt zdjął mięso z szalki i zaczął owijać je w folię.

- To uczyni cię lżejszą tylko o dwadzieścia siedem dolarów dziewięćdziesiąt centów.

- Czy to... To znaczy, czy ostatnim razem nie płaciłam mniej? - Mike zawsze miał do niej pretensje, gdy wydawała zbyt dużo na żywność, tak jakby to ona była odpowiedzialna za wzrost cen. Mimo to wciąż upierał się, że chce jeść mięso.

- Zgadza się, Shirl. Powiem ci jednak, co możemy zrobić. Dasz mi buzi, a opuszczę o dziewięćdziesiąt centów. Może nawet dam ci gratis kawałek mięsa od firmy... - obaj ze strażnikiem wybuchnęli gwałtownym śmiechem.

Co miała zrobić? Mike twierdził zawsze, że to tylko żarty i nic w tym złego. Wyjęła pieniądze z portmonetki.

- Proszę, panie Schmidt. Dwadzieścia... dwadzieścia pięć... dwadzieścia osiem. - Obok pieniędzy położyła kawałek łupku, na którym zapisała cenę. Schmidt spojrzał na nią, po czym niebieską kredą, której zawsze używał, wydrapał pod spodem S. Gdy Mike zacznie narzekać na cenę mięsa, wtedy pokaże mu ten kwit, chociaż i tak zapewne to nic nie da.

- Dziesięć centów reszty - rzeźnik uśmiechnął się i pchnął monetę po kontuarze. - Do zobaczenia, Shirl! - zawołał, gdy wzięła paczkę i skierowała się do drzwi.

- Tak, do następnego - dodał strażnik uchylając drzwi na tyle tylko, by była w stanie się prześliznąć. Gdy go mijała, przesunął szybko ręką po jej pośladkach w obcisłej sukni i zamykające się drzwi ucięły kolejny wybuch śmiechu.

- Do domu teraz? - spytał Tab biorąc od niej pakunek.

- Chyba już tak i też rikszą.

Spojrzał na jej twarz i już miał coś powiedzieć, lecz ugryzł się w język.

- Jest riksza - podprowadził ją ku jezdni.

W rikszy poczuła się lepiej. To były prymitywy, owszem, lecz nie byli dzisiaj bardziej nieprzyjemni niż zwykle i nie musiała tu wracać przed upływem tygodnia. No a poza tym, jak powiedział Mike, trudno oczekiwać dobrych manier od zwykłych właścicieli jatki. Zachowują się zupełnie jak mali chłopcy: szczeniackie żarty, wygłupy, naprawdę są niemal śmieszni. Ale przede wszystkim mają dobre mięso, a z tym bywa

różnie. Mike będzie miał stek, a ona zrobi sobie zapiekankę na okrawkach tłuszczu. Tab pomógł jej wysiąść z rikszy i wziął torbę z zakupami.

- Mam zanieść ją na górę?

- Raczej tak i mógłbyś zabrać w niej puste butelki po mleku. Czy dałoby się złożyć je gdzieś w pokoju strażników, by poczekały do rana?

- Nic trudnego. Charlie ma zamykaną szafkę i wszyscy z niej korzystamy.

Charlie otworzył im drzwi. Westybul wydał im się teraz oazą chłodu. Bez słowa wjechali windą na górę. Shirl szukała w portmonetce kluczy. Tab wysiadł z windy pierwszy i ruszył przodem. Otworzył zewnętrzne drzwi, lecz zaraz zatrzymał się tak nagle, że omal na niego nie wpadła.

- Czy może pani poczekać sekundę, Miss Shirl? - powiedział cicho, odstawiając ostrożnie torbę z zakupami pod ścianę.

- O co chodzi...? - zaczęła, lecz umilkła widząc, jak Tab przykłada palec do warg i wskazuje na wewnętrzne drzwi. Były uchylone prawie na cal, zaś na framudze widniała głęboka rysa. Nie wiedziała, co to ma znaczyć.

Wyczuła jednak, że ma to coś wspólnego z kłopotami. Tab przyjął już postawę do walki i na lekko ugiętych nogach, z pięściami zaciśniętymi przed sobą wszedł do mieszkania.

Zniknął, lecz w środku nadal panowała cisza, a gdy wrócił po chwili, był wyprostowany, a jego twarz nie wyrażała niczego.

- Panno Shirl - powiedział. - Wolałbym, żeby pani tam nie wchodziła, ale będzie wskazane, jeśli rzuci pani okiem do sypialni.

Wiedziała już teraz, że coś się stało i zaczęła się bać, lecz poszła za nim posłusznie.

To dziwne, pomyślała stanąwszy w drzwiach sypialni, ale ktoś tu krzyczy. Trwało chwilę, zanim zrozumiała, że to jej własny głos, że to właśnie ona krzyczy.

następny

. 4 .

Dopóki było ciemno, oczekiwanie nie dłużyło się. Billy Chung skulił się w rogu piwnicy i parę razy zapadł nawet w krótką drzemkę. Lecz gdy zauważył w oknie szarą zapowiedź świtu, poczuł ogarniający go niepokój z wolna przeradzający się w strach. A jeśli go znajdą? W nocy wszystko wydawało się takie łatwe, zresztą, doszedł tu bez kłopotów. Zupełnie jak wtedy, gdy chadzał na włamy z Tygrysami. Wiedział, gdzie kupić starą łyżkę do opon unikając jakichkolwiek pytań i gdzie za dziesięć centów naostrzą ją jak należy. Najtrudniejszą sprawą było przedostanie się przez fosę biegnącą wokół budynku, lecz nikt nie zauważył go ani w chwili, gdy przeskakiwał przez krawędź, ani wtedy, gdy łomem wypychał okno piwnicy. W przeciwnym razie już dawno by go złapano. Ale... w świetle dnia mogą zauważyć ślady łomu na oknie... Zadrżał na tę myśl i nagle usłyszał, jak głośno wali mu serce. Ruszenie się spod ściany i podejście do okna wymagało wiele samozaparcia. Spróbował dojrzeć cokolwick przez brudną szybę. Zanim zamknął okno za sobą, napluł na framugę i wtarł nieco brudu w ślady pozostawione przez żelazo; ale czy zrobił to dość dobrze? Kręcąc głową usiłował dojrzeć coś przez zarys serca, które wcześniej wyrysował na szybie. Upewnił się, że poodłamywane drzazgi były ledwo widoczne. Poczuwszy ulgę pośpieszył z powrotem do kąta, lecz w ciągu paru minut strach wrócił.

Przez okno wlewało się teraz pełne światło dnia - ile czasu jeszcze upłynie, zanim go znajdą? Jeśli ktokolwiek wejdzie przez te drzwi i spojrzy w tym kierunku, zaraz go zobaczy, gdyż stare, pokryte pajęczyną płyty, za którymi się skulił, nie były w stanie zasłonić go całkowicie. Drżąc ze strachu przylgnął do betonowcj ściany tak mocno, że przez cienki materiał koszuli poczuł jej szorstką powierzchnię.

Stracił zupełnie poczucie czasu - każda chwila zdawała się wiecznością. Gotów był przysięgać, że spędził w tej piwnicy połowę życia. Podczas kilkunastu sekund, gdy ktoś przechodził korytarzem, a on wsłuchiwał się w odgłosy nadchodzących i oddalających się stóp, stwierdził, że wszystkie jego wcześniejsze lęki były tylko błahostką. Leżąc na podłodze trząsł się i pocił jednocześnie, a nade wszystko przeklinał swoją słabość. Strach był silniejszy od niego. Zaciśniętymi palcami bezwiednie skubał swą goleń, i aż pojawiła się krew. Przycisnął w tym miejscu złachmanioną chustkę i czas ruszył znów z miejsca, lecz jeszcze i wolniej niż przedtem.

Wyjście z pomieszczenia była trudniejsze niż czekanie. Nie wiedział, czy ludzie, którzy mieszkali na górze, wyszli już do pracy ani czy w ogóle zwykli wychodzić. No i, czy oni w ogóle pracują? Następna fala strachu. Upływ czasu mógł oszacować jedynie obserwując smugę słonecznego światła przedzierającego się przez brudne okno i nasłuchując odgłosów ruchu ulicznego. Odczekał dość długo, potem dołożył jeszcze trochę, aż doszedł do wniosku, że teraz będzie można już wyjść. Schował łom za pasek szortów tak, że nie dawał się zauważyć. Otrzepał się z kurzu na ile mógł i ujął klamkę.

Z odległej części piwnicy dochodziły jakieś odgłosy, ktoś walił młotkiem, lecz na drodze do schodów nie spotkał nikogo. Gdy dochodził do drugiego piętra, usłyszał czyjeś kroki, lecz zdołał zbiec o kondygnację niżej i przeczekać w korytarzu, aż

schody znów były puste. Nie było już więcej przeszkód i po minucie Billy stał przed drzwiami ze znajomą tabliczką: O'Brien.

- A jeśli ona wciąż jest w domu? - wyszeptał i uśmiechnął się. - To byłby kłopot, ty chcesz przecież gotówki - dodał, lecz glos zabrzmiał nienaturalnie. Wciąż dobrze pamiętał te okrągłe piersi mierzące wprost w niego.

Wraz z otwarciem zewnętrznych drzwi w głębi mieszkania musiał z pewnością rozlec się jakiś sygnał, przynajmniej tak było w nocy. I bardzo dobrze. Aby się włamać, potrzebował pewności, że nikogo nie ma w środku. Zanim nerwy zawiodły go kompletnie, pchnął drzwi, wszedł do sionki i oparł się o nie, już zamknięte.

Ktoś mógł jednak być w domu. Poczuł jak na tę myśl pot zalewa mu twarz. Spojrzał w obiektyw kamery, lecz szybko odwrócił wzrok. Jeśli spyta mnie, powiem coś o Western Union, coś o telegramie. Przestępując z nogi na nogę czekał na trzask włączanego głośnika tak długo, aż ściany zaczęły naciskać na niego ze wszystkich stron. Lecz nic nie mąciło ciszy. Usiłował domyślić się, czy minęła już minuta. Policzył do sześćdziesięciu, lecz stwierdził, że liczył za szybko i zrobił to jeszcze raz.

- Część - powiedział na wypadek, gdyby system TV nie działał, dla pewności zastukał jeszcze do drzwi. Z początku cicho, potem coraz głośniej i śmielej.

- Czy ktoś jest w domu? - zawołał ujmując żelazo i wciskając naostrzony koniec w ościeże drzwi tuż obok klamki. Gdy tkwiło już dość głęboko, pociągnął silnie obiema rękami. Rozległ się cichy trzask i drzwi stanęły otworem. Gotów w każdej chwili odwrócić się i rzucić do ucieczki, prawie na palcach wszedł do środka.

Apartament był mroczny i cichy, powietrze w środku chłodne. Na końcu długiego korytarza widniały otwarte drzwi, a w głębi fragment ciemnego ekranu telewizora. Po lewej ręce miał zamknięte drzwi sypialni z łóżkiem, na którym w nocy leżała ona. Może wciąż jeszcze tam była, może spala i gdyby tak wszedł i nie obudził jej od razu... Zadrżał. Ściskając żelazo w lewej ręce powoli otworzył drzwi.

Jedyne co zobaczył to zmięte i splątane prześcieradła. Przeszedł obok łóżka i nie spojrzał na nie już więcej. Czego niby jeszcze oczekiwał? Dziewczyna taka jak ona, wcale by go nie - chciała. Zaklął i wysunął górną szufladę wielkiej toalety, odłupując przy tym drzazgi i niszcząc ją żelazem. Była pełna różowej i białej gładkiej bielizny delikatniejszej niż wszystko, co znał do tej pory. Przesunął ręką po tkaninach i wyrzucił wszystko na podłogę

W ten sam sposób potraktował po kolei wszystkie szuflady. Zawartość rozrzucał wkoło, odkładając na bok tylko te rzeczy z ubrania, o których wiedział, że na pchlim targu zdoła je sprzedać za wysoką cenę. Nagły łoskot przyprawił go o spazm strachu, po chwili zastąpionego przez złość. Zastygł w bezruchu i dopiero po chwili skojarzył, że to tylko woda bulgocze w rurach. Odprężył się trochę, zaczął wreszcie kontrolować swe emocje i może dzięki temu zauważył stojącą na stole szkatułkę z biżuterią.

Wziął ją do ręki a gdy przyglądał się szpilkom i bransoletkom, zastanawiając się, czy są prawdziwe i ile mógłby za nic dostać, drzwi łazienki otworzyły się i do sypialni wszedł Mike O'Brien.

W pierwszej chwili nie zauważył Billy'ego. Stanął tylko i gapił się na zniszczoną toaletkę, na uszkodzony kredens i porozrzucane rzeczy. Ubrany był w szlafrok pokryty ciemnymi plamami wody. Mokrą głowę wycierał ręcznikiem. Gdy w końcu ujrzał Billy'ego, stanął zdumiony i odrzucił ręcznik.

- Ty mały sukinsynu! - ryknął. - Co u diabła tu robisz! Nadciągał jak sama śmierć, jak góra, twarz miał jeszcze poczerwieniałą po kąpieli, gniew czynił ją szkarłatną. Był dwie głowy wyższy od Billy'ego, a pod rozlazłą tłustością ramion widniały solidne muskuły i jasne było, że niczego tak nic pragnie, jak rozedrzeć tego chłopaka na dwoje.

Mike wyciągnął ręce i Billy cofał się tak długo, aż poczuł ścianę za plecami. W dzikiej panice przypominał sobie o obciążającym mu dłoń żelazie i zamachnął się na ślepo. Potem spostrzegł, że Mike, nie wydając dźwięku, upadł na dywan. Usłyszał tylko ciężki łomot walącego się ciała i dopiero wtedy zaczął kojarzyć, co właściwie zrobił.

Oczy O'Briena były szeroko otwarte, lecz niczego już nie widziały. Żelazo uderzyło go w skroń, a ostry koniec z łatwością przebił cienką w tym miejscu kość i zagłębił się w mózg, zabijając O'Briena na miejscu. Było bardzo mało krwi, żelazo bowiem pozostało w ranie i wystawało teraz z boku głowy jak czarny uchwyt.

To że Billy nie został ujęty ani zauważony, gdy wychodził z budynku, było tylko wynikiem całego szeregu zbiegów okoliczności albo, mówiąc inaczej, po prostu miał szczęście. Zmykając w ślepej panice nie spotkał nikogo na schodach, lecz zmyliwszy zakręty znalazł się blisko wyjścia dla służby. Wprowadzał się nowy lokator i przynajmniej dwudziestu równie jak Billy obdartych mężczyzn wnosiło meble. Doglądał ich jeden mundurowy z obsługi budynku, ale pilnował tylko tych, którzy wchodzili i nie zwrócił uwagi, gdy Billy wyszedł dołączywszy do dwu innych.

Billy doszedł prawie do nabrzeża, gdy zdał sobie sprawę, że w panicznej ucieczce zostawił cały łup. Oparł się plecami o mur i osunął, aż skulony przysiadł na piętach. Dyszał z wyczerpania i nieustannie ocierał pot zalewający mu oczy. Musiał przecież wciąż obserwować czy ktoś go nie ściga. Było spokojnie, nikt go nie zauważył, udało się. Lecz zabił człowieka i nic z tego nie miał. Zadrżał mimo gorąca i wciągnął głęboko powietrze. Gówno, wszystko na nic.

następny

. 5 .

- Ot tak? Chcecie, żebyśmy rzucili wszystko i polecieli na wasze wezwanie? Ot tak, po prostu? - Ostatnie pytanie porucznika Grassioli straciło nieco na powadze, gdy zakończył je głębokim czknięciem. Z górnej szuflady biurka wyjął pudełeczko z białymi tabletkami, wytrząsnął dwie na dłoń i spojrzawszy na nie z niesmakiem, włożył do ust. - Co tam się u was stało? - Pytaniu towarzyszył suchy trzask rozgryzanych tabletek.

- Nie wiem, nie powiedzieli mi - mężczyzna w czarnym mundurze starał się wyrazić swą postawą pełny szacunek, lecz w jego głosie pobrzmiewał cień lekceważenia. - Jestem tylko posłańcem, sir. Kazano mi pójść na najbliższy posterunek policji i przekazać następującą wiadomość: Mamy niejakie kłopoty. Przyślijcie zaraz detektywa.

- Czy wy z Chelsea Park myślicie, że możecie wydawać rozkazy policji?

Posłaniec nie odpowiedział. Obaj wiedzieli, że odpowiedź byłaby twierdząca i lepiej będzie, jeśli pozostanie nie wypowiedziana. W tamtejszych budynkach mieszkało wiele ważnych osobistości. Porucznik skrzywił się, gdy chory żołądek znów dał znać o sobie ukłuciem bólu.

- Przyślijcie tu Ruscha! - zawołał.

- Yes, sir? - spytał Andy zjawiwszy się kilka chwil później. - Nad czym siedzisz?

- Mam podejrzanego, to może być ten fałszerz, który zarzucił Brooklyn lewymi czekami. Zamierzam...

- Daj go w odstawkę. Mam tu raport i chcę, żebyś poszedł go sprawdzić.

- Nie wiem, czy mogę, on jest...

- Jeśli ja mówię, to możesz i zrobisz to. Ja tu dowodzę, nie ty, Rusch. Pójdziesz z tym człowiekiem, a potem, gdy wrócisz, zameldujesz mi osobiście, co się stało - tym razem czknięcie było łagodniejsze, bardziej niż cokolwiek innego przypominało znak przestankowy, a w tym konkretnym wypadku wspaniale zastąpiło kropkę.

- Wasz porucznik nieco się zirytował - stwierdził posłaniec, gdy znaleźli się już na ulicy.

- Zamknij się - warknął Andy nie zaszczycając go nawet spojrzeniem. Miał za sobą kolejną ciężką noc i był zmęczony. Na dodatek fala gorąca nie ustępowała. Gdy wyszli z cienia estakady i skierowali się na północ, żar promieni słonecznych stał się nie do zniesienia. Andy poczuł, jak wokół głowy zaczyna zaciskać się obręcz bólu. Kopnął gniewnie śmieci zaścielające chodnik. Skręcili za róg, gdzie był cień. Przed nimi wyrastał jak rafa budynek zwieńczony blankami i wieżyczkami i prowadzący do niego most. Andy zapomniał o bólu głowy - raz tylko był tu w środku, a i to jedynie w

westybulu. Drzwi otworzyły się, zanim do nich doszli, portier odsunął się, by ich wpuścić.

- Policja - rzekł Andy pokazując odznakę. - Co się stało?

Rosły mężczyzna nie odpowiedział od razu, wskazał tylko głową na oddalającego się posłańca, a gdy tamten był już poza zasięgiem głosu, zwilżył wargi i wyszeptał:

- Coś paskudnego - próbował wyrazić spojrzeniem smutek, lecz oczy lśniły mu z podniecenia. - . To... morderstwo... pewien gość został zabity...

Na Andym nie zrobiło to wrażenia; przeciętna dla miasta Nowy Jork wynosiła siedem morderstw dziennie, a w "szególnie udane" dni i dziesięć.

- Chodźmy to zobaczyć - powiedział i podążył za portierem do windy.

- To tutaj - wskazał portier otwierając zewnętrzne drzwi mieszkania 41 - E; z wnętrza wypłynęło przynoszące ulgę chłodne powietrze.

- To tyle - powiedział Andy do wyraźnie rozczarowanego portiera. - Teraz już ja się tym zajmę. - Wchodząc zauważył głębokie rysy na drzwiach. Spojrzał w głąb mieszkania; na ustawionych pod ścianą krzesłach siedziało w korytarzu dwoje ludzi. Na trzecim krześle spoczywała torba pełna żywności.

Wyraz ich twarzy był niemal identyczny - rozwarte w szoku oczy, twarze porażone nadejściem czegoś całkowicie nieoczekiwanego. Dziewczyna była atrakcyjnym rudzielcem, włosy miała długie, mile pasujące do różowej karnacji. Druga osoba, mężczyzna, wstał natychmiast i Andy rozpoznał w przysadzistym. Murzynie osobistego strażnika.

- Jestem detektyw Rusch, rejon 12 - A.

- Tab Fielding, a to panna Greene, mieszka tutaj. Chwilę temu wróciliśmy z zakupów. Dostrzegłem ślady włamania na drzwiach, wszedłem i zajrzałem tam - wskazał kciukiem na najbliższe zamknięte drzwi - i znalazłem go. Panna Greene zjawiła się minutę później i też go widziała. To Mr O'Brien. Przeszukałem mieszkanie, lecz nie znalazłem nikogo i niczego więcej. Miss Shirl, panna Greene, została na korytarzu, a ja zjechałem na dół, by wezwać policję. Potem siedzieliśmy już tutaj. Niczego nie dotykaliśmy.

Andy przyjrzał im się dokładnie i pomyślał, że cała ta historia musi być prawdziwa; łatwo było ją sprawdzić wypytując windziarza czy portiera, lecz byłaby to zbyteczna fatyga.

- Chciałbym, żebyście oboje weszli tam ze mną.

- Ja nie chcę - powiedziała szybko dziewczyna zaciskając palce na poręczach krzesła. - Nie chcę go więcej oglądać teraz, gdy...

- Przykro mi, ale obawiam się, że nie mogę tu pani zostawić samej.

Nie upierała się dłużej, powoli wstała i przygładziła dłonią fałdy szarej sukni. Gdy przechodziła obok Andy'ego, ten zdał sobie sprawę, że jest bardzo ładna. Strażnik przytrzymał drzwi i detektyw wszedł za nią do sypialni. Odwracając twarz do ściany, dziewczyna szybko przeszła do łazienki i zamknęła za sobą drzwi.

- Nic jej nie będzie - stwierdził Tab, zauważając poruszenie detektywa. - To dość twardy dzieciak, ale nie może pan mieć do niej pretensji, że nie ma ochoty oglądać czegoś takiego jak to.

Andy po raz pierwszy spojrzał na ciało. Widział już rzeczy o wiele gorsze. Po śmierci Michael O'Brien robił wrażenie nie mniejsze niż udawało mu się to za życia. Leżał na plecach z rozrzuconymi rękami i nogami, rozdziawionymi ustami i szeroko otwartymi oczami. Z boku głowy wystawało długie żelazo, cienki strumyczek ciemnej krwi ściekał po szyi na podłogę. Andy ukląkł i dotknął nagiego przedramienia - skóra była zimna. Po części zapewne za sprawą klimatyzacji. Wstał i popatrzył na drzwi łazienki.

- Czy ona może nas słyszeć? - spytał.

- Nie, sir. Są dźwiękoszczelne jak całe mieszkanie.

- Powiedział pan, że ona tu mieszka. Jak mam to rozumieć?

- Ona jest, była, dziewczyną Mr O'Briena. Nie ma z tym nic wspólnego, bo i czemu niby. On ją utrzymywał, dzięki niemu miała a suchary i margarynę... - nagle zdał sobie z czegoś sprawę. - I był moim pracodawcą. Oboje będziemy musieli teraz poszukać sobie nowego punktu zaczepienia. - Ramiona mu opadły i zamyślił się, z niepokojem spoglądając w niespodziewanie niepewną przyszłość.

Andy rozejrzał się po porozrzucanych w nieładzie ubraniach i wyrzuconych szufladach.

- Może walczyli przed jej wyjściem i wtedy...

- Nie panna Shirl! - pięści Taba zacisnęły się mocno. - Ona nie byłaby w stanie zrobić czegoś takiego. Gdy mówiłem, że to twandy dzieciak, miałem na myśli, że potrafi radzić sobie w życiu. Tego by nie zrobiła. To musiałoby się stać zanim spotkałem ją na dole, w westybulu. A była taka jak zawsze, miła, szczęśliwa... Nie zachowywałaby się w ten sposób, gdyby wcześniej doszło do czegoś takiego - wskazał ze złością na leżące pomiędzy nimi ciało.

Andy w myślach zgodził się ze strażnikiem. Tak piękny kociak jak ona nie musiał zabijać. To co robota, robiła dla forsy, a jeśli wybrany sprawiał zbyt wiele kłopotów, to wystarczyło odejść i poszukać sobie kogoś nowego z pieniędzmi. To nie wymagało morderstw.

- A ty, Tab, nie stuknąłeś przypadkiem starego?

- Ja? - Nie był zły, był zdziwiony. - Po raz pierwszy wszedłem dziś na górę dopiero wtedy, gdy odprowadzałem pannę Shirl. - Wyprostował się okazując zawodową

dumę. - Poza tym, jestem strażnikiem, mam kontrakt, by go chronić, a ja nie łamię umów. A jeśli kogoś zabijam, to nie tak. Tak się nie zabija.

Z każdą minutą pobytu w klimatyzowanym pokoju Andy czuł się lepiej. Wysychający pot mile chłodził mu ciało, a ból głowy niemal już zniknął. Uśmiechnął się.

- Zgadzam się, jesteście oboje poza podejrzeniami. Lecz proszę, niech pan nie powtarza tego nikomu, zanim nie złożę meldunku. Wygląda to na zwykłą kradzież z włamaniem. O'Brien musiał wejść tutaj i zaskoczyć złodzieja, który poczęstował go tym czymś, co teraz sterczy mu z głowy - spojrzał na leżącą postać. - Kim on by i z czego się utrzymywał? O'Brien to popularne nazwisko.

- Robił interesy - powiedział Tab beznamiętnie. - Nie jesteś zbyt rozmowny, Fielding. Może spróbujesz raz jeszcze?

Tab spojrzał na zamknięte drzwi łazienki i wzruszył ramionami.

- Nie wiem dokładnie, co robił. Mam dość rozumu, by nie pytać o to, co mnie nie dotyczy. Miał coś wspólnego z jakimiś ciemnymi interesami i z polityką. Wiem, że odwiedzały go tutaj różne szyszki z Ratusza...

Andy strzelił palcami.

- O'Brien, byłby to Wielki Mike O'Brien?

- Tak go nazywali.

- Wielki Mike... Cóż, zatem nie ma czego żałować. Gdyby tak szlag zechciał trafić jeszcze kilku takich jak on...

- To już nie moja sprawa - Tab wpatrywał się przed siebie z twarzą pozbawioną wyrazu.

- Uspokój się. Już dla niego nie pracujesz. Twój kontrakt wygasł.

- Zapłacono mi do końca miesiąca, dopiero wtedy skończę pracę.

- Skończyłeś ją w chwili, gdy ten tutaj wylądował na podłodze. Myślę, że lepiej będzie, jeśli teraz zaopiekujesz się dziewczyną.

- Właśnie tak zamierzam - rysy jego twarzy złagodniały nieco, spojrzał na detektywa. - To wszystko nie będzie dla niej łatwe.

- Da sobie radę - rzucił beznamiętnie Andy. Wyjął notatnik i rylec. - Porozmawiam z nią teraz, potrzebuję materiału do meldunku. Poczekaj w mieszkaniu, aż skończę z nią i porozmawiam jeszcze z pracownikami budynku. Jeśli ich zeznania potwierdzą twoje, to nie będę cię już potrzebował.

Zostawszy sam na sam z ciałem, Andy wyjął z kieszeni plastikową torbę na dowody rzeczowe i nałożył ją na żelazo. Wyciągnął narzędzie z czaszki - wyszło bardzo

łatwo, a wyciek krwi był niewielki. Zapieczętował torbę, potem wziął poszewkę z łóżka i owinął cały pakunek. Przynajmniej teraz nikt nie przyleci ze skargą, że Andy Rusch niósł zakrwawione żelazo po ulicy, a jeśli dobrze to rozegra, to zdobędzie jeszcze poszewkę. Zanim zastukał do drzwi łazienki, przykrył ciało prześcieradłem.

Shirl uchyliła drzwi na tyle tylko, by wyjrzeć.

- Chciałbym z panią porozmawiać - stwierdził, a pomyślawszy o leżącym za nim denacie, dodał: - Czy jest fu jeszcze drugi pokój?

- Salon, pokażę panu.

Otworzyła drzwi na całą szerokość i wyszła. Znów przemknęła się pod ścianą, odwracając twarz od podłogi. Tab siedział w korytarzu i tylko odprowadził ich spojrzeniem.

- Proszę czuć się jak u siebie - powiedziała Shirl. - Za chwilę do pana przyjdę - oddaliła się do kuchni. Andy siadł na kanapie - była bardzo miękka - i położył tabliczkę na kolanach. W oknie mruczał klimatyzator, a ciężkie kotary były zasłonięte niemal całkowicie i przepuszczały niewiele światła, tak że w pokoju panował przyjemny półmrok. Na. ścianach wisiały obrazy, wyglądały jak prawdziwe płótna, na półkach stały książki. Całości dopełniał stół i krzesła z jakiegoś czerwonawego drewna oraz monstrualny telewizor. Nieboszczyk całkiem ładnie tu sobie urządził.

- Chce pan drinka? - zawołała Shirl z kuchni. - Mam wódkę.

- Jestem na służbie, jednak dziękuję za troskę. Zimna woda zupełnie mi wystarczy.

Przyniosła na tacy dwie szklanki, lecz zamiast podać mu jedną, przyłożyła ją do oparcia kanapy w pobliżu ręki. Szklanka zawisła, jakby przyklejona, ignorując grawitację. Chwycił ją i pociągnął - szklanka stawiała niewielki opór. Zobaczył, że w szkło były wtopione delikatne metalowe obręcze, zatem pod płótnem kanapy musiał być ukryty magnes. Sprytne. Z niejasnych jednak powodów zirytowała go ta sztuczka i upiwszy nieco pozbawionej smaku i zapachu wody postawił szklankę na podłodze.

- Chciałbym zadać pani kilka pytań - powiedział, robiąc "ptaszka" na tabliczce. - O której wyszła pani dziś rano z mieszkania?

- Dopiero o siódmej, wtedy Tab zaczyna służbę. Chciałam zrobić zakupy, zanim będzie za gorąco.

- Czy zamknęła pani za. sobą drzwi?

- One zamykają się same, nie można zostawić ich otwartych, chyba że czymś się je zastawi.

- O'Brien żył, kiedy pani wychodziła? Spojrzała na niego ze złością.

- Oczywiście. Spał i chrapał. Pan sądzi, że to ja go zabiłam? - wyraz rozdrażnienia na jej twarzy ustąpił przygnębieniu, gdy przypomniała sobie, co leżało w sąsiednim pokoju. Szybko pociągnęła drinka.

- Gdy dotknąłem ciała pana O'Briena, było jeszcze ciepłe - dobiegł zza progu głos Taba. - Ktokolwiek go zabił, musiał to zrobić chwilę przed naszym przyjściem.

- Proszę usiąść na korytarzu i nie wtrącać się - powiedział ostro Andy nie odwracając głowy. Upił łyk lodowatej wody. O co właściwie mu chodziło, czym się tu przejmował? Jakie to miało znaczenie, kto sprzątnął Wielkiego Mike'a, ważne że to zrobił i społeczeństwo winno mu być wdzięczne. Wszystko wskazywało, że to nie dziewczyna. Gdzie motyw? Spojrzał na nią i spotkał jej wzrok; odwróciła się obciągając suknię na kolanach.

- Chociaż tak naprawdę, to wszystko jedno - stwierdził, lecz to było za słabo powiedziane. - Niech pani zrozumie, panno Greene, że jestem tylko gliną wykonującym swoją robotę. Proszę powiedzieć mi wszystko, co chcę wiedzieć, ja to zapiszę i oddam porucznikowi. Osobiście nie. sądzę, by miała pani cokolwiek wspólnego z tym morderstwem. Jednakże muszę zadać kilka pytań.

Po raz pierwszy zobaczył na jej twarzy uśmiech i był to miły uśmiech. Marszczyła przy tym nos, a że była udanym dzieciakiem, pomyślał Andy, to rzeczywiście jest w stanie dać sobie radę z każdym, kto ma za dużo dolców: Spojrzał na tabliczkę i grubą linią podkreślił słowa: Wielki Mike.

Tab zamknął drzwi za Andym, gdy ten wyszedł, po czym odczekał kilka minut, by mieć pewność, że detektyw nie wróci. Wszedłszy do salonu stanął tak, by mieć baczenie na drzwi do mieszkania i widzieć, gdyby się otworzyły.

- Miss Shirl, jest coś, co chciałbym pani przekazać. Shirl była w trakcie spożywania trzeciego dużego drinka, lecz alkohol zdawał się dziś na nią nie działać.

- Co takiego? - spytała zmęczonym głosem.

- Nie chciałbym być wścibski, ale nie wiem nic na temat testamentu Mr O'Briena...

- Możesz przestać o tym myśleć. Widziałam go, wszystko zapisał siostrze. O mnie nie ma tam nawet wzmianki, o tobie też nie.

- Nie myślałem o sobie - powiedział zimnym głosem, twarz mu nagle stężała.

Zrobiło się jej przykro.

- Źle mnie zrozumiałeś. Jestem po prostu, nie wiem, rozstrojona. To wszystko zdarzyło się tak nagle... Tab, proszę, nie złość się na mnie.

- Domyślam się, że jest pani zdenerwowana - uśmiechnął się i zagłębił rękę w kieszeni. - Potrafię to sobie wyobrazić. Nie mam powodów, by narzekać na Mr O'Briena jako na pracodawcę, lecz umiał dbać o swoje pieniądze. Nie wyrzucał ich w błoto i nie szastał nimi. Zanim pojawił się tutaj ten detektyw, zajrzałem do portfela pana O'Briena, był w kieszeni marynarki. Zostawiłem kilka dolców, resztę mam tutaj. Proszę. - Wyciągnął rękę ze zwitkiem banknotów. - Zgodnie z prawem należy to do pani.

- Nie mogłabym...

- Musisz. Teraz będzie ciężki czas dla ciebie, Shirl. Będziesz potrzebowała pieniędzy bardziej niż jego rodzina. O tych pieniądzach nikt nic wie, należą się tobie.

Położył pieniądze na skraju stołu. Spojrzała na nie i pomyślała, że Tab zapewne ma rację. Siostra Mike'a ma i tak dość własnych.

- Ale może je podzielimy?

- Nie - powiedział beznamiętnie dokładnie w chwili, gdy przytłumiony brzęczyk zasygnalizował, że ktoś otworzył zewnętrzne drzwi.

- Ze szpitala - przedstawili się dwaj mężczyźni w białych mundurach, gdy Tab przyjrzał im się przez system TV. Mieli ze sobą nosze. Poszedł ich wpuścić.

następny

Harry Harrison Przestrzeni! Przestrzeni!

. 6 .

- Jak długo cię nie będzie, Charlie?

- To moja sprawa, a ty utrzymaj twierdzę aż wrócę - mruknął portier i spojrzał na strażnika w sposób, który miał upodobnić go do kaprala pomiatającego rekrutami. - Za moich czasów widywałem o wiele lepiej wyczyszczone guziki.

- Miejże serce, Charlie, przecież wiesz, że one są z plastiku. Rozpadłyby się na kawałki, gdybym usiłował je wypucować.

W nieformalnej hierarchii pracowników Chelsea Park Charlie był niekwestionowanym przywódcą. Nie miało to związku z pensją, ta była najmniej istotną częścią jego dochodów; swoją pozycję zawdzięczał przedsiębiorczości. Był jedyny tutaj, który często spotykał się z mieszkańcami , i wykorzystywał ten fakt do maksimum. Miał liczne i dobre kontakty poza budynkiem i za odpowiednią opłatą był gotów zdobyć dla lokatorów wszystko, czego chcieli. Wszyscy mieszkańcy lubili go i nazywali po prostu Charlie, natomiast pracownicy pałali do niego nienawiścią, a imiona, którymi go określali nigdy nie docierały do jego uszu. Z jego pracą tutaj

wiązało się urządzone w piwnicy mieszkanie, jednak zarządcy budynku byliby bardzo zdziwieni, gdyby ujrzeli wszystkie innowacje wprowadzone do skromnego, z założenia, pokoju. Wyjący i postukujący stary klimatyzator obniżał temperaturę przynajmniej o dziesięć stopni. Dwa dziesięciolecia doglądania wyprowadzek wyposażyły go w całkiem niezłe, kolorowe meble, włącznie z szafkami stojącymi wzdłuż wszystkich ścian. Zawierały one imponującą kolekcję zamkniętych butelek i porcjowanej żywności, czego Charlie nie używał, lecz sprzedawał, oczywiście z odpowiednim narzutem, lokatorom. Najdrobniejszym spośród ulepszeń było doprowadzenie wody i prądu, za które w całości płacił zarząd budynku, nic oczywiście o tym nie wiedząc. Żeby otworzyć drzwi potrzebne były dwa klucze, które nosił stale przy pasku. Wszedł i powiesił starannie w szafie marynarkę munduru, potem nałożył czystą, choć pocerowaną koszulę. W jego wielkim, podwójnym łóżku spał ciągle nowy windziarz. Charlie obudził go kopiąc ramę lóżka, a miał czym kopać - buty numer czternaście. - Wstawaj, za godzinę zaczynasz pracę!

Rozespany chłopak wypełzł z pościeli i smukły, nagi stanął przed Charliem drapiąc się po żebrach. Ten uśmiechnął się wspominając nocne przyjemnostki i klepnął lekko chłopca w pośladek.

- Wszystko będzie w porządku, chłopcze. Uważaj tylko na starego Charliego, dbaj o niego, a stary Charlie zadba o ciebie.

- Jasne, Mr Charlie, wiem - powiedział ten zmuszając glos, by wyrażał zadowolenie. Wszystko to było dla niego nowością, wprawdzie niezbyt miłą, lecz zawdzięczał temu pracę. Uśmiechnął się nieśmiało.

- Dość. tego - rzekł Charlie i klepnął chłopca znowu, tym razem dość mocno, zostawiając na białej skórze czerwony ślad dłoni. - Gdy będziesz wychodził sprawdź, czy drzwi są dobrze zamknięte, a w pracy trzymaj język za zębami - dodał jeszcze i wyszedł.

Na ulicy było o wiele goręcej niż oczekiwał, w związku z czym gwizdnął na rikszę. Tego ranka zarobił już dość, by opłacić tuzin kursów. Aż dwie przyjechały, ścigając się, na jego wezwanie. Pierwszą odesłał - kierowca był zbyt szczupły i niewysoki. Śpieszyło mu się, a ważył dwieście czterdzieści funtów.

- Empire State Building, wejście od Trzydziestej Czwartej Ulicy. Szybko.

- Przy tej pogodzie? - kierowca chrząknął i stanął na pedałach wprawiając skrzypiącą machinę w ruch. - Chce mnie pan zabić, generale?

- A umieraj, co mnie to obchodzi. Dostaniesz dolca za kurs.

- To może chce pan, abym umarł z głodu? Za tyle nie dojedzie pan do Piątej Alei.

Przez większość drogi targowali się o opłatę. Riksza manewrowała na zatłoczonej ulicy, kierowca zdzierał sobie gardło w tym nigdy nie milknącym zgiełku miasta, w hałasie, do którego obaj przywykli tak bardzo, że niemal go nie zauważali.

Z powodu ograniczeń w dostawach prądu i braku części zamiennych w Empire State Building działała tylko jedna winda, która dojeżdżała do dwudziestego

czwartego piętra. Potem trzeba było iść. Charlie wdrapał się dwa piętra i skinął strażnikowi, który siedział u stóp schodów prowadzących wyżej. Był już tu kiedyś i mężczyzna znał go, podobnie jak trzej strażnicy u szczytu schodów. Jeden z nich otworzył przed Charliem drzwi.

Sędzia Santini, starzec z sięgającymi ramion siwymi włosami, przypominał proroka ze Starego Testamentu, lecz na wyglądzie podobieństwo się kończyło.

- Gówno, tyle ci powiem, wyrzucone pieniądze. Całą fortunę wydałem na mąkę, żebyś zrobiła z niej ciasto, a ty co? Wszystko zmarnowałaś! - odepchnął z obrzydzeniem talerz spaghetti i otarł serwetką sos z warg, rozluźniając przy okazji kołnierzyk koszuli.

- Starałam się, jak mogłam - odkrzyknęła jego żona, kobieta niewielka, ciemna i o dwadzieścia lat młodsza od niego. - Jeśli chcesz domowego spaghetti, to powinieneś ożenić się z contadiną ze starego kraju, taką wąsatą i przygiętą do ziemi. Ja, tak samo jak ty, urodziłam się tutaj, przy Mulberry Street, i wszystko co wiem o spaghetti to tyle, że kupuje się je w sklepie spożywczym...

Nagły dzwonek telefonu sprawił, że umilkła. Oboje spojrzeli na stojące na stole urządzenie, po czym ona odwróciła się i pośpiesznie opuściła pokój, zamykając za sobą drzwi. Telefony były ostatnio rzadkie, ale jeśli już się zdarzały, to były istotne i dotyczyły interesów, o których nie chciała nic wiedzieć. Rosa Santini dobrze czuła się w luksusie i nie zamierzała psuć sobie przyjemności detalami związanymi z dwuznacznymi kontaktami męża.

Sędzia Santini wstał, wytarł raz jeszcze usta i położył serwetkę na stole. Nie śpieszył się; z powodu wieku, a także z zasady nie lubił niczego poganiać. Usiadł za biurkiem, wziął czystą tabliczkę, rysik i sięgnął po aparat. Było to stare urządzenie, ze słuchawkę owiniętą taśmą izolacyjną, z wystrzępionym i połatanym sznurem.

- Santini - powiedział, a potem tylko słuchał uważnie z coraz szerzej rozwierającymi się oczami. - Mike, Wielki Mike, mój Boże! - Powtórzył jeszcze kilka razy: tak, parę razy: nie, a gdy odłożył słuchawkę, ręce mu się trzęsły.

- Wielki Mike - porucznik Grassioli niemal się uśmiechnął; nawet kolka żołądka straciła na dotkliwości wobec tej wieści. - Ktoś wykonał dobrą robotę. - Przed nim na biurku leżał zakrwawiony łom, a porucznik przyglądał mu się jak dziełu sztuki. - Kto to zrobił?

- Wszystkie poszlaki wskazują, że była to zwykła kradzież z włamaniem, która się nie powiodła - rzekł stojący po drugiej stronie biurka Andy. Odczytał szybko notatki, streszczając wszystkie istotne szczegóły. Gdy skończył, Grassioli chrząknął i wskazał na posypane proszkiem ślady palców widoczne na żelazie.

- A co z tym? Dość wyraźne?

- Tak, poruczniku. Kciuk i pierwsze trzy palce prawej dłoni.

- Jest jakieś prawdopodobieństwo, że to dziewczyna lub strażnik sprzątnęli tego starego skurwysyna?

- Powiedziałbym, że jeden do tysiąca, sir. Żadnego motywu, utrzymywał oboje. I wydawali się naprawdę załamani, nie tyle jego losem, ile stratą dojnej krowy.

Grassioli wrzucił łom z powrotem do torby i wręczył ją poprzez biurko Andy'emu.

- Całkiem nieźle. W przyszłym tygodniu wysyłamy posłańca do BCI (Wydział Identyfikacji Kryminalnej) , weźmie łom, a ty dodasz krótki raport o sprawie. Napisz go na odwrocie karty z odciskami - jest dopiero dziesiąty dzień miesiąca, a my już prawie wyczerpaliśmy nasz przydział papieru. Powinniśmy też wysłać odciski tego kociaka i strażnika, ale do diabła z nimi, nie ma na to czasu. Załatw się z tym i wracaj do roboty.

Gdy Andy sporządzał notatkę, zadzwonił telefon. Porucznik podniósł słuchawkę. Andy nie przysłuchiwał się rozmowie i był już w połowie drogi do drzwi, gdy Grassioli przykrył słuchawkę dłonią i warknął:

- Wracaj, Rusch - i kontynuował rozmowę. - Tak, sir, w porządku - powiedział. - Wydaje się nie być wątpliwości, że było to włamanie rabunkowe, złodziej użył łomu. Naostrzona łyżka do opon. - Słuchał przez chwilę, a jego twarz robiła się z wolna purpurowa. - Nie, sir; nie moglibyśmy. A co jeszcze mogę zrobić? Tak, to SOP (zwykły tok śledztwa). Nie, sir. Dobrze, sir, zaraz. Mam tu kogoś, kto się tym zajmie, sir. Sukinsyn - to ostatnie dodał, gdy odłożył już słuchawkę. - Masz pecha z tą sprawą, Rusch. Wracaj teraz na miejsce i zobacz, ile uda się uratować. Sprawdź, jak zabójca, dostał się do budynku i czy naprawdę było to tylko włamanie rabunkowe. Zdejmij odciski tych dwojga i wyślij posłańca do Wydziału Identyfikacji Kryminalnej, niech się pośpieszą. Jeśli mają zabójcę w kartotekach, to chcę znać jego nazwisko. Ruszaj się.

- Nie wiedziałem, że Wielki Mike miał przyjaciół.

- Przyjaciół czy wrogów, do cholery z tym. Komuś bardzo zależy na rezultatach śledztwa. Uwiń się, jak szybko się da.

- Sam, poruczniku?

Grassioli zagryzał końcówkę rysika.

- No nie, zależy mi na czasie. Kulozik ci pomoże - skrzywił się boleśnie i sięgnął do szuflady po pigułki.

Palce detektywa Kulozika były krótkie i grube, więc robiły wrażenie niezgrabnych, naprawdę jednak wykazywały się zwinnością i precyzją działania. Pewnie ujął prawy kciuk Shirl i przyłożył go do białego, gładkiego kafelka zostawiając jasny i nie zamazany odcisk wewnątrz kwadraciku oznaczonego: P - KCIUK. Po kolei zrobił to samo z resztą jej palców, aż wszystkie kwadraciki były wypełnione.

- Czy może mi pani podać nazwisko?

- Shirl Greene, z "e" na końcu - popatrzyła na poplamione czarnym tuszem koniuszki palców. - Czy wraz ze zdjęciem odcisków stałam się kryminalistką?

- Nic podobnego, Miss Greene - Kulozik wypisał drukowanymi literami jej nazwisko w rubryczce na dole kafelka. - Te odciski nie trafiają do kartoteki, są wykorzystywane tylko w związku z tą sprawą. Kiedy się pani urodziła?

- Dwunastego października, tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego siódmego.

- To już wszystko, co chciałem wiedzieć - schował kafelek razem z poduszeczką z tuszem i ołówkiem kopiowym.

Shirl zmywała farbę z rąk, gdy odezwał się brzęczyk przy drzwiach.

- Masz już jej odciski? - spytał Andy.

- Skończyłem.

- Dobrze. Trzeba jeszcze tylko zdjąć odciski strażnikowi, czeka na dole w westybulu. Znalazłem w piwnicy okno, które chyba zostało wyduszone. Sprawdź je potem na odciski, dźwigowy pokaże ci, gdzie to jest.

- To ja lecę - rzekł Steve, zarzucając na ramię torbę z wyposażeniem.

Zaraz po wyjściu Kulozika w salonie pojawiła się Shirl. - Mamy ślad, Miss Greene - stwierdził Andy. - Znalazlem w piwnicy okno, które zostało otwarte siłą. Jeśli odciski palców z szyby lub framugi będą pasować do tych znalezionych na łomie, to będzie świadczyło dość jednoznacznie, że ktokolwiek zabił Mike'a, dostał się do budynku właśnie tamtędy. Porównamy to jeszcze ze śladami na drzwiach. Czy mogę usiąść?

- Oczywiście, jak najbardziej.

Miękkie krzesło i pomrukujący klimatyzator czyniły pokój oazą komfortu w rozgrzanym piecu miasta. Rozsiadł się wygodnie i poczuł, jak znika napięcie i zmęczenie; znów rozległ się brzęczyk przy drzwiach.

- Przepraszam - powiedziała Shirl i poszła otworzyć. Przeglądał notatnik; plastikowa okładka zagięła się i starła część liter. Poprawiał je właśnie, przyciskając mocno rysik, gdy z korytarza doleciał, stłumiony na skutek przymkniętych drzwi, pomruk podniesionych głosów.

- Wynoś się stąd, ty brudna dziwko!

Osoba, która wykrzyczała te słowa, dysponowała chrapliwym, lecz świdrującym głosem, który przypominał zgrzyt paznokcia po szkle. Andy wstał i wcisnął notatnik do kieszeni.

- Co tam się dzieje? - zawołał głośno.

W drzwiach pojawiła się zaczerwieniona ze złości Shirl, tuż za nią pchała się chuda, siwowłosa kobieta, która zatrzymała się ujrzawszy Andy'ego i wskazała na niego palcem.

- Mój brat nie żyje i jeszcze nie został pochowany, a ta tutaj już sprowadza sobie następnego mężczyznę... - palec trząsł się, głos brzmiał wyraźnie oskarżycielsko.

- Jestem funkcjonariuszem policji - stwierdził Andy pokazując odznakę. - Kim pani jest?

Wyprostowała się, lecz nie dodało jej to wzrostu. Lata pielęgnowania nieprawidłowej postawy i kiepska dieta skutecznie przygarbiły jej ramiona, cofnęły klatkę piersiową; z rękawów znoszonej, brunatnej sukni wystawały kościste ręce. Gdy mówiła, wargi ledwo rozchylały się, wyrzucając słowa jak sztanca wyrzuca kawałki metalu i zamykały się zanim choć jedna sylaba lub znak przestankowy zdołały wyrwać się na zewnątrz. Tylko w wodnistych oczach można było znaleźć objawy życia, szczególnie teraz, gdy płonęły gniewem.

- Mary Haggerty, jestem siostrą biednego Michaela. Nie miał nieszczęśnik więcej krewnych. Przyszłam zająć się jego rzeczami, zostawił mi wszystko w testamencie, wiem to od prawnika. Muszę się przecież nimi zająć, bo inaczej ta kurwa wyniesie wszystko, choć i tak już dość od niego dostała...

- Chwileczkę - Andy przerwał potok jej słów i usta Mary Haggerty zatrzasnęły się natychmiast; swe oburzenie zaczęła wyrażać oddychając głęboko przez nos.

- Niczego w tym mieszkaniu nie można tknąć ani zabrać stąd bez zezwolenia policji, a zatem nie musi pani martwić się o swoją własność.

- Jak pan może tak mówić, skoro ona tu jest - zaskrzeczała wskazując na Shirl. - Wyniesie stąd i sprzeda wszystko, co nie jest zamocowane na stałe. Mój szlachetny brat...

- Twój szlachetny, dobry brat! - krzyknęła Shirl. - Nie cierpiałaś go, a on nie cierpiał ciebie i dopóki żył, to nigdy go tu nie odwiedziłaś.

- Cisza! - wtrącił się Andy, wchodząc pomiędzy obie kobiety. Zwrócił się do Mary Haggerty. - Może pani już iść. Policja zawiadomi panią, kiedy znajdujące się w tym mieszkaniu rzeczy staną się dostępne.

Była wyraźnie wstrząśnięta.

- Ale... pan nie może tego zrobić. Mam pewne prawa... Nie może pan zostawić tu tej kurwy samej... Cierpliwość Andy'ego była na wyczerpaniu.

- Proszę liczyć się ze słowami, Mrs Haggerty. Już dość pani powiedziała. Proszę nie zapominać, co pani brat robił za życia.

Siostra Mike'a cofnęła się o pół kroku zbladła.

- Mój brat robił interesy, był biznesmenem - powiedziała słabo.

- Pani brat zajmował się ciemnymi machinacjami, w tym również stręczycielstwem.

Pozbawiona argumentów i siły spowodowanej złością, Mary Haggerty oklapła, zgarbiła się pokazując całą swą kościstość; okrągły pozostał tylko brzuch rozdęty zbyt wieloma porodami i zapychającym pożywieniem.

- Czemu pani jeszcze nie idzie? Będziemy z panią w kontakcie, otrzyma pani wiadomość najszybciej, jak to będzie możliwe.

Kobieta odwróciła się i wyszła bez słowa. Andy był zakłopotany - stracił panowanie nad sobą i powiedział więcej niż powinien, lecz było już za późno.

- Czy pan chciał powiedzieć... Co pan powiedział o Mike'u? - spytała Shirl ledwo drzwi się zamknęły. W prostej białej sukni i ze związanymi z tyłu włosami wyglądała bardzo młodo i pomimo przyczepionej jej przez Mary Haggerty etykietki, niewinnie. Wszystkie pomówienia bladły wobec jej prezencji.

- Jak długo znała pani O'Briena? - spytał Andy zbywając chwilowo jej ciekawość.

- Około roku, lecz on nigdy nie mówił nic o swoich interesach, a ja nie - pytałam. Zawsze byłam przekonana, że ma coś wspólnego ze światem polityki. Odwiedzali go sędziowie, politycy...

Andy wyjął notatnik.

- Chciałbym znać nazwiska tych, którzy bywali tu regularnie i zjawili się w ostatnim tygodniu.

- Zadaje mi pan pytania, a nie odpowiedział jeszcze na moje - uśmiechnęła się Shirl.

Andy wiedział jednak, że mówi poważnie. Siadła na krześle z prostym oparciem i jak uczennica złożyła ręce na kolanach.

- Nie mogę podać zbyt wielu szczegółów, sam mało wiem o Wielkim Mike'u. To co jestem w stanie powiedzieć, to że był kimś odpowiedzialnym za kontakt między syndykatem i politykami. Można by go nazwać instancją wykonawczą, jak sądzę. Za kratkami czy w sądzie był ostatni raz trzydzieści lat temu.

- Chce pan powiedzieć, że Mike siedział w więzieniu?

- Tak, sprawdziłem to, jest w kartotece. Miał sprawę kryminalną i to niejedną, dostał kilka wyroków skazujących. Lecz wszystko dawno. Teraz łapie się tylko plotki i wypuszcza. Jeśli działało się na polecenie Mike'a, to policja była niegroźna. Tak naprawdę to jeszcze pomagała jak teraz, w tym śledztwie.

- Nie rozumiem...

- Proszę pomyśleć. W Nowym Jorku każdego dnia dochodzi do pięciu, czasem dziesięciu zabójstw, kilkuset zbrodniczych napaści, dwudziestu, trzydziestu gwałtów i przynajmniej tysiąca pięciuset rabunków. Policji brakuje ludzi, chociaż ma wolne etaty, a ci, którzy są, są przepracowani. Nie mamy dość czasu, by zajmować się każdą sprawą, jeśli nie daje się szybko i łatwo zamknąć. Jeśli ktoś popełnił

morderstwo i są świadkowie, to okay; ruszamy, znajdujemy mordercę i sprawa zostaje załatwiona. Lecz w takim przypadku jak ten, to, szczerze mówiąc, zwykle nawet nie próbujemy. Chyba że znajdziemy w kartotece odciski palców mordercy. Może jednak tak się zdarzyć, że ich nie znajdziemy. W tym mieście żyje milion biedoty, która pozostaje na garnuszku opieki społecznej, marząc jedynie o porządnym posiłku, telewizorze czy jakimś alkoholu. I próbują szczęścia, również w rabunku. Łapiemy niewielu, wysyłamy ich potem w głąb stanu do grupy pracy. Rozwalają tam kilofami aleje i szosy, by odzyskać ziemię uprawną. Ale większość wymyka się. Co pewien czas zdarza się, że ktoś przeszkodzi im w robocie. Jeśli tak przyłapany rabuś jest uzbrojony, może zabić i dzieje się to naprawdę przypadkiem. Dziewięćdziesiąt dziewięć do stu, że właśnie to zdarzyło się Mike'owi O'Brienowi. Zebrałem dowody i zeznania, zdałem raport i na tym wszystko powinno się zakończyć. I byłoby tak, gdyby chodziło o kogokolwiek innego. Ale właśnie, jak powiedziałem, Wielki Mike miał masę kontaktów ze światem wielkiej polityki i teraz ktoś stamtąd wywiera presję, by przeprowadzić dokładne śledztwo ze wszystkimi szykanami. Dlatego tu jestem. A teraz powiedziałem pani więcej niż powinienem i będzie z pani strony dużą uprzejmością, jeśli zapomni o tym wszystkim.

- Nie, nikomu tego nie powiem. I co teraz będzie?

- Zadam pani jeszcze kilka pytań, zostawię tutaj, napiszę meldunek, to będzie tyle. Czeka mnie masa innej pracy, dowództwo kazało przeznaczyć na to śledztwo i tak za dużo czasu.

Była wstrząśnięta.

- Nie zamierza pan złapać tego, kto to zrobił?

- Jeśli odciski palców są w kartotece, to czemu nie, może się zdarzyć. Ale jeśli nie, to nie mamy szans, nie będziemy nawet próbować. Poza tym, pomijając już sprawę braku czasu, jesteśmy przekonani, że ktokolwiek zabił Mike'a, wyświadczył społeczeństwu ogromną przysługę.

- To straszne!

- Naprawdę? Może... - otworzył notatnik i ponownie przybrał bardzo urzędowy wyraz twarzy.

Gdy Kulozik wrócił z odciskami zdjętymi z okna w piwnicy, Andy skończył z pytaniami i razem wyszli z budynku. Po chłodzie mieszkania powietrze ulicy opadło ich jak wysypujący się z pieca żar.

następny

. 7 .

Minęła połowa bezksiężycowej nocy, lecz mroczne niebo za panoramicznym oknem nie było w stanie dorównać czerni długiego, wypolerowanego stołu. Pochodził z refektarza dawno zburzonego klasztoru, był bardzo stary i wartościowy, podobnie jak wszystko znajdujące się w tym pokoju: kredens, obrazy i kryształowy świecznik zwieszający się pośrodku pomieszczenia. Sześciu zgromadzonych u końca stołu mężczyzn nie reprezentowało żadnej wartości poza tym, że byli naprawdę dobrze sytuowani finansowo. Dwóch paliło cygara i to te po dziesięć dolców sztuka.

- Niecały raport, jeśli można prosić, sędzio - powiedział mężczyzna siedzący u szczytu stołu. - Nie mamy wiele czasu i najbardziej zależy nam na wnioskach.

Jeśli ktokolwiek znał prawdziwe nazwisko mówcy, był ostrożny i milczał, tutaj mówiono na niego Mr Briggs i wszyscy wiedzieli, że jest szefem.

- Oczywiście, Mr Briggs, to nic trudnego - stwierdził sędzia Santini i zakaszlał nerwowo, zakrywając usta dłonią. Nie cierpiał tych posiedzeń w Empire State Building, poza tym jako sędzia nie powinien być zbyt często widywany z tymi ludźmi. No i trzeba było wspinać się wysoko, a jemu nie wolno było zapominać o stanie serca. Szczególnie przy tej pogodzie. Upił wody ze stojącej przed nim szklanki i założył okulary do czytania.

- Oto do czego sprawa się sprowadza. Mike zginął natychmiast zabity ciosem w skroń. Cios został zadany ostrym narzędziem, konkretnie, naostrzoną łyżką do opon, która została użyta również przy włamaniu się do mieszkania. Ślady na drzwiach porównano ze śladami na oknie w piwnicy i oba pasują do tego łomu, a zatem, według wszelkiego prawdopodobieństwa, sprawca dostał się do budynku właśnie tamtędy. Na żelazie i na oknie są wyraźnie ślady palców, w obu miejscach te same. Jak dotąd należą do osoby nieznanej, nie pasują do żadnych odcisków palców w aktach BCI, nie pasują też do odcisków strażnika O'Briena ani jego przyjaciółki, którzy znaleźli ciało.

- A co mówią donosiciele? - spytał jeden ze słuchaczy, nie wyjmując cygara z ust.

- Oficjalne stanowisko... hm, uważają, że ktoś włamał się w celach rabunkowych i został zaskoczony przez Mike'a, który został zabity w czasie szarpaniny.

Dwaj mężczyźni zaczęli zadawać pytania, lecz umilkli zaraz, gdy odezwał się Mr Briggs. Miał ponure i poważne spojrzenie ogara z obwisłymi dolnymi powiekami i takimi policzkami. Jego wole trzęsło się, gdy mówił.

- Co zginęło? Czy coś zostało skradzione?

Santini wzruszył ramionami.

- Z tego co wiadomo, nic. Dziewczyna twierdzi, że nic nie zginęło, a ona powinna wiedzieć. Pokój został splądrowany, lecz najwyraźniej rabuś został zaskoczony, zanim uporał się z robotą i uciekł w panice. To całkiem możliwe.

Mr Briggs zadumał się, lecz nie miał więcej pytań. Niektórzy spośród obecnych mieli jednak wątpliwości czy Santini powiedział im wszystko, co wiedział. Mr Briggs rozważał jeszcze coś, po czym uciszył ich podniesieniem palca.

- To rzeczywiście wygląda na przypadkowe morderstwo, a jeśli tak jest naprawdę, to nie ma dla nas znaczenia. Potrzebny będzie ktoś, kto przejąłby obowiązki Mike'a. Mamy kogoś, sędzio? - spytał marszcząc brwi; by mu nie przerywano.

Santini był spocony. Chciał załatwić sprawę i pójść do domu, było już po pierwszej w nocy i czuł zmęczenie. Nie przywykł do siedzenia tak długo, na dodatek było jeszcze coś, o czym musiał wspomnieć, może istotne, może nie, lecz gdyby było to coś ważnego i gdyby wydało się, że wiedział i milczał... Trzeba było to z siebie wyrzucić.

- Jest jeszcze jedno, o czym powinniście usłyszeć. Może to coś znaczy, chociaż niekoniecznie, ale uważam, że powinienem przekazać to wam wszystkim, zanim...

- W czym rzecz, proszę się streszczać, sędzio - powiedział zimno Mr Briggs.

- Tak, oczywiście. Chodzi o znak na oknie. Trzeba wam wiedzieć, że szyby piwnicznych okien pokryte są grubą warstwą brudu, głównie od wewnątrz i na żadnym innym nie ma niczego, lecz na tym, które zostało wypchnięte i przez które zabójca dostał się do środka, widnieje wyrysowane na szybie serce.

- Ale co to u diabła ma wspólnego z nami? - warknął jeden ze słuchaczy.

- Dla pana to nic nie znaczy, panie Schlacter, pan jest bowiem Amerykaninem niemieckiego pochodzenia. Nie gwarantuję zresztą, że to znaczy cokolwiek, to może być zwykły przypadek, bezsensowny zbieg okoliczności, lecz dla porządku muszę wspomnieć, że po włosku serce, to cuore.

Nastrój panujący w pokoju zmienił się natychmiast, powietrze zgęstniało jak naelektryzowane. Niektórzy z siedzących wyprostowali się na krzesłach i rozległ się szelest ubrań. Mr Briggs pozostał nieruchomy, tylko jego oczy zwęziły się w szparki.

- Cuore - powiedział powoli. - Nie sądzę, by był na tyle bezczelny czy odważny, by spróbować wejść do miasta. - Ma ręce pełne roboty w Newark. Raz już tu był i jest spalony. Nie ma czego tu szukać...

- Może. Ale słyszałem, że ostatnio jest na wpół szalony. Cały czas na LSD. Jest zdolny do wszystkiego...

Mr Briggs zakaszlał i wszyscy natychmiast umilkli. - Przyjrzyjmy się temu. Niezależnie od tego czy to Cuore próbuje wejść na nasz teren, czy tylko ktoś

podszywa się pod niego, by narobić nam kłopotów, chcemy znać prawdę. Proszę dopilnować, sędzio, by policja kontynuowała śledztwo.

Santini uśmiechnął się, lecz pod stołem ścisnął silnie palce.

- Nie mówię nie, proszę was tylko, byście wszyscy, a pan w szczególności, wzięli pod uwagę, że będzie to bardzo trudne, chociaż nie mówię, że niewykonalne. Policja ma obecnie krótkie ręce, nie posiada dość personelu na prowadzenie śledztwa z prawdziwego zdarzenia. Jeśli zacznę naciskać, to będą chcieli wiedzieć dlaczego. Coś będę musiał im odpowiedzieć i to coś przekonującego. togę sprawić, że parę osób przyjrzy się bliżej tej sprawie, mogę obiecać parę telefonów, lecz nie liczcie na to, że zdołam wywrzeć dość silną presję, by załatwić wszystko po naszej myśli.

- Pan nie jest w stanie wywrzeć wystarczającej presji, sędzio... - głos Mr Briggsa był najzupełniej spokojny, lecz Santiniemu ręce zaczęły się trząść. - Nie mam zwyczaju żądać od nikogo rzeczy niemożliwych, a zatem sam się tym zajmę. Jest parę osób, które mogę osobiście poprosić o pomoc. Chcę wiedzieć, co tam się właściwie stało.

następny

. 8 .

Przez otwarte okno napływało gorąco i smród wraz z odgłosem miasta - złożonym rykiem, który narastał i opadał z regularnością załamujących się na plaży fal; nie kończący się grzmot. Nagle do tego hałasu dołączył wyraźny brzęk tłuczonej szyby i ostre, metaliczne uderzenie. Głosy urosły do krzyków; ktoś rozdarł się długo i przeciągle.

- Co? Co...? - mruknął Salomon Kahn, poruszając się na łóżku i przecierając oczy. Idioci, łajdaki, nigdy się nie zamykają, nigdy nie pozwolą na odrobinę snu. Wstał, poczłapał do okna, lecz niczego nie zobaczył. Krzyki nie milkły. Co to mogło być? Może zawaliły się schody przeciwpożarowe? To zdarzało się dość często; jeśli widok był dość makabryczny, to nawet pokazywali to w telewizji. Nie, pewnie dzieciaki wybiły znów szybę lub coś w tym rodzaju. Słońce chowało się za dachami, lecz powietrze było wciąż gorące, smrodliwe i duszne.

- Co za wstrętna pogoda - mruknął, podchodząc do zlewu.

Nawet płyty podłogi rozgrzały się, niemal parząc jego bose stopy. Odrobiną wody obmył pot, potem włączył telewizor. Nastawił program "Music - Time" i do pokoju wdarł się jazz. U dołu ekranu widniały cyfry 18:47, a pod spodem mniejsze 6:47 pm, to drugie specjalnie dla tych wszystkich tępaków wlokących się przez życie bez szans nawet, by nauczyć się dwudziestoczterogodzinnego zegara. Prawie siódma, Andy miał dzisiaj służbę za dnia, co oznaczało, że powinien wrócić około szóstej, ale nigdy nie przychodził o czasie. Tak czy tak, nadeszła pora, by zabrać się za przygotowanie czegoś do jedzenia.

- I po to właściwie armia wydała, piętnaście tysięcy dolców, by zrobić ze mnie mechanika samolotowego - mruknął, postukując w piecyk. - Najlepsza ich inwestycja. - Piecyk zaczął żywot jako palnik gazowy, zaadaptowany potem do gazu z butli, który pozostał po zamknięciu kopalń gazu, a gdy nie było już czym nabijać butli, piecyk otrzymał elektryczny element grzejny. Z czasem jednak elektryczność zbyt zdrożała, a jej dostawy straciły na regularności, wówczas pojawił się zbiornik ciśnieniowy i palnik zdolny do spalania każdego nieprzesadnie lotnego, a ciekłego paliwa. I działało to wspaniale przez wiele lat. Piecyk trawił naftę, metanol, aceton i wiele innych paskudztw, zawodząc tylko raz, gdy Sol pożywił go benzyną lotniczą. Długi na jard język ognia oblizał wówczas ścianę. Potem jednak udało się wszystko wyregulować. Ostatnia przeróbka była najprostsza i najbardziej przygnębiająca. W tylnej ściance piecyka wyciął otwór, po czym wyprowadził stamtąd przewód kominowy, drugi - jego koniec wysuwając na zewnątrz przez wybitą w murze dziurę. Gdy ogień w środku rozpalał się na dobre, wycięcie w izolacji kierowało ciepło prosto na dawny palnik.

- Nawet popiół śmierdzi rybą - narzekał wygarniając garść pylistego popiołu z wczoraj. Wyrzucił go za okno, szara chmura błyskawicznie spowiła kamienicę i zaraz usłyszał wrzaski niżej mieszkających.

- Co, nie podoba się? - odkrzyknął. - No to uważajcie, by wasze dzieciaki nie puszczały telewizji na całą parę w nocy, a może przestanę wyrzucać na was popiół.

Ta wymiana zdań wprawiła go w dobry humor, zaczął nawet podśpiewywać sobie do wtóru z telewizorem The Nutcracker Suit, który to utwór nadano po bezimiennej kompozycji jazzowej. Nagle zakłócenia zagłuszyły muzykę. Mrucząc pod nosem przekleństwa podbiegł i pięścią uderzył odbiornik w bok. Zakłócenia wciąż trwały i żadne manewry nie przynosiły efektu, aż w końcu wyłączył telewizor. Nadal coś ze złością mruczał, rozpalając ogień w piecyku.

Wrzucił do środka trzy oliwkowoszare kawałki węgla morskiego i podszedł do półki po bateryjną zapalniczkę Zippo. Była to dobra zapalniczka, kupiona pewnie z pięćdziesiąt lat temu. Oczywiście, wymienił w niej od tego czasu większość części, lecz obecnie nie produkowano już zapalniczek. Ani takich, ani innych. Węgiel morski rozjarzył się i zapłonął małym, nierównym ogieńkiem. Wszystko śmierdzi rybą - tak jak jego ręce w tej chwili. Podobno to coś było wytwarzane z celulozowych odpadków pozostałych w kadziach po fermentacji alkoholowej, które to resztki suszono, prasowano i nasączano niskiej jakości olejami glonowymi, by w ogóle się paliły. Plotka głosiła, że tak naprawdę są to wysuszone i sprasowane wnętrzności rybie i że nie gorzelnia, lecz zakłady przetwórcze maczają w tym palce. Sol wolał tę drugą wersję, nie interesowało go jednak, czy jest prawdziwa.

Miniaturowy ogród w skrzynce na oknie wyglądał całkiem dobrze. Sol wyrwał resztki szałwi i rozłożył ją na stole, by wyschła, po czym podniósł plastikową osłonę chcąc sprawdzić, jak wyrastają cebulki. Były już całkiem duże i niedługo powinny nadawać się do marynowania. Podszedł opłukać ręce nad kranem, przyjrzał się przy tym kpiąco swemu odbiciu w lustrze, a przede wszystkim brodzie.

- Dobrze byłoby ją wyrównać - powiedział do swojego odbicia. - No tak, ale światło jest już do niczego. Poczeka do rana. Jednakże byłoby dobrze, gdybyś wyczesał ją przed obiadem. - Przebiegł parę razy grzebieniem po brodzie, odłożył go i wyjął z szafy parę szortów. Wiele lat temu były to jasnobrunatne spodnie wojskowe, ale odkąd zostały skrócone i połatane, mało przypominały pierwowzór. Wciągał je właśnie, gdy ktoś zastukał do drzwi.

- Tak, tak - krzyknął. - Kto tam?

- Alcover's Electronics - dobiegła stłumiona odpowiedź.

- Myślałem, że was zaorali lub was zaraza wytłukła - powiedział Sol otwierając drzwi. - To już dwa tygodnie, jak powiedział pan, że upora się z tym telewizorem. Zapłaciłem z góry.

- To wszystko przez to, że elektrony skaczą - powiedział spokojnie wysoki technik, stawiając skrzynkę z narzędziami na stole. - Ma pan w tym starym odbiorniku kilka zużytych części, w tym lampy gazowe. I co mogę zrobić? Nie produkuje się już takich lamp, a gdyby nawet, to nie mógłbym ich kupić, trzeba mieć priorytet. - Mówiąc, obrócił telewizor, przeniósł go na stół i odkręcił tylną ściankę. - No to jak mam naprawić telewizor? Muszę pójść na Greenwich Street, tam złomują radia, i grzebać godzinami aż coś znajdę. Nie znalazłem takiej lampy, przyniosłem więc kilka tranzystorów i wmontuję tu po prostu dodatkowy obwód, który ją zastąpi. Mówię panu, to wszystko nie jest takie łatwe.

- Serce mi pęknie z żalu i współczucia - rzekł Sol patrząc podejrzliwie, jak technik wyjmuje lampę.

- Gazowa - powiedział mężczyzna, gromiąc ją wzrokiem, po czym wrzucił biedaczkę do pudełka z narzędziami. Z górnej szufladki swego warsztatu wyjął prostokąt cienkiego plastiku, do którego było przymocowanych sporo części zamiennych. Po kolei podłączał je do obwodów telewizora. - To wszystko półśrodki - powiedział. - Muszę niszczyć stare odbiorniki, by nowsze mogły pracować. Nawet cynę muszę przygotowywać własną. Dobrze, że w kraju było kilka miliardów telewizorów, a wiele spośród tych ostatnich miało całkiem solidne obwody. - Włączył uderzenie i pokój znów wypełniła muzyka. Należą się cztery dolce za robotę.

- To rozbój! - stwierdził Sol. - Dałem już panu trzydzieści pięć dolarów...

- To było na części, praca jest liczona osobno. Jeśli ma pan ochotę na luksusy, to trzeba być gotowym za nie płacić.

- Napraw, owszem, potrzebuję - rzekł Sol dając mu pieniądze. - Ale za filozofowanie dziękuję. Jest pan złodziejem.

- Ja wolę myśleć o sobie jako o łupieżcy elektronicznych grobów - odpowiedział technik chowając banknoty. - Jeśli chce pan zobaczyć złodziei, to zapraszam na Greenwich Street. Oni to dopiero zdzierają!

Zarzucił na ramię torbę z narzędziami i wyszedł. Była już prawie ósma. Kilka minut po tym, gdy technik skończył pracę i zniknął, w drzwiach zazgrzytał klucz i do pokoju wszedł zgrzany i zmęczony Andy.

- Widzę, że powłóczysz nogami - zauważył Sol. - Też byś tak chodził na moim miejscu. Czy mógłbyś włączyć światło? Ciemno tu jak u Murzyna w wątpiach. - Opadł ciężko na krzesło przy oknie.

Sol zapalił małą żółtą żarówkę, która zwieszała się pośrodku pokoju.

- Dziś nie będzie Gibsona. Oszczędzam mój wermut, aż zrobię nowy. Mam już kolendrę, korzeń kosaćca i resztę, muszę tylko ususzyć trochę szałwi, bez tego nie byłoby dobre. - Wyjął z lodówki okrywający się szronem dzban i zamknął drzwiczki. - Ale schłodziłem ci wodę z alkoholem. Odrętwił nieco język i nie będziesz czuł smaku wody, a jednocześnie ukoi nerwy.

- To nie każ mi czekać! - upiwszy łyk Andy zdobył się na niepewny uśmiech. - Przepraszam, jestem nie do życia, ale miałem paskudny dzień i szykuje się więcej takich. - Pociągnął nosem. - Co tak pachnie?

- Eksperyment domowej ekonomii i na dodatek można to kupić bez kart opieki społecznej. Może tego nie zauważyłeś, ale po ostatniej podwyżce w naszym budżecie jest więcej dziur niż sera. - Podsunął Andy'emu pod nos otwartą puszkę pełną brunatnych granulek. - To nowe cudo, zafundowane nam właśnie przez troszczący się o nas czule rząd, nazywa się enee - G. Czy to nie przepięknie obrzydliwa nazwa? Zawiera witaminy, składniki mineralne, proteiny, węglowodany...

- Wszystko, prócz smaku?

- O właśnie, w tym rzecz. Dodałem trochę do owsianki, lecz sądzę, że nie będzie mi to przeszkadzać; z miejsca zacząłem nie cierpieć owsianki. Ener - G jest wytworem ostatniego cudu nauki: planktonowego wieloryba.

- Czego?

- Wiem, że nigdy nie zajrzałeś nawet do żadnej książki, ale - telewizję to chyba oglądasz? Był na ten temat aż godzinny program. Rzecz w tym, że specjalnie przebudowane atomowe łodzie podwodne krążą sobie po oceanie, zupełnie jak wieloryby i zasysają plankton, czyli te wszystkie mikroskopijne stworzonka morskie, którymi, jak by cię to nie dziwiło, żywią się potężne wieloryby. Wszystkie trzy, które zostały. Najmniejsza forma życia wspiera największą, gdzieniegdzie zdarzają się jeszcze oazy moralności. Tak czy inaczej, plankton zostaje wessany i odcedzony, potem prasuje się go w małe, suche cegiełki, magazynuje, a gdy łódź jest już nimi zapchana, to wraca, by sobie ulżyć.

Potem całe wybrzeże zasrane jest cegiełkami planktonu, który dociera do nas ostatecznie jako ener - G.

- O Boże, założę się, że śmierdzi rybą.

- Nie ma głupich, nie przyjmuję zakładu - westchnął Sol i podał owsiankę.

Zjedli w milczeniu. Owsianka z ener - G nie była aż taka zła, nie była też wcale lepsza. Ledwo skończyli Sol spłukał jej smak mieszaniną wody z alkoholem.

- Co miałeś na myśli, mówiąc, że nadchodzą ciężkie czasy? - spytał. - Robiłeś dzisiaj za dwóch?

Andy podszedł do okna; po zachodzie słońca powietrze trochę się ruszyło.

- Prawie. Przez jakiś czas będę miał dodatkowe zajęcie. Pamiętasz tę sprawę morderstwa, o której ci opowiadałem?

- Wielki Mike, ten złodziejaszek? Ktokolwiek go stuknął, przysłużył się ludzkości.

- Jestem dokładnie tego samego zdania, ale ten drań miał przyjaciół wśród polityków i teraz oni interesują się sprawą, bardziej nawet niż my. Mają różne powiązania, więc pociągnęli za kilka sznurków i sam komisarz zadzwonił do porucznika z poleceniem, by przeznaczono do sprawy funkcjonariusza; który będzie zajmował się wyłącznie tym i to tak długo, aż znajdzie zabójcę. Na raporcie było moje nazwisko, więc wypadło na mnie. A Grassy, ten słodko pierdzący sukinsyn, nie pisnął mi o tym ani słówka, aż wszystko podpisałem. Przydzielił mi wtedy z miejsca robotę wraz z dobrą radą, bym zaczął jeszcze dziś wieczorem. Ot tak, z chwili na chwilę - dodał wstając i przeciągając się.

- To chyba nie będzie zła odmiana? - spytał Sol gładząc brodę. - Niezależność, własny szef, nienormowane godziny pracy, wieniec laurowy na skroń...

- Wieniec, owszem, ale inny. Jeśli szybko nie uporam się ze sprawą, to wyląduję z powrotem w patrolach, rewir Shiptown. Grassy dotrzyma słowa.

Andy poszedł do swojego pokoju i otworzył zamkniętą na kłódkę najniższą szufladkę kredensu. Trzymał w niej dokumenty, trochę nabojów i wyposażenie, w tym latarkę. Sprawdził ją; ręczny generator był sprawny, strumień światła silny.

- Gdzie się wybierasz? - spytał Sol ujrzawszy go szykującego się do wyjścia. - Idziesz roztoczyć nadzór nad miejscem przestępstwa?

- Jakie to szczęście, że nie jesteś gliną, Sol. Zbrodniarze jak psy wałęsaliby się po mieście, a w każdym kącie czaiłby się mord. Przestępcy byliby wniebowzięci...

- I bez mojej pomocy radzą sobie nieźle.

- ...a my zginęlibyśmy tragicznie, zasztyletowani podczas snu. Nie idę roztaciać żadnego nadzoru. Zamierzam porozmawiać z dziewczyną.

- Hm, to zaczyna wyglądać interesująco. Czy mogę spytać co to za dziewczyna?

- Na imię ma Shirl. Fajny dzieciak, była dziewczyną Wielkiego Mike'a, mieszkała z nim, a w chwili morderstwa robiła akurat zakupy.

- Nie potrzebujesz asysty? Jeśli chodzi o pracę w nocy, to jestem wprost fenomenalny.

- Daj sobie spokój, Sol. Nawet gdyby przyszło co do czego, to i tak nie wiedziałbyś, co robić. Ta dziewczyna należy do innego świata. Zrób sobie zimny okład i kładź się spać.

Oświetlając drogę latarką, Andy ominął sterty śmieci czyhające nań na schodach. Na zewnątrz nic się nie zmieniło, tłumy i gorączka były takie same. Ludzie nie znikali teraz z ulic ani w dzień, ani w nocy. Andy pomarzył o deszczu, który przyniósłby ochłodę i przerzedził nieco to kłębowisko, ale prognozy pogody nie dawały nadziei: Bez zmian.

- Dobry wieczór, sir - przywitał go Charlie otwierając drzwi budynku przy Chelsea Park.

Andy ruszył do windy, ale rozmyślił się i poszukał schodów. Chciał przyjrzeć się oknu w piwnicy po zmroku i zobaczyć je takim, jakim widział je morderca. Jeżeli wszedł do budynku właśnie tamtędy. Teraz, gdy został zobowiązany, by rzeczywiście znaleźć mordercę, musiał zagłębić się we wszystkie detale i zrekonstruować całe wydarzenie. Czy można było podejść do okna z zewnątrz, nie będąc widzianym? Jeśli nie, to może była to robota przeprowadzona od wewnątrz i powinien teraz sprawdzić cały gmach i wszystkich jego mieszkańców? Zatrzymał się cicho i wyjął broń. Przez półotwarte drzwi do piwnicy migotał promyk latarki; to było właśnie to pomieszczenie. Zbliżył się bezszelestnie, stawiając ostrożnie stopy na zapiaszczonej betonowej podłodze. Ktoś stał pod przeciwległą ścianą i powoli przesuwał strumieniem światła po framudze okna. Na tle żółtawego kręgu widział tylko ciemny zarys postaci, która właśnie zainteresowała się drugim oknem, a szczególnie wyrysowanym na szybie sercem. Osobnik tak bardzo pochłonięty był oględzinami, że nie usłyszał, jak Andy wsunął się do środka i zaszedł go od tyłu.

- Nie ruszaj się, to co czujesz na placach, to pistolet. - powiedział Andy dźgając mężczyznę lufą.

Latarka mężczyzny upadła i zgasła. Andy zaklął wyciągając własną. Ścisnął ją w dłoni i światło uderzyło z całą mocą w twarz starszego mężczyzny z ustami otwartymi w wyrazie przerażenia i obliczem tak bladym jak jego długie, srebrnosiwe włosy. Oparł się ciężko o ścianę, z trudem łapiąc powietrze. Andy schował broń do kabury i podtrzymał powoli osuwającego się starca.

- Tak, nagle... szok... - mruknął, siedząc już pod ścianą. - Nie powinien pan... Kim pan jest?

- Policja. A pan jak się nazywa i co pan tu robi? Andy obszukał go szybko, nie był uzbrojony.

- Jestem... urzędnikiem państwowym... oto moje dokumenty - wyszarpnął z kieszeni portfel.

Andy wziął legitymację i otworzył.

- Sędzia Santini - powiedział przenosząc światło z dowodu tożsamości na twarz mężczyzny. - Tak, widziałem pana w sądzie. Ale to miejsce zupełnie nie przypomina sądu.

- Proszę bez impertynencji, młody człowieku - wstrząs już minął i sędzia odzyskiwał pewność siebie. - Uważam się za biegłego w prawach tego suwerennego stanu, ale nie mogę znaleźć niczego, co pasowałoby do tej osobliwej sytuacji. Sugerowałbym, aby nie nadużywał pan swojej władzy...

- Prowadzę śledztwo w sprawie morderstwa, mógł pan być kimś, kto przyszedł tu zatrzeć ślady. To dość, by pana zamknąć.

Santini zmrużył oczy przed światłem latarki. Widział jedynie nogi swego rozmówcy; był w brązowych spodniach, a nie w mundurze.

- Czy pan jest może detektywem Ruschem?

- Tak - odpowiedział zdziwiony Andy. Odsunął latarkę, by nie oślepiać sędziego. - A pan skąd mnie zna?

- Byłbym szczęśliwy, gdybym mógł z panem chwilę porozmawiać. Pomóż mi, chłopcze, wstać z podłogi. Poszukamy jakiegoś wygodniejszego miejsca. Może odwiedzimy Shirl, musiał pan zawrzeć już znajomość z Miss Greene? Tam będzie trochę chłodniej, a skoro już się spotkaliśmy, to chętnie opowiem panu, co sam wiem na ten temat.

- Czemu nie? - Andy dźwignął starca. Sędzia wyraźnie nie zamierzał uciekać, a mógł mieć jakieś ciekawe informacje, kto wie, co wiązało go ze sprawą. Wiedział przecież, że to właśnie Andy został do niej wyznaczony, a tego nie mógł słyszeć przypadkiem. Wyglądało na to, że sprawa ma również wymiar polityczny, w takich przypadkach policjant powinien zachować ostrożność.

Wezwali windę do piwnicy. Jedno spojrzenie Andy'ego starło wyraz zdziwienia z twarzy windziarza. Sędzia czuł się lepiej, nadal jednak wspierał się na ramieniu Andy'ego, gdy szli przez korytarz.

- Sędzio, źle się pan czuje? - spytała ze strachem w oczach Shirl, gdy otworzyła im drzwi.

- Nie, kochanie, to tylko upał i zmęczenie. Mam już swoje lata, ot co. - Wyprostował się i dobrze skrywając wysiłek, jaki musiał w to włożyć, odsunął się od Andy'ego. - Gdy wychodziłem, spotkałem detektywa Ruscha, który był tak miły, że zgodził się przyjść tu jeszcze ze mną. A teraz, jeśli można, chciałbym usiąść na chwilę gdzieś obok klimatyzatora i odetchnąć... ruszyli w głąb mieszkania, Andy za nimi.

Miło było popatrzeć na dziewczynę wystrojoną niby do telewizji. Miała na sobie suknię z tkaniny lśniącej jak srebrna przędza, miękkiej jednak; suknia była bez rękawów, głęboko wycięta z przodu, jeszcze głębiej z tyłu; jak zauważył Andy, rozcięcie sięgało aż do talii. Zaczesane na ramiona włosy spływały lśniącą, rudawą falą. Sędzia też przyglądał się jej kątem oka, gdy prowadziła go ku kanapie.

- Nie przeszkadzamy ci chyba, Shirl? - spytał. - Jesteś tak wystrojona. Wychodzisz gdzieś?

- Nie. Zostaję w domu i nikogo się nie spodziewałam. Prawdę mówiąc, właśnie podbudowuję swoje morale. Nigdy nie miałam jeszcze tej sukni na sobie, to coś zupełnie nowego. Wygląda na nylon z małymi wplotami metalu. - Ugniotła poduszkę i wepchnęła ją sędziemu za głowę. - Podać panu coś chłodnego do picia? Dła pana też, panie Rusch? - zupełnie jakby dopiero teraz go zauważyła.

Skinął lekko głową.

- Wspaniała propozycja - westchnął sędzia i rozsiadł i się wygodnie. - Coś procentowego, jeśli można.

- Dobrze, barek jest pełen, a sama tego nie pijam.

Gdy wyszła do kuchni, Andy przysiadł się do Santiniego i spytał cicho:

- Miał mi pan powiedzieć, co robił w piwnicy i skąd pan zna moje nazwisko.

- Co za bezpośredniość... - Santini rzucił okiem w kierunku kuchni, lecz Shirl była nadal zajęta i nie mogła ich słyszeć. - Śmierć O'Briena ma pewne, powiedzmy, polityczne znaczenie. Zostałem poproszony o sprawdzenie, czy uczyniono już jakieś postępy w śledztwie. Siłą rzeczy najpierw dowiedziałem się, kto prowadzi sprawę - odprężony splótł dłonie na okrągłym brzuchu.

- To jest odpowiedź tylko na część mego pytania. Nadal nie wiem, co pan robił w piwnicy.

- Tu jest chłodno, niemal zimno. Co za ulga. Czy zauważył pan to serce, które zostało narysowane na oknie w piwnicy?

- Oczywiście, to ja je znalazłem.

- To bardzo interesujące. Czy słyszał pan kiedyś o osobniku zwanym Cuore? Powinien pan słyszeć, jest w policyjnych kartotekach.

- Nick Cuore? Ten, który macza palce chyba we wszystkich ciemnych sprawach w Newark?

- Tak, ten. Chociaż określenie, że macza palce, nie jest właściwym słowem. Należy raczej powiedzieć, że je kontroluje. Zdobył już władzę na swoim terenie, ale jest ambitnym człowiekiem i coraz częściej kieruje wzrok ku innym ośrodkom, nie wyłączając nawet Nowego Jorku.

- A co to ma wspólnego z nami?

- Cuore to włoskie słowo. Oznacza serce - powiedział Santini, gdy Shirl wróciła z tacą.

Andy wziął drinka i podziękował machinalnie, ledwo słysząc cokolwiek z ich rozmowy. Rozumiał teraz, dlaczego tak bardzo mogło zależeć komuś na rozwiązaniu tej sprawy. To nie była kwestia żalu, chyba nikomu nie brakowało O'Briena, istotne było, dlaczego zginął. Czy był to tylko przypadek, czy może ostrzeżenie ze strony Cuore? A może morderstwo było demonstracją siły, zwykłą zagrywką któregoś z miejscowych bonzów, przeprowadzoną w ten sposób, by pozory świadczyły przeciwko Cuore? Spekulacje mnożyły się i jedynym sposobem, by zagadkę wyjaśnić, było znalezienie mordercy. Zainteresowane strony użyły swoich wpływów, co ostatecznie doprowadziło do skierowania Andy'ego do tej sprawy. Tak wiele osób czytających jego raporty musi teraz niecierpliwie czekać na dalsze meldunki.

- Przepraszam - powiedział zdając sobie nagle sprawę, że dziewczyna mówi do niego. - Myślałem o czymś i nie słyszałem pani.

- Pytałam pana, czy drink panu smakuje. Jeśli nie, to mogę podać coś innego.

- Nie, nie, w porządku - rzekł, stwierdzając, że przez cały czas trzymał w dłoni pełną szklankę i nie upił ani łyku. Spróbował. - Rzeczywiście, dobre. Co to jest?

- Whisky. Whisky z wodą sodową.

- Po raz pierwszy to piję - usiłował przypomnieć sobie, ile kosztuje butelka whisky. Nie robiono jej teraz prawie wcale; brak było ziarna. Co roku kurczyły się jego zapasy, a ceny rosły niepohamowanie. Przynajmniej dwieście dolarów za butelkę, może więcej.

- To była bardzo odświeżająca, chwila, Shirl - powiedział Santini, przytykając pustą szklankę do poręczy fotela i zostawiając ją tam. jak przyklejoną. - Dziękuję ci serdecznie za gościnność. Przykro mi, ale muszę już iść. Rosa czeka na mnie, ale czy mogę jeszcze o coś spytać?

- Oczywiście, sędzio. Proszę.

Santini wyjął z, kieszeni kopertę. Otworzył ją i wytrząsnął na dłoń plik fotografii. Ze swego miejsca Andy widział jedynie, że są to portrety różnych mężczyzn. Santini jeden wręczył Shirl.

- Co za tragedia - powiedział. - To straszne, co się stało. Wszyscy pragniemy pomóc policji, wiem, że ty też, Shirl. Na pewno nie odmówisz, by spojrzeć na te fotografie i powiedzieć, czy poznajesz na nich kogoś.

Shirl wzięła pierwszą i przyjrzała się jej, marszcząc w skupieniu czoło. Andy podziwiał postępowanie sędziego: nie wyjaśniając niczego, nie mówiąc niczego istotnego o sprawie, uzyskiwał współpracę dziewczyny.

- Nie, nie poznaję go. Nie widziałam go nigdy.

- Nie spotkałaś go nigdy?

- Nie, jestem pewna. Myślałam z początku, że pyta pan mnie czy nie widziałam go na przykład na ulicy, czy gdzieś, ale tutaj nigdy go nie było.

- A co z pozostałymi fotografiami?

- Tych też nie znam. Przykro mi, że nie mogę być pomocna.

- Brak wiadomości to też wiadomość, moja kochana. Podał fotografie Andy'emu, który na pierwszej rozpoznał twarz Nicka Gore.

- A pozostali? - spytał.

- Jego wspólnicy - Santini podniósł się wolno z fotela.

Zatrzymam je na razie.

- Oczywiście. Mogą się panu przydać.

- Musi pan już iść? - zaprotestowała Shirl.

Santini z uśmiechem na twarzy kierował się ku drzwiom.

- Wybacz staruszkowi, moja kochana. Dobrze mi w twoim towarzystwie, ale muszę być wyspany i jutro, i przez kilka najbliższych dni. Dobrej nocy, Mr Rusch, i powodzenia.

- Zamierzam zrobić sobie drinka - stwierdziła Shirl odprowadziwszy sędziego do drzwi. - Czy mogę panu dolać? Jeśli nie jest pan, rzecz jasna, na służbie.

- Jestem na służbie, lecz jestem na niej już od czternastu godzin, a zatem przyszła już chyba pora, by doprawić ją drinkiem. Jeżeli nie złoży pani na mnie meldunku.

- Nie jestem donosicielką! - Uśmiechnęła się, a gdy usiadła naprzeciwko niego, poczuł się lepiej niż kiedykolwiek od tygodni. Ból głowy ustąpił, wokół było chłodno, a drink był najlepszy z tych, jakie zdarzyło mu się pić.

- Myślałam, że skończył pan już śledztwo. Powiedział pan...

- Wtedy tak myślałem, ale sprawy uległy zmianie. Wiele osób interesuje się tą sprawą, niejednemu zależy na jej rozwiązaniu, w tym nawet komuś takiemu, jak sędzia Santini.

- Przez cały czas, jak znałam Mike'a, nie zdawałam sobie sprawy, że był aż tak ważną osobistością.

- Za życia raczej nie. To jego śmierć jest istotna, powody dla których do niej doszło, jeśli były jakiekolwiek.

- To znaczy, że to, co powiedział pan po południu, że policja nie pozwoli ruszyć niczego z mieszkania jest aktualne?

- Tak. Teraz będę musiał przejrzeć wszystko, szczególnie papiery. Czemu pani pyta?

Shirl wpatrywała się w szklankę, którą ściskała mocno w obu dłoniach.

- Był tu dzisiaj prawnik Mike'a i wszystko wygląda dokładnie tak, jak powiedziała jego siostra. Moje są tutaj ubrania i przedmioty osobiste, ale to wszystko. Nie, żebym oczekiwała czegoś więcej, ale czynsz został opłacony do końca sierpnia... - spojrzała Andy'emu prosto w oczy - ... i jeśli meble tu zostaną, to będę miała przynajmniej gdzie mieszkać.

- Chce pani tego?

- Tak.

Sensowna dziewczyna, pomyślał Andy. Nie prosiła o nic wielkiego, nie było żadnych łez. Po prostu wykładała karty na stół. No cóż, czemu nie? Nic mnie to nie kosztuje. Czemu nie?

- Proszę przyjąć, że sprawa jest już załatwiona. Bardzo wolno przeszukuję mieszkania, a to tutaj jest duże i na pewno nie skończę przed północą trzydziestego pierwszego sierpnia. Muszę przecież wykonać należycie moje zadanie. Jeśli ktoś będzie miał pretensje, proszę skierować go do detektywa trzeciego stopnia Andrew Fremonta Ruscha, rejon 12-A. Spławię każdego.

- To wspaniale! - Shirl podskoczyła z radości. - Zasłużył pan sobie na jeszcze jednego drinka. - Mówiąc szczerze, to nie pomyślałam poważnie o wyprzedawaniu tego, co tu stoi. To byłaby kradzież, ale nie widzę niczego złego w opróżnieniu wszystkich butelek. Nie ma co zostawiać ich jego siostrze.

- Całkiem się z tym zgadzam - powiedział Andy opierając się na miękkich pufach i obserwując ją, gdy zgrabnie zbierała szklanki. To jest dopiero życie, pomyślał i uśmiechnął się krzywo do siebie. Do diabła ze śledztwem. Przynajmniej na jeden wieczór. Wypiję trunki Wielkiego Mike'a, posiedzę sobie na jego kanapie i zapomnę na Parę godzin o policji.

- Nie, ja jestem z Lakeland, z New Jersey - powiedziała.

- Przeprowadziliśmy się do miasta, gdy byłam dzieckiem. Dowództwo Lotnictwa Strategicznego budowało wtedy te superdługie pasy startowe dla maszyn osiągających trzykrotną szybkość dźwięku. Wykupili nasz dom, domy sąsiadów i wyburzyli je. Potem to był ulubiony tekst ojca, jak to zniszczyli mu życie i zaklinał się, że prędzej umrze, nim kiedykolwiek znów zagłosuje na republikanów.

- Ja też się tutaj nie urodziłem - powiedział Andy popijając drinka. - Pochodzę z Kalifornii, mój ojciec miał tam ranczo...

- To jest pan kowbojem!

- To było inne ranczo. Drzewa owocowe. Mieszkaliśmy w Imperial Volley. Byłem wtedy dzieciakiem i ledwo to pamiętam. Wszystkie farmy w dolinie istniały tylko dzięki systemom nawadniającym - kanałom i pompom. Ranczo mego ojca też miało pompy, a on nie zrozumiał z początku co to znaczy, gdy geologowie powiedzieli mu, że pod gospodarstwem znajduje się żyła wody z pokładów archaicznych. Ta woda była w ziemi od tysięcy lat. Dotąd musiało napłynąć trochę nowej. Pamiętam jak mój stary mówił, że na takiej wodzie wszystko będzie rosło tak samo, jak na każdej innej i powtarzał to do dnia, aż ta woda z pokładów kopalnych się wyczerpała. To było straszne, te wszystkie umierające drzewa i nasza bezradność. Ojciec stracił farmę i przyjechaliśmy do Nowego Jorku. Pracował potem w kesonach, gdy budowali Moses Tunnel.

- Ja nigdy nie miałem albumu - powiedział Andy.

- To jest typowe raczej dla dziewczyn - Shirl siedziała obok niego na kanapie i odwracała strony.

Album zaczynał się od fotografii dzieci, odcinków biletów, programów. Nie za bardzo widział, na co patrzy. Jej gorące, nagie ramię przyciskało się do niego, a gdy pochylała się nad albumem, czuł zapach jej perfum. Nagle dotarło do niego, ile wypił. Udawał już tylko, kiwając głową, że ogląda kolejne strony. Tak naprawdę, to oglądał tylko ją.

- Jest już po drugiej, chyba pójdę.

- Może wypijesz przedtem kawy?

- Nie, dzięki - dopił co miał w filiżance i odstawił ją ostrożnie. - Przyjdę rano, jeśli pozwolisz. - Skierował się ku drzwiom.

- Może być - powiedziała, wyciągając rękę. - I dziękuję za wieczór.

- Właściwie to ja powinienem podziękować ci za to przyjęcie. Pamiętaj, że nigdy przedtem nie smakowałem whisky.

Miał zamiar tylko uściskać jej dłoń, powiedzieć dobranoc, lecz jakoś tak się stało, że nagle trzymał ją w ramionach, twarz wtulał w jej włosy, a dłońmi przesuwał powoli po gładkiej skórze jej pleców. Gdy pocałował ją, ona oddała mu pocałunek na tyle gorąco, że wiedział już, iż wszystko będzie dobrze.

Potem, leżąc w szerokim łóżku, wsłuchiwał się w jej lekki oddech, czuł jej ciepło. Pomruk klimatyzatora zdawał się jeszcze podkreślać ciszę nocy. Owszem, wypił za wiele, ale co z tego? Uśmiechnął się w mroku. Gdyby był trzeźwy, to nigdy by do tego nie doszło. Możliwe, że rano będzie czuł się nieswojo, ale teraz był szczęśliwy. Spróbował myśleć o tym, lecz poczucie winy nie przyszło. Zacisnął dłoń na jej ramieniu i Shirl poruszyła się przez sen. Zasłony były lekko rozchylone i przez szczelinę dawał się dostrzec młody, przyjacielski księżyc. Wszystko jest w porządku, jest dobrze, powtarzał sobie raz za razem.

Księżyc płonął w otwartym oknie jak gorąca pochodnia, jak świdrujące oko nocy. Billy Chung spał trochę, lecz jeden z bliźniaków, któremu przyśniło się chyba coś złego, obudził go wrzaskiem. Leżał teraz z szeroko otwartymi oczami. Gdyby tylko tego mężczyzny nie było w łazience... Wiercił się rzucając głową i zagryzając wargi. Pot bił mu na twarz. Nie zamierzał go zabić, a teraz, gdy tamten był już martwy, Billy'owi było wszystko jedno. Martwił się tylko o siebie. Co się stanie, gdy go złapią? Mogą go złapać, przecież po to jest policja. Mogą wyjąć z głowy trupa łom, wziąć go do laboratorium i zbadać. Mogą znaleźć tego handlarza, który mu go sprzedał... Poduszka była już mokra. Długi, niemal niesłyszalny jęk wydarł się spomiędzy jego zaciśniętych zębów.

następny

. 9 .

- Wyglądasz jak nie ogolony, Rusch - powiedział Grassioli swoim normalnym, zirytowanym głosem.

- Bo nie goliłem się dzisiaj, poruczniku - rzekł Andy spoglądając znad leżącej na biurku sterty raportów..

Porucznik zauważył go mijając pokój detektywów w drodze do biur administracji. Andy miał zamiar tylko zajrzeć na chwilę do komendy i w miarę możliwości ominąć porucznika. Pośpiesznie myślał, co powiedzieć.

-Mam kilka śladów. Po południu idę do Shiptown i nie chcę za bardzo rzucać się w oczy. Tam pewnie w ogóle nie mają brzytew. - Zabrzmiało dość dobrze. Prawda była taka, że przyszedł nie dość, że spóźniony, to jeszcze nie ogolony. Całą noc spędził w Chelsea Park.

- Dobra. Jaki postęp w sprawie?

Andy wiedział, że nie należy wspominać porucznikowi, jak ciężko się napracował.

- Zdobyłem kilka informacji, które mają z nią związek - rozejrzał się wokoło stwierdzając, że nikt ich nie słyszy, lecz i tak obniżył głos do szeptu. - Wiem już czemu tak na nas naciskają.

- Czemu?

Podczas gdy porucznik przeglądał zdjęcia Nicka Cuore i jego ludzi, Andy wyjaśnił znaczenie wyrysowanego na oknie-serca i ogólną tożsamość tych, którzy byli zainteresowani sprawą morderstwa.

- W porządku - powiedział Grassioli wysłuchawszy go do końca. - Lecz nie wspominaj o tym w żadnym z raportów, chyba że znajdziesz wyraźny ślad prowadzący do Cuore, ale najpierw melduj o wszystkim mnie. A teraz zbieraj się. Dość już zmarnowałeś czasu.

To było lato stulecia. Dzień za dniem z nieba lał się ten sam żar. Ulice były rozgrzanymi kanionami pełnymi gorącego, cuchnącego powietrza, w którym brnęło się jak w zawiesistej zupie. Nie było czym oddychać, od wielu dni nie powiał nawet najlżejszy wietrzyk. Po raz pierwszy jednak od czasu, gdy nad miastem zawisła fala gorąca, Andy jej nie zauważył. Ostatnia noc wciąż przepełniała go nieprawdopodobnym poczuciem szczęścia; pamiętał wszystko dokładnie i nie potrafił przestać o tym myśleć. Próbował, musiał przecież pracować, lecz twarz i ciało Shirl nieustannie przypominały o sobie i pomimo upału wciąż mile wspominał jej ciepło. Ale przecież i tak nic z tego nie będzie! Uderzył pięścią prawej dłoni w otwartą lewą dłoń i uśmiechnął się do zdziwionych spojrzeń przechodniów. Musi załatwić sporo spraw, zanim znów będzie mógł się z nią zobaczyć.

Skręcił w aleję biegnącą między rzędami zamkniętych garaży a fosą otaczającą Chelsea Park i prowadzącą do służbowego wejścia. Odsunął się słysząc łoskot kół - obok przejechała platforma ciężarowa ciągniona przez dwóch zgiętych w pół mężczyzn, którzy nie zważali na nic prócz swego kanciastego ciężaru. Gdy przechodzili o kilka stóp od niego, zauważył, jak rzemienie wcinały się głęboko w ich skórę. Koszule mieli poplamione ropą z nigdy nie gojących się wrzodów na karkach i ramionach. Poszedł wolno za toczącą się na samochodowych kołach platformą, przystając, gdy zniknął z pola widzenia strażników przy głównym wejściu i zaglądając przez krawędź w głąb fosy.

Jej dno zaścielały śmieci, a w betonowym obramowaniu widniały liczne pęknięcia i dziury. Łatwo byłoby zejść tędy po zmroku nie będąc wcale zauważonym. Nawet za dnia intruza dostrzegłby jedynie ktoś wyglądający akurat przez któreś z pobliskich okien. Andy bez przeszkód przeszedł przez krawędź i opuścił się na dno. Było to jak schodzenie do wnętrza pieca; betonowe ściany gromadziły ciepło. Przeszedł wzdłuż wewnętrznego muru, aż znalazł okno z wyrysowanym sercem. Było wyraźnie widoczne, w nocy zapewne też by je dostrzegł. Poniżej okien była półka dość szeroka, by na niej stanąć. Andy wdrapał się na nią. Tak, tu było dość miejsca, by spokojnie popracować łomem i wydusić okno. Morderca mógł wejść tędy. Pot ściekał mu z brody zostawiając mokre plamy na betonie, gorąco było obezwładniające.

- Hej, ty, co ty tam robisz! Złaź stamtąd, bo skręcisz kark! - z góry wydzierał się jakiś głos. Andy wyprostował się i spojrzał na przerzucony ponad fosą most. Stał na nim potrząsający pięścią mężczyzna, który nagle rozpoznał Andy'ego. - Przepraszam - powiedział już innym głosem. - Nie wiedziałem, że to pan, sir. Czy mogę w czymś pomóc?

-Tak. Może mnie pan stąd wydostać. Czy któreś z tych okien się otwiera?

- Proszę przejść do następnego. To okno westybulu.

Portier zniknął, a po paru chwilach okno otworzyło się ze skrzypieniem i pojawiła się w nim jego twarz.

- Proszę mi pomóc - powiedział Andy. - Jestem na wpół ugotowany. - Ujął rękę portiera i wspiął się na górę. Westybul był pogrążony w półmroku i chłodzie, miła odmiana po nagrzanej, zalanej słońcem betonowej fosie. Andy wytarł twarz chustką. - Czy moglibyśmy tu gdzieś porozmawiać? Tak, żeby dało się usiąść.

- Jest pokój strażników. Proszę za mną, sir.

Siedziało tu już dwóch mężczyzn. Ledwo weszli, ten w mundurze służbowym skoczył na równe nogi, drugim był Tab.

- Idź, zajmij się drzwiami, Newton - rozkazał portier. - Pomożesz mu, prawda Tab?

Tab spojrzał na detektywa.

- Jasne, Chanie - powiedział strażnik i też wyszedł.

- Mamy tu wodę - powiedział portier - Nalać panu szklankę?

- Bezwarunkowo - wydyszał Andy padając na krzesło. Wziął plastikowy pucharek i od razu wypił połowę, resztę zawartości sączył powoli. Na wprost niego było zakurzone okno z widokiem na westybul. Nie przypominał sobie, by zauważył je z drugiej strony. - Fałszywe lustro?

- Tak. Dla ochrony mieszkańców. Z drugiej strony rzeczywiście jest lustro.

- Zauważył pan, gdy byłem w fosie?

- Tak, sir. Wyglądało na to, że stał pan dokładnie przy tym oknie, które zostało wyłamane.

- Właśnie. Zszedłem do fosy z drugiej strony, od alejki, przeszedłem pod mur i wspiąłem się na półkę. Gdyby to było w nocy, to czy sądzi pan, że ktokolwiek by mnie spostrzegł?

- Cóż...

- Po prostu, tak czy nie? Nie próbuję przyłapać pana na niedbalstwie, chcę tylko wiedzieć.

- Zarząd budynku zabrał się już za poprawienie bezpieczeństwa, robią coś z systemem alarmowym. Nie, nie sądzę, żeby został pan zauważony w nocy, sir.

- Tak też myślałem. Pan zatem dopuszcza możliwość, że morderca mógł wedrzeć się tamtędy do budynku? Chanie spoglądał wokoło jakby szukając pomocy. Małe świńskie oczka były przymknięte.

- Przypuszczam... - przyznał w końcu - że zabójca mógł wejść przez to okno.

- Dobrze zatem. Ta piwnica jest naprawdę dobra do takiego celu. Okno jest nisko, system alarmowy uszkodzony. Ten, kto to zrobił, mógł sobie je celowo oznaczyć. Serce mogło być znakiem rozpoznawczym umożliwiającym odnalezienie z zewnątrz tego jedynego okna. A z tego wynika, że musiał najpierw znaleźć się w budynku, że miał okazję sprawdzić teren.

- Może - rzucił Chanie uśmiechając się niewyraźnie. - A może zrobił ten znak później, by zasugerować panu, że to była robota przeprowadzona z zewnątrz.

- Widzę, że myśli pan, Charlie - przytaknął Andy. - Lecz równie dobrze mogło być tak, jak ja mówię i muszę przyjąć to na razie za pewnik. Chcę otrzymać listę wszystkich obecnie zatrudnionych, z wyróżnieniem nowo przyjętych, dalej, wszystkich zwolnionych w ostatnich paru latach oraz listę obecnych i byłych mieszkańców. Kto to może mieć?

- Zarządca budynku, sir. Ma biuro na górze. Mam pokazać drogę?

- Za chwilę - najpierw poproszę o jeszcze jedną szklankę wody.

Andy stanął naprzeciw wewnętrznych drzwi mieszkania O'Briena udając, że jest bardzo zajęty listą z nazwiskami, którą dostał od zarządcy budynku. Wiedząc, że Shirl może spoglądać na niego przez wewnętrzną telewizję próbował wyglądać na pochłoniętego pracą. Gdy wychodził rano, spała, więc nie mieli okazji porozmawiać. Wieczorem zresztą też niewiele rozmawiali. Nie, nie był zakłopotany, po prostu cała ta historia nadal wydawała mu się po części nierealna. Ona należała do świata tej rezydencji, on w żadnym przypadku. Jeśli będzie udawała, że nic się nie stało albo nie wspomni o tym ani słowem, to czy mógłby...? Uważał, że absolutnie nie. Dość długo nie otwierała, może nie było jej w domu? Nie, strażnik Tab siedział na dole, a zatem musiała być w budynku. A może coś było nie tak? Może zabójca wrócił? Głupi pomysł. Głośno załomotał w drzwi.

- Spokojnie, tylko ich nie wyważ - powiedziała otwierając. - Odkurzałam i nie słyszałam dzwonka. Włosy miała schowane pod turbanem, była boso, w jasnoniebieskich szortach i takiej halce. Wyglądała wspaniale.

- Przepraszam, nie wiedziałem - powiedział poważnie.

- Nie szkodzi. Nie patrz na mnie tak smutno - zaśmiała się i szybko pocałowała go w usta. Zanim zdążył zareagować odwróciła się i odeszła w kierunku salonu. Szorty były bardzo kuse i ukazywały niezwykłe krągłości. Gdy drzwi zatrzasnęły się za nim, ogarnęło go cudowne uczucie szczęścia.

- Prawie już skończyłam - powiedziała Shirl i rozległ się jęk małego motorka. - Za chwilę uporam się z tym bałaganem.

Gdy wszedł do salonu ujrzał, że przesuwa małym odkurzaczem po dywanie.

- A może weźmiesz prysznic? - zawołała przez szum maszynerii. - Rachunek za wodę przyjdzie już do Mary O'Brien Haggerty, a zatem nie ma się czym przejmować.

Prysznic! - pomyślał z podnieceniem.

- Jak sobie przypomnę nasze spotkanie z Mary Haggerty, to miło mi się robi na myśl, że dostanie ten rachunek - odkrzyknął i roześmieli się oboje.

Gdy przechodził przez sypialnię, przypomniał sobie widok trupa O'Briena leżącego na dywanie - nie myślał o tym w nocy. Biedny O'Brien, za życia musiał być naprawdę niezłym skurwielem, skoro nie było teraz ani jednej osoby, która by go żałowała. Włączając Shirl. A co myślała o nim? Na razie nie miało to znaczenia. Zrzucił ubranie na podłogę i sprawdził dłonią wodę.

Na szklanej półce leżała maszynka do golenia z nowym ostrzem. Aż podśpiewywał pod nosem zmywając z niej resztki siwych włosów, by móc samemu się ogolić. Wcale nie przeszkadzało mu, że właściciel używanych przez niego rzeczy nie żył. W rzeczy samej, nawet go to bawiło. Ostrze gładko przesuwało się po skórze.

Gdy zjawił się z powrotem w salonie, wszystkie maszyny do zaprowadzania ładu zniknęły, a Shirl miała na twarzy świeży makijaż. Wciąż była ubrana w szorty i halkę. Za tę halkę Andy nieustannie, choć bezdźwięcznie jej dziękował. Teraz rozpuściła włosy. Nigdy nie widział bardziej uroczej dziewczyny. Bardzo chciał jej to powiedzieć, lecz nie była to rzecz, którą łatwo by mu przyszło ubrać w słowa.

- Chcesz coś zimnego do picia?

- W zasadzie to niektórzy są przekonani, że pracuję. Czy usiłujesz mnie skorumpować?

- Możesz dostać piwo. Wstawiłam kilka do lodówki. Jest jeszcze ze dwadzieścia butelek, a ja go nie lubię. - Zawróciła w drzwiach i uśmiechnęła się. - A tak poza tym, to pracujesz. Przesłuchujesz mnie. Czy nie jestem istotnym świadkiem?

Pierwszy łyk zimnego piwa był jak błogosławieństwo. Shirl usiadła naprzeciwko niego i upiła chłodnej kawy.

- Jak sprawa? A może to tajne?

- Żadna tajemnica. Idzie powoli jak wszystkie sprawy. Dajesz się ogłupiać telewizji. Praca policji wcale nie wygląda tak, jak pokazują na filmach. Naprawdę jest to ogłupiające łażenie w tę i we w tę, zbieranie informacji, pisanie meldunków i raportów i żywienie nadziei, że kapuś przyniesie gotowe rozwiązanie.

- A ja wiem, co to jest kapuś! Tak naprawdę to ich nie ma, prawda?

- Gdyby ich nie było, policja sama nic by nie zdziałała. Większość tego, co nam się udaje, udaje się właśnie dzięki donosom. Męty, to zwykle pospolite głupole, rozpowiadają wszystko na prawo i lewo, i tak się dziwnie składa, że gdy już

zaczynają mówić, to pojawia się ktoś, kto chce słuchać. Mam nadzieję, że i teraz ktoś puści parę z ust, wygląda bowiem na to, że sprawa jest w zasadzie beznadziejna. - Co chcesz przez to powiedzieć?

Pociągnął kolejny łyk piwa, było wspaniałe.

- W tym mieście jest ponad trzydzieści pięć milionów ludzi i zrobić mógł to każdy. Zacznę od sprawdzenia wszystkich byłych pracowników budynku, potem spróbuję ustalić skąd wzięło się to żelazo, którym zabito Mike'a, lecz to potrwa, i może zanim skończę tę robotę, ci z góry przestaną myśleć o O'Brienie i będę miał spokój, a o to właśnie mi chodzi.

- Wyziera z tego niejakie zgorzknienie.

- Owszem, bo jestem zgorzkniały. Zresztą, też byś taka była na moim miejscu. Mam pracę, którą lubię, chcę ją wykonywać, a tu mi nie pozwalają. Mamy tej pracy aż po uszy i tak było zawsze, odkąd zjawiłem się w policji. Nigdy żadna sprawa nie jest doprowadzana do końca, mało co w ogóle jest rozpoczynane, ludzie żyją przez cały dzień i noc po sąsiedzku z morderstwem i zdaje się nie robić to na nich żadnego wrażenia. Nawet jeśli dochodzi do morderstwa z możliwym politycznym podtekstem, też się nie przejmują, a to całe zamieszanie ze śledztwem wynika tylko z ich niepokoju o własne głowy.

- A czy nie można zatrudnić po prostu więcej policjantów?

- Za co? Budżet miasta jest na wyczerpaniu. Prawie wszystko idzie .na opiekę społeczną. Nas opłacają bardzo nisko, nic dziwnego, że gliny biorą łapówki, ale przecież nie będę ci wyliczał wszystkich moich kłopotów! - Wypił resztę piwa, Shirl zerwała się na nogi.

- Zaraz dam ci następne.

- Nie, dziękuję, nie na pusty żołądek.

- Nie jadłeś jeszcze?

- Zdążyłem złapać jedynie kawał suchara. Nie miałem czasu na nic więcej.

- Przygotuję jakiś lunch. Co byś powiedział na befsztyk?

- Przestań, Shirl. Przyprawisz mnie o atak serca.

- Nie, naprawdę, kupiłam tamtego ranka kawał mięsa dla Mike'a... Jest wciąż w zamrażalniku.

- Nie pamiętam, kiedy ostatni raz jadłem wołowinę, na pewno było to długo przedtem, zanim po raz pierwszy ujrzałem kawałek sojowaciny - wstał i ujął obie jej dłonie. - Muszę ci powiedzieć, że to miłe, jak dbasz o mnie..

- Bo lubię - powiedziała, ponownie wyciskając mu na wargach pośpieszny pocałunek. Oswobodziła się z jego dłoni, które opadły na jej biodra i poszła do kuchni.

Dziwna dziewczyna, pomyślał Andy, smakując językiem ślad szminki na wargach.

Shirl chciała jeść na dużym stole w salonie, lecz Andy wolał mały stolik w kuchni. Befsztyk był w sam raz; monstrualny kawał mięsa wielkości dłoni, na widok którego ślinka potokiem napływała do ust.

- Pół na pół - powiedział dzieląc danie i nakładając odkrojoną część na drugi talerz:

- Zwykle przygotowuję sobie zapiekankę na sosie... - To będziemy mieli na deser: Właśnie zaczęła się nowa epoka, równe prawa dla mężczyzn i dla kobiet.

Uśmiechnęła się do niego i bez dalszych komentarzy usiadła przy stole. Cholera, pomyślał, jeszcze jedno takie spojrzenie, a oddałbym jej cały befsztyk.

Była jeszcze rzeżucha morskiego pochodzenia i suchary z wodorostów, które maczali w sosie, oraz butelka zimnego piwa. Pozwoliła, by nalał jej szklaneczkę.

Uczta była nieopisanie smaczna. Andy ciął mięso w bardzo małe kawałeczki i smakował każdy powoli i z osobna. Nie pamiętał, by w ciągu całego życia zdarzyło mu się zjeść tak dobrze. Skończywszy, rozsiadł się i westchnął z zadowoleniem. To było wspaniałe, aż nadto wspaniałe. Wiedział, że te luksusy nie potrwają wiecznie. Z niejaką irytacją pomyślał, że żyją na cudzy koszt i to koszt kogoś, kto nie żyje.

- Mam nadzieję, że nie masz mi tego za złe..., lecz byłem trochę bardziej niż pijany w nocy - zabrzmiało to niedelikatnie i pożałował swych słów, ledwo je wypowiedział.

- Wszystko w porządku, sądzę, że byłeś bardzo miły.

- Miły! - zaśmiał się do siebie. - Różnie mnie dotąd nazywano, ale nigdy miłym. Wydawało mi się, że byłaś zła, że wróciłem.

- Byłam tylko zajęta. Miałam sporo do sprzątnięcia, a ty przyszedłeś głodny. Myślę, że wiem, czego ci trzeba. Okrążyła zgrabnie stół i usiadła mu na kolanach, ramiona oplatając wokół jego szyi. Gdy się pocałowali, odkrył, że halka zapina się z przodu na dwa małe guziczki; nie zwlekając zrobił ze swego odkrycia właściwy użytek. Przytulił twarz do jej gładkiej skóry.

- Może przejdziemy dalej - powiedziała lekko ochrypłym głosem.

Leżała potem przy nim zrelaksowana i bez poczucia wstydu. On wodził palcami po krągłościach jej wspaniałego ciała. Przedzierające się od czasu do czasu przez zamknięte i zasłonięte okno dźwięki tylko podkreślały odosobnienie sypialni pogrążonej w półmroku. Gdy ucałował ją w kącik ust, uśmiechnęła się z rozmarzeniem. Oczy miała na wpół otwarte.

- Shirl... - zaczął, lecz dalej mówić nie potrafił. Nie miał praktyki w wyrażaniu emocji słowami. Owszem, wiedział, co chce powiedzieć, całą sztuką było wydobyć z siebie

głos. Natomiast dość jasno wyrażał się dłońmi: ani na moment nie przestawały badać jej ciała, które przyjemnie reagowało na jego pieszczoty. Shirl przysunęła się bliżej. Nawet jej szept nie był pozbawiony chrypki.

- Jesteś naprawdę dobry w łóżku, wiesz? Jesteś inny. Nigdy dotąd nie czułam tego wszystkiego w ten sposób. Poczuła, że drgnął i spojrzała na niego. - Jesteś zły z tego powodu? Przecież nie chcesz chyba, bym udawała, że nigdy nie spałam z nikim innym?

- Nie, jasne, że nie. To nie moja sprawa. Nic mi do tego. - Nagłe zesztywnienie ciała zadało kłam tym słowom.

Shirl ułożyła się na plecach i spojrzała na pyłki kurzu tańczące w smudze światła wpadającego przez szczelinę w kotarach.

- Nie szukam wybaczenia, Andy, lecz chciałabym ci coś powiedzieć. Wyrosłam w jednej z tych tradycyjnych rodzin, gdzie dzieci wychowuje się surowo. Nigdy nie wychodziłam sama z domu, nie brałam w niczym udziału, ojciec sprawdzał każdy mój krok. Wtedy mi to nie przeszkadzało i tak nie miałam zresztą wyboru. Tata lubił mnie i pewnie sądził, że dobrze o mnie dba. Był na emeryturze, posłali go na nią, gdy skońsył pięćdziesiąt pięć lat; miał jeszcze pieniądze za dom, głównie zatem przesiadywał tu czy tam i pił. Potem, gdy miałam dwadzieścia lat, wzięłam udział w konkursie piękności i wygrałam. Pamiętam, jak dawałam ojcu pieniądze z nagrody, to był ostatni raz, gdy go widziałam. Miał o nie zadbać, ulokować je czy przechować... Jeden z sędziów tego konkursu poprosił mnie wtedy o spotkanie wieczorem, no i poszłam. I tak już zostało.

Ot tak? - pomyślał Andy, lecz nie powiedział tego głośno. Uśmiechnął się do siebie: jakie ja mam tutaj prawo do komentarzy?

- Śmiejesz się ze mnie? - spytała przytykając palce do jego warg. W jej głosie wyczuwało się ból.

- Wielki Boże, nie! Z siebie się śmiałem, bo wiesz, zacząłem już być trochę zazdrosny, a nie mam prawa.

- Masz wszelkie prawa na świecie - powiedziała całując go powoli i czule. - Jeśli o mnie chodzi, to tym razem jest inaczej. Nie znałam aż tak wielu mężczyzn, ale wszyscy byli podobni do Mike'a. Czułam już po prostu, że mam tego dość...

- Przestań! Mnie to nie obchodzi. - I tak było naprawdę. - Liczysz się dla mnie tylko teraz i tutaj, i nie obchodzi mnie nic innego na całym świecie.

następny

. 10 .

Andy doszedł już niemal do końca listy. Z obolałymi nogami wlókł się Dziewiątą Aleją. Każda plama cienia była pełna wymęczonych postaci: starców, karmiących matek czy obejmujących się ramionami, chichoczących nastolatków. Ludzie w każdym wieku i różnego pochodzenia wyciągali nagie i brudne stopy zaścielając ulice, jak porozrzucane na polu bitwy ciała. Tylko dzieci bawiły się na słońcu, lecz ich ruchy były powolne, a krzyki przytłumione. Z nagłą radością i jazgotem otoczyły dwóch chłopców wracających z rejonu doków; ich ramiona pokryte były ukąszeniami oraz strumykami zakrzepłej krwi. Na końcu drucianej pętli nieśli zdobycz - wielkiego, martwego, szarego szczura. Wieczorem zapowiadała się uczta, raz wreszcie najedzą się. Środkiem ulicy powoli przesuwały się platformy ciężarowe, wyczerpane ludzkie zwierzęta pociągowe z wysiłkiem ciągnęły swe brzemię, łapiąc ustami powietrze. Andy przepychał się przez to piekło szukając biura Western Union.

Było niemożliwością dotrzeć do wszystkich osób, które odwiedzały mieszkanie O'Briena podczas ostatniego tygodnia, musiał jednak przynajmniej spróbować sprawdzić co bardziej obiecujące ślady. Każdy zaglądający do budynku mógł spostrzec rozłączone przewody alarmu w piwnicy, lecz tylko gość denata był w stanie zauważyć, że system alarmowy mieszkania też był niesprawny. Osiem dni przed morderstwem doszło do krótkiego spięcia i instalacja została wyłączona. Zabójca lub jego informator musiał być w mieszkaniu po tym czasie, dostrzeżenie zwisających przewodów nie było trudne. Andy sporządził listę wszystkich podejrzanych i teraz sprawdzał ją punkt po punkcie. Bez rezultatu. O'Briena nie odwiedzali żadni inkasenci, a wszyscy doręczyciele, których znalazł, zjawiali się pod tym adresem od lat. Ani jednego śladu.

Western Union było następnym orzechem do rozgryzienia. W ostatnim tygodniu doręczano do budynku wiele telegramów i portier był pewien, że przynajmniej kilka z nich było do O'Briena. On i windziarz pamiętali telegram przyniesiony w noc poprzedzającą morderstwo przez nowego posłańca, młodego chłopaka, Chińczyka, jak powiedzieli. To mogło być bez znaczenia i tysiąc do jednego, że nic nie znaczyło, lecz musiał to sprawdzić. Jakikolwiek ślad, nieważne jak nikły, mógł przydać się w śledztwie. Miałby przynajmniej co zameldować porucznikowi, by uratować, chociaż na jakiś czas, swoją głowę. Ponad chodnikiem zwieszał się żółto-niebieski szyld firmy. Andy skręcił w jego kierunku.

Przez środek biura biegł długi kontuar, pod ścianą w głębi stała ławka, na której siedziało trzech chłopców. Czwarty stał przy kontuarze i rozmawiał z dyspozytorem. Żaden nie był Chińczykiem. Po chwili rozmowa skończyła się i posłaniec wyszedł z tabliczką. Andy zbliżył się do kontuaru, lecz zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, mężczyzna potrząsnął energicznie głową.

- Nie tutaj - warknął. - Telegramy przyjmujemy od frontu. Nie widzi pan, że jestem dyspozytorem?

Andy spojrzał na ponurą, zmęczoną i pociętą głębokimi zmarszczkami twarz mężczyzny i na chaos tabliczek, kredy i zmywalnych taśm teleksu leżących na jego biurku. Pokryty łuszczącą się taśmą identyfikator zawierał nazwisko urzędnika: Mr Burgger. Zaśmiecenie biurka było najlepszym dowodem zgorzknienia tego, który przy nim siedział. W oczach Mr Burggera widać było wyczerpanie, kąciki ust miał opuszczone ku dołowi. Nawiązanie współpracy z tym człowiekiem będzie wymagać wiele wysiłku. Andy błysnął odznaką.

- Policja. Sprawa służbowa - powiedział. - Widzę, że to pan jest tym, z kim chcę rozmawiać, panie Burgger.

- Niczego nie zrobiłem, nie mamy o czym rozmawiać.

- Nikt pana nie oskarża. Potrzebuję od pana informacji mogących wesprzeć śledztwo...

- Nie mogę panu pomóc. Nie mam nic do powiedzenia policji.

- O tym ja decyduję. Dwudziesta Ósma Ulica to pański rejon doręczeń?

Burgger zawahał się, po czym przytaknął wolno, niechętnie, jakby uważał, że zmusza się go do ujawnienia tajemnicy państwowej.

- Czy pracuje u pana jakiś posłaniec, który jest Chińczykiem?

- Nie.

- Lecz czy pracował tu przynajmniej jeden taki?

- Nie. - Mr Burgger skrobał coś na tablicy ignorując Andy'ego. Na szczycie niemal łysej głowy zebrały się krople potu i spływały między resztkami siwych włosów. Andy'ego nie bawiło wywieranie nacisku na kogokolwiek, lecz jeśli musiał...

- W tym stanie obowiązuje prawo, Burgger - powiedział niskim, bezbarwnym głosem. - Mogę wyciągnąć cię stąd, choćby teraz, zabrać na komisariat i zapuszkować na trzydzieści dni za utrudnianie pracy funkcjonariuszowi policji. Chcesz tego?

- Niczego nie zrobiłem!

- Tak, zrobiłeś. Skłamałeś. Powiedziałeś, że nigdy nie pracował tu żaden chiński posłaniec.

Burgger zakręcił się na krześle rozdzierany wewnętrznym konfliktem między strachem a pragnieniem pozostania nie zamieszanym w cokolwiek. Wygrał strach.

- Był tutaj chiński chłopak. Pracował jeden dzień, nigdy nie wrócił.

- Jaki to był dzień?

- Ostatni poniedziałek - odpowiedział po namyśle.

- Czy doręczył jakikolwiek telegram?

- A skąd mam wiedzieć?

- Bo na tym polega twoja praca - stwierdził Andy z naciskiem. - Jakie telegramy doręczał?

- Siedział tu przez cały dzień, nie potrzebowałem go. To był jego pierwszy dzień. Nigdy nie wysyłam dzieciaka od razu pierwszego dnia, pozwalam im przywyknąć do ławy tak, by nie mieli żadnych pomysłów. Ale w nocy był spory ruch i musiałem go wysłać. Tylko raz.

- Dokąd?

- Proszę pana, nie pamiętam adresu każdego telegramu, który przechodzi przez moje ręce. Pracujemy tu ciężko i nie prowadzimy sprawozdań. Otrzymujemy telegram, doręczamy go, potem telegram zostaje przyjęty i to już jest koniec.

- Wiem, ale ten telegram jest bardzo ważny. Spróbuj sobie przypomnieć, dokąd posłałeś chłopaka. Siódma Aleja? Dwudziesta Trzecia Ulica? Może Chelsea Park...?

- Chwilę, to chyba było to. Pamiętam, że nie chciałem nawet posyłać tego chłopaka do Chelsea Park, tam nie lubią nowych twarzy, ale nie miałem wyboru.

- Widzę, że do czegoś dochodzimy - powiedział Andy wyjmując notatnik. - Jak miał na imię ten dzieciak?

- Jakieś ich nazwisko. Nie pamiętam. Był tylko jeden dzień i nigdy nie wrócił.

- To jak wyglądał?

- Jak młody Chińczyk. Nie jestem tu po to, by pamiętać, jak wyglądają wszystkie te dzieciaki - strach znikał i Mr Burgger znów popadał w zły humor.

- Gdzie mieszka?

-A kto to wie? Dzieciaki przychodzą tu, dają kaucję, to tyle: Nie jestem tu po to...

- Zaczynam się zastanawiać, po co właściwie tu jesteś, Burgger. Zajrzę tu jeszcze. Do tego czasu spróbuj sobie przypomnieć, jak wyglądał ten chłopak. Jeszcze porozmawiamy.

Chłopcy wiercili się niespokojnie na ławie, gdy Andy wychodził. Ledwo zniknął, Mr Burgger zgromił ich wzrokiem zdolnym niemal zabijać.

Ślad był słaby, lecz Andy cieszył się i z tego, wreszcie miał co powiedzieć Grassy'emu. Gdy wszedł do biura porucznika, był tam już Steve Kulozik. Przywitali się.

- Jak sprawa? - spytał Steve.

- Potem sobie pogadacie - wtrącił się Grassioli. Szarpiący jego powiekę tik miał się dzisiaj całkiem dobrze. - Lepiej zacznij pracować, Rusch, to śledztwo, a nie majówka. Wielu ważnych dupków: na różnych stołkach zaczyna już fiksować na ten temat.

Andy opowiedział o rozłączonych przewodach alarmu i swoich wnioskach w tej kwestii. Ominął godziny bezproduktywnego łażenia i zajął się od razu chłopakiem z Western Union. To opowiedział szczegółowo.

- No i co z tego? - spytał porucznik splatając dłonie na brzuchu, dokładnie nad wrzodem.

- Dzieciak mógł pracować dla kogoś. Każdy posłaniec musi zostawić dziesięć dolarów zastawu, a jaki dzieciak dysponuje taką gotówką? Ktoś mógł ściągnąć go, na przykład z Chinatown, i posłać, by obejrzał mieszkania, do których zanosi telegramy. Pierwszy raz przydał się, gdy zobaczył rozłączone przewody alarmu przy drzwiach Wielkiego Mike'a. Potem ktoś zorganizował robotę i zabójstwo, i obaj się ulotnili.

- Brzmi pięknie, lecz to jedyny ślad, jaki znalazłeś. Jak nazywa się chłopak?

- Nie wiadomo.

- No to co u diabła? - krzyknął Grassioli. - Przyłazisz tu do mnie z tą cholernie skomplikowaną teorią, która gówno ci da, jeśli nie zdołasz odnaleźć dzieciaka! W tym mieście są ich miliony. Jak trafisz na właściwego?

Andy wiedział, kiedy należy się zamknąć. Steve oparł swe cielsko o ścianę. Jak dotąd tylko przysłuchiwał się rozmowie. - Czy mogę coś powiedzieć, poruczniku? - spytał.

- A ty czego chcesz?

- Rozważmy tę sprawę przez chwilę tak, jakby dotyczyła tylko naszego rewiru. Dzieciak mógł przyjść z Chinatown, lub skądkolwiek, lecz zapomnijmy o tym na razie. Powiedzmy, że przyszedł z Shiptown, a wie pan, jak oni trzymają się razem, i że został przysłany przez innego Chińczyka. To tylko przypuszczenie.

- Do czego zmierzasz, Kulozik? Dawaj te swoje cholerne wnioski.

- Właśnie miałem to zrobić, poruczniku - powiedział Steve z niezmąconym spokojem. - Powiedzmy, że dzieciak lub jego szef przyszli z Shiptown. Jeśli tak, to możemy mieć ich odciski palców. Ja jeszcze nie pracowałem wtedy w policji, lecz pan był już tu w siedemdziesiątym drugim, prawda panie poruczniku? Wtedy, gdy miała miejsce inwazja na Formozę i w Nowym Jorku pojawiła się masa uchodźców?

- Tak, byłem wtedy rekrutem.

- Czy nie pobierano wtedy odcisków palców od wszystkich, również od dzieci? Ot tak, na wszelki wypadek; gdyby między czekających na ewakuację wcisnął się jakiś agent komuchów.

- Gówniana robota - stwierdził porucznik. - Owszem, było tak. Jeszcze przez następne parę lat zdejmowano odciski nawet dzieciom przychodzącym na świat by wykryć ewentualne defekty. Wszystkie te karty są tutaj na dole, w piwnicy. To o tym myślisz?

- Właśnie, sir. Trzeba pójść tam i sprawdzić, czy odciski z narzędzia zbrodni nie pasują do którejś z tych kart. To rzeczywiście gówniana robota, ale nie zaszkodzi spróbować.

- Słyszałeś go, Rusch - powiedział Grassioli, przekładając stos raportów. - Weź te odciski z łomu, zejdź na dół i sprawdź, czy uda ci się cokolwiek znaleźć.

- Tak, sir - odpowiedział Andy i obaj z Kulozikiem wyszli z biura. - Świetny z ciebie kumpel - rzekł Andy, ledwie zamknęli za sobą drzwi. - Miałem zaraz skończyć pracę, a tymczasem zafundowałeś mi robotę i teraz pewnie przesiedzę całą noc zagrzebany w piwnicy.

- Nie jest tak źle. Używałem kiedyś tych akt. Wszystkie odciski są opisane i jeśli masz coś znaleźć, to znajdziesz bez trudu. Pomógłbym ci, ale zięć przychodzi dziś na obiad.

- Ten, którego tak nienawidzisz?

- Tak, ten, ale on pracuje na trawlerze i ma przynieść rybę, którą wykradł. Świeżą rybę. Czy ciebie to nie rusza?

- Owszem, chętnie bym cię ugryzł, ty szuszwolu. Mam nadzieję, że przynajmniej jedna ość utkwi ci w gardle. Akta z odciskami palców nie były aż w takim porządku, jak opisał to Steve. Inni też ich używali i podczas gdy niektóre grupy kart były w idealnym porządku, jedno całe pudełko musiało być wyrzucone i potem upakowane byle jak. W piwnicy było wprawdzie chłodniej, lecz powietrze zaraz zgęstniało od kurzu. Andy pracował nieprzerwanie aż do dziewiątej wieczorem, gdy głowa zaczęła go łupać, a oczy łzawić. Wszedł na górę, obmył twarz i pooddychał trochę świeższym powietrzem. Przez chwilę wahał się, czy nie skończyć roboty i nie poczekać do rana, lecz wiedział, jaki byłby komentarz Grassy'ego, wrócił zatem na dół.

Dochodziła jedenasta, gdy znalazł, czego szukał. O mało co odłożyłby kartę na bok - odciski były tak drobne, lecz po chwili zdał sobie sprawę, że przecież dziecko urosło. Przyjrzał się odciskom przez porysowane szkło powiększające. Nie było wątpliwości, pokrywały się ze znalezionymi na oknie i na żelazie.

- Chung, William - przeczytał głośno. - Urodzony w 1982 w klinice Shiptown...

Wstał tak gwałtownie, że przewrócił krzesło. Porucznik powinien być w domu. Może śpi i będzie zły, że go budzą, ale mniejsza z tym.

To było to.

następny

. 11 .

Gdzieś na rzece zabuczała dwukrotnie syrena okrętowa, po chwili rozległa się jeszcze dwa razy, a dźwięk tak długo odbijał się wśród stalowych kadłubów, aż zginął w normalnym pomruku upalnej nocy. Billy Chung przewracał się z boku na bok na wytartym materacu. Od paru godzin leżał i wpatrywał się w ciemność. Pod przeciwległą ścianą posapywały przez sen bliźniaki. Syrena znów się odezwała raniąc mu uszy swym rykiem. Czemu po prostu nie chwycił towaru i nie wybiegł z mieszkania? Mógł się pośpieszyć. Czemu ten wielki sukinsyn musiał wejść akurat wtedy? Trzeba było go zabić, skoro był taki głupi. Przecież to była samoobrona. On zaatakował pierwszy. Widział to ciągle jak puszczony w kółko film: unoszące się żelazo, spojrzenie tłustej czerwonej twarzy. Łom wystający z głowy, nikły strumyczek krwi. Billy rzucał się przyciskając dłonie do piersi.

Czy każda noc będzie już taka? Gorąca, przepocona, koszmarna, z tym nieustannie wracającym wspomnieniem? Gdyby tamten nie wszedł wtedy do sypialni. Akurat wtedy... Billy jęknął, lecz zdławił dźwięk zanim ten wydobył się z ust. Usiadł i przyłożył dłonie do oczu naciskając mocno, aż w ciemności zapłonęły czerwone kręgi. A może wziąć syfa? Może to jest chwila? Kupił go za dwa dolce na taką właśnie ewentualność. Powiedziano mu, że nie można się od tego uzależnić, ale wszyscy handlarze kłamią.

Po omacku znalazł uzbrojony kabel biegnący po ścianie, wodząc po nim ręką doszedł do nie używanej skrzynki przełącznikowej. Syf był na miejscu. Wyczuł pod palcami kawałek folii, w którą był owinięty. Ma go brać? Gdzieś w mroku znów odezwała się syrena. Billy stwierdził, że kurczowo zaciśnięte palce rozorały paznokciami nogi. Szorty leżały pod ścianą, gdzie rzucił je wieczorem. Ubrał się, wziął mały pakiecik i jak najciszej otworzył drzwi. Ostrożnie stawiał nagie stopy na nagrzanym metalowym pokładzie.

Wszystkie bulaje i okna były otwarte ziejąc jak ślepe, czarne oczy w poznaczonych smugami rdzy kadłubach. Wszędzie wokoło, w każdej kabinie, w każdym zakątku

spali ludzie. Billy wspiął się na górny pokład, lecz i tutaj ślepe oczy nie spuszczały z niego spojrzenia. Ostatnie schody prowadziły na mostek niegdyś zamknięty, 'ale dwa pokolenia dzieci znalazły w końcu drogę do środka, forsując wszelkie zabezpieczenia. Drzwi już nie było, podobnie jak szyb i ram w oknach. Za dnia kłębiły się tutaj dzieci z Columbia Victory. Mostek był ich ulubionym miejscem zabaw. Teraz było jednak pusto i cicho. Jedynym śladem bytności dzieci był ostry zapach moczu po kątach. Billy wszedł do środka.

Na miejscu zostało tylko to, co było naprawdę ciężkie: stalowy stół do map przymocowany do ściany, telegraf, poobłamywane koło sterowe. Billy ostrożnie położył pakiecik na stole i rozwinął folię. Wetknął palce w szary pył ledwo widoczny w świetle gwiazd. Jak oni to nazywali?

LSD? I tak było fałszowane i wszyscy mówili na to syf. Handlarze mieszali LSD z jakimiś świństwami, by było go więcej. Trzeba przyjąć wszystko, i narkotyk, i dodatki, by poczuć cokolwiek. Widział jak brali to Sam-Sam i inni z bandy Tygrysów, lecz on nigdy tego nie wąchał. Podniósł zmięty kawałek folii do nosa i zatykając jedną dziurkę kciukiem, wciągnął głęboko powietrze. Chciało mu się jedynie kichać, zatkał nos, by nie zmarnować narkotyku. Gdy minęło uczucie wiercenia, wciągnął resztę proszku w drugie nozdrze i rzucił folię na podłogę.

Nic nie czuł. Zupełnie nic. Świat był taki sam, jakim znał go dotychczas i wiedział już, że został oszukany. Dwa dolce wyrzucone w błoto. Wyjrzał przez zdewastowane okno. Łzy rozczarowania zmieszały się na twarzy z potem. Płakał i pomyślał, że to dobrze, iż jest ciemno, przynajmniej nikt nie widzi, że płacze, chociaż ma prawie osiemnaście lat. Poszarpany metal, o który się opierał, był nierówny, tworzył miniaturowe góry i doliny. Strzępiasty, gładki, miękki, twardy. Pochylił się nad nim i przesunął palcami, a dotknięcie to przyprawiło go o dreszcz przyjemności. Jak to się stało, że dotąd tego nie zauważył? Przesunął z kolei językiem po powierzchni, a słodko-gorzki smak brudnego żelaza był tak wspaniały, że poczuł jak strumień elektryczności spływa mu wzdłuż kręgosłupa. Dotknął metalu zębami. Poszarpane krawędzie zaciążyły mu w ustach, jakby odgryzł kęs wielkości połowy mostu.

Buczek statku wypełnił świat dźwiękiem; dolatujący głos był dla Billy'ego muzyką rozlegającą się wszędzie wokół niego. Otworzył usta, by nie uronić ani akordu. A może to dochodziło z jego statku? Ze wszystkich stron otaczały go czarne, roztańczone cienie bomów, masztów, kominów, przewodów, odwietrzników, łodzi, cum, sztagów. Cała flota żeglowała. Zawsze wiedział, że kiedyś popłynie i oto doczekał się. Dał znać do maszynowni i ujął koło sterowe. Drewno było tak pełne i krągłe jak jędrne ciało - akurat po jednym żywym uchwycie dla każdej dłoni! Kręcił kołem, sterował i płynął przez falującą dżunglę czarnych szkieletów.

Załoga też nie próżnowała. Rozkazy wydawał szeptem, zresztą, mógł ich wcale nie wypowiadać, byli tak dobrzy, że słyszeli nawet to, co pomyślał. Otarł krople ściekające z nosa. Pracowali głęboko pod pokładem tak, jak powinna pracować dobra załoga, a on prowadził statek. Ufali mu. Szeptali coś mozoląc się. Słyszał jak dwóch pod mostkiem zbliżyło się do siebie i jeden spytał:

- Wszyscy na stanowiskach?

Miło było to słyszeć. Radością napełniła go też odpowiedź:

- Yes, sir.

Słyszał jeszcze innych poruszających się na pokładach, przechodzących po trapach, kręcących się tu i ówdzie: Koło w jego rękach było duże, solidne, a on pewnie trzymał kurs, lawirując powoli między innymi statkami: Światła. Głosy. Ludzie poniżej, na pokładzie.

- Nie ma go w mieszkaniu, poruczniku.

- Ten skurwiel uciekł, gdy usłyszał, że idziesz.

- Może, sir, ale obstawiliśmy wszystkie kładki i schody. Wszystkie przejścia na sąsiednie statki są strzeżone. Musi być na pokładzie. Jego matka powiedziała, że poszedł spać o tej samej porze co wszyscy.

- Dobra, znajdziemy go. Masz połowę naszych sił, by złapać jednego szczeniaka, więc złap go.

- Tak, sir.

Złap go. Kogo niby? A tak, złap GO, jasne. Wiedział już, kim są ci ludzie. To policja, przyszli po niego. Znaleźli go, wiedział, że go znajdą. Ale on nie chciał iść z nimi. Nie teraz, gdy. czuł się tak wspaniale. Czy to syf sprawił? Jeśli tak, to wspaniały syf. Będzie musiał zdobyć go więcej. Wiele było rzeczy, o których nie miał pojęcia, lecz tego był pewien: gliny nie dadzą mu syfa. Żyć bez syfa?

Na schodkach prowadzących na mostek zastukały ciężkie stopy, szczęknęła poręcz. Billy wspiął się na stalowy stół i złapawszy od zewnątrz krawędź okna wciągnął się na górę. To było łatwe i też przyjemne.

- Co za smród - powiedział ktoś, potem wychylił się przez okno i krzyknął do ludzi poniżej: - Tu go nie ma, poruczniku.

- Rozejrzyjcie się. Przeszukać statek, musi tu gdzieś być.

Powietrze nocy było dość gorące, co poczuł, gdy biegł do komina. Pomyślał o przejściu na sąsiedni statek. Znalazł komin; nie było źle, z boku wystawały zagięte pręty tworzące drabinę. Wspiął się na górę.

- Słyszeliście coś?

Jeszcze jeden pręt i już był na szczycie, tuż obok krzyczącego, czarnego owalu ust, otworu ciemniejszego niż noc wokoło. Nie mógł już dalej iść, chyba żeby do środka. Zamachał ramieniem nad pustką, gdy noga mu się poślizgnęła i już zaczął zsuwać się w głąb mrocznego tunelu, lecz w ostatniej chwili dłoń znalazła wsparcie na poprzecznej sztabie w kominie - nierównym, pordzewiałym i pokrytym tłustą czernią kawałku metalu. Wspiął się na krawędź i usiadł na niej okrakiem. Przytrzymał się blach i spojrzał na gwiazdy. Teraz, gdy głosy były tylko odległym pomrukiem, widział gwiazdy tak, jak nie widywał ich dotychczas nigdy. Czy to były nowe gwiazdy? Kolorowe. Tych barw przedtem nie zauważał.

Palce mu zdrętwiały, nogi zaczął ogarniać skurcz, gdy stwierdził, że nie słyszy już głosów. Nie wiedział, czy da radę zejść, przez chwilę pomyślał, że spadnie w czeluść bezdennego, mrocznego tunelu, co nie było już wcale tak atrakcyjne, jak z początku. W końcu zdołał rozprostować nogi. Sforsował krawędź i znalazł wystające z gładzi pomalowanego metalu szczeble.

Gdy ktoś urodzi się na statku i żyje na statkach, są one dla niego czymś tak normalnym jak ulice dla innych. Billy wiedział, że jeżeli uda mu się dostać na sam dziób i wystarczająco mocno odbije się stopami, to zdoła wylądować na rufie sąsiedniego statku. Były jeszcze inne sposoby przedostawania się ze statku na statek, pozwalające nie korzystać z trapów i kładek. Używał ich czasem. Nawet po zmroku. Bez chwili namysłu ruszył w drogę. Był już blisko brzegu, gdy poczuł jak ból rozdziera mu bosą stopę. Nadepnął na zardzewiałą, stalową cumę, która igiełkami drutów utkwiła głęboko w ciele. Usiadł i spróbował po omacku uwolnić stopę. Gdy tak siedział oparty o barierkę, zaczął się trząść. Zrozumiał, że policji wymknął się tylko przez przypadek.

Szukali go i wiedzieli kim jest!

Rzeczywistość zaczynała do niego docierać. Policja ustaliła jego tożsamość i odnalazła go, i gdyby nie wyszedł akurat na mostek, już by go mieli.

Gdy dotarł do brzegu, niebo rozjaśniało się z wolna. Sylwetka miasta rysowała się mrocznym konturem. Wyszedł daleko od skupiska zacumowanych statków. Wydawało mu się, że dostrzega ludzi kręcących się w pobliżu Dwudziestej Trzeciej Ulicy, ale z tej odległości nie mógł wiedzieć na pewno.

Skoczył na nabrzeże i pobiegł ku rzędowi szop. Mała, bosa, umazana kopciem, ciężko wystraszona postać. Szybko zniknął w cieniach.

następny

. 12 .

Fala gorąca przypiekała miasto od tak długiego czasu, że przestano ją już komentować, cierpiano w milczeniu. Gdy Andy jechał na górę, windziarz, szczupły

chłopak o wyglądzie sugerującym niewyspanie, oparł się o ścianę i oddychając przez szeroko otwarte usta pocił się w ciszy, plamiąc i tak już wilgotny mundur. Rano, kilka minut po siódmej, Andy otworzył zewnętrzne drzwi mieszkania 41-E. Gdy zamknęły się za nim, zapukał do wewnętrznych i skłonił się głęboko w kierunku kamery TV. Zamek szczęknął i w drzwiach pojawiła się dopiero obudzona Shirl w nocnym negliżu, z nie uczesanymi włosami.

- Całe dnie minęły - powiedziała padając mu w ramiona, pocałowali się. Zapomniał o ściskanym pod pachą plastikowym zawiniątku, które upadło na podłogę.

- Co to jest? - spytała; wciągając go do środka.

- Płaszcz przeciwdeszczowy. Za godzinę idę na służbę, a zapowiadali deszcz.

- Nie możesz zostać?

- A myślisz, że bym nie chciał? - ucałował ją raz jeszcze i mruknął bez humoru: - Wiele się zdarzyło, odkąd ostatnio się widzieliśmy.

- Zaparzę kawy, to nie potrwa długo. Chodź, opowiesz mi w kuchni.

Nalewała wodę, Andy tymczasem usiadł i popatrzył w okno. Nad horyzontem zbierały się ciemne chmury tak ciężkie, że zdawały się zwisać tuż nad dachami budynków.

- W mieszkaniu się tego nie czuje, ale dzisiaj jest jeszcze gorzej. W powietrzu jest masa wilgoci; pewnie około dziewięćdziesięciu dziewięciu procent.

- Znalazłeś chłopaka Chungów?

- Nie. Może jest na dnie rzeki, kto wie. Minęły dwa tygodnie, odkąd uciekł ze statku, i nie natrafiliśmy dotąd na żaden ślad. Mamy teraz priorytet papieru i wydrukowaliśmy nawet jego portret pamięciowy razem z odciskami palców i opisem, i rozesłaliśmy do wszystkich komend. Sam zaniosłem kopie do Chinatown i do najbliższych komisariatów i porozmawiałem z detektywami. Z początku założyliśmy obserwację jego mieszkania, lecz zrezygnowaliśmy i teraz mamy kapusiów na statku. Będą mieli oczy szeroko otwarte i dadzą znać, gdyby cokolwiek zobaczyli, a jak długo nie przyjdą z informacją, tak długo nie dostaną pieniędzy. To wszystko, co możemy na razie zrobić.

- Myślisz, że go złapiecie?

Andy wzruszył ramionami i podmuchał na filiżankę kawy, którą mu wręczyła.

- Nie wiadomo. Jeśli będzie się trzymał z dala lub wyjedzie z miasta, to możemy już nigdy na niego nie trafić. Teraz to już tylko kwestia szczęścia, tylko traf może nam pomóc. Szkoda, że ci z Ratusza tego nie rozumieją.

- A zatem wciąż prowadzisz tę sprawę?

- Pół na pół, i to jest najgorsze. Ci z góry wciąż domagają się, bym znalazł szczeniaka, ale Grassy przekonał ich, że równie dobrze mogę zajmować się tym poświęcając połowę czasu na normalne obowiązki, a połowę na sprawdzanie wszystkich śladów. Zgodzili się. Co, jak znasz Grassy'ego, oznacza, że pracuję normalnie razem ze składem wydziału, a po godzinach szukam Billy'ego Chunga. Zaczynam nienawidzieć tego gówniarza. Żałuję, że nie jestem w stanie dowieść, że się utopił.

Shirl usiadła naprzeciwko i upiła kawy.

- To dlatego nie było cię przez parę dni.

- Byłem, ale na służbie. Wysłali mnie na dwa dni nad zbiornik Kensico i nie miałem czasu nawet na to, by przesłać a wiadomość. Teraz też jestem na służbie i będę musiał zameldować się przed ósmą, lecz najpierw chciałem zobaczyć się z tobą. Dzisiaj jest trzydziesty. Co zamierzasz zrobić, Shirl?

Potrząsnęła tylko w milczeniu głową i zapatrzyła się w blat stołu. Przez twarz przebiegł cień smutku. Ujął jej rękę, lecz nie zareagowała.

- Też nie lubię o tym mówić. Te trzy tygodnie zleciały jak wakacje... - Zmienił temat. Nie był w stanie wyrazić słowami tego, co czuł. Nie teraz, nie tak nagle. - Czy siostra O'Briena znów cię nachodziła?

- Była tu jeszcze raz, ale nie wpuścili jej do budynku. Powiedziałam, że nie chcę jej widzieć i zrobiła scenę. Tab opowiadał mi, że cała służba świetnie się bawiła. Zostawiła wiadomość, że będzie jutro. Jutro jest ostatni dzień miesiąca i będzie chciała zabrać stąd wszystko. Sądzę, że jest do tego zdolna, środa to pierwszy, zatem umowa wynajmu kończy się o północy.

- Czy myślałaś o tym, gdzie... co zamierzasz zrobić? - zabrzmiało nienaturalnie, lecz nie był w stanie powiedzieć tego lepiej .

Shirl potrząsnęła przecząco głową.

- Nawet o tym nie myślałam - powiedziała. - Razem z tobą tutaj to naprawdę były wakacje i odkładałam wszystkie zmartwienia z dnia na dzień, by zająć się nimi później.

- Zgadza się, to był taki właśnie czas. Mam nadzieję, że nie zostawiliśmy tej smoczycy ani butelki trunku? - Ani jednej!

Roześmiali się.

- Musieliśmy przepić fortunę - powiedział Andy. - Ale nie żałuję ani kropli. Co z jedzeniem?

- Jest jeszcze trochę sucharów i kilka innych produktów, dość by zrobić jeden porządny posiłek. W zamrażalniku jest tilapia. Miałam nadzieję, że będziemy mogli zjeść ją razem, że zrobimy coś w rodzaju przyjęcia wyprowadzkowego.

- To się da zrobić, jeśli nie masz nic przeciwko temu, że będziemy jedli późno. Możliwe, że będę wolny dopiero o północy.

- Mnie to nie przeszkadza, może być nawet oryginalnie.

Gdy Shirl była szczęśliwa, okazywała to całą sobą i musiała się wtedy uśmiechać. W jej włosach zapaliły się nowe odbłyski światła, zupełnie jakby szczęście było substancją promieniującą z niej we wszystkich kierunkach. Nawet Andy poczuł przypływ śmiałości i pomyślał, że jeśli teraz nie zada tego pytania, to już nigdy się na nie nie zdobędzie.

- Shirl:.. - ujął obie jej ręce, ciepło jej dotknięcia bardzo mu pomogło. - Czy przeprowadzisz się do mnie? Nie ma tam wiele miejsca, ale przez większość czasu i tak jestem poza domem i nie przeszkadzam. Mogłabyś tam mieszkać, jak długo byś chciała. - Zaczęła coś mówić, lecz uciszył ją przykładając jej palec do warg. - Nie odpowiadaj od razu, namyśl się. To nie musi być na stałe, tymczasowo, na jak długo zechcesz. Nie przypomina to w niczym Chelsea Park, zwykła kamienica bez windy, a ja mam połowę jednego pokoju i...

- Uciszysz się wreszcie? - zaśmiała się. - Już od dłuższej chwili próbuję ci powiedzieć tak, a ty zachowujesz się, jakbyś chciał mnie zniechęcić.

- Co...?

- Niczego tak bardzo nie pragnę na świecie, jak być szczęśliwą, a z tobą jestem szczęśliwsza niż w całym moim życiu dotąd. Nie jesteś w stanie odstraszyć mnie opisem swego mieszkania, powinieneś zobaczyć tę norę, w której mieszkałam z ojcem aż do dwudziestego roku życia.

Andy zdołał obejść stół nie przewracając go i przytulił ją do siebie.

- Za kwadrans muszę być w komendzie. Ale czekaj dziś na mnie od szóstej, mogę zjawić się w każdej chwili, choć zapewne przyjdę później. Urządzimy sobie przyjęcie, potem zajmiemy się przeprowadzką. Wiele tego masz?

- Zmieści się w trzech walizkach.

- Doskonale. Poniesiemy je lub weźmiemy rikszę. Muszę już lecieć - zniżył głos niemal do szeptu. - Pocałuj mnie jeszcze.

Zrobiła to, całując go gorąco, równie szczęśliwa jak on.

Opuszczenie mieszkania było prawie heroicznym wysiłkiem, a i tak zanim to zrobił, powynajdywał w myślach wszystkie możliwe. wymówki mogące usprawiedliwić spóźnienie, lecz wiedział, że i tak nic nie zdoła przekonać porucznika. Gdy znalazł się w westybulu, po raz pierwszy zdał sobie sprawę z rozlegających się już od jakiegoś czasu grzmotów. Tab, portier i jeszcze czterech strażników stłoczyło się przy drzwiach i wyglądało na zewnątrz. Rozstąpili się, gdy podszedł.

- Niech pan tylko na to spojrzy - powiedział Chanie. - Chyba coś się zmienia.

Druga strona ulicy była prawie niewidoczna zza kurtyny ulewnego deszczu. Woda lała się na dachy i chodniki, a rynsztokami toczyły się już spienione strumienie. Dorośli szukali schronienia w sieniach domów, tłocząc się nawet w drzwiach, ale dzieci z krzykiem biegały po ulicach witając deszcz jak święto, chlapiąc się w brudnych strugach.

- Kanały burzowe niedługo się zablokują. Będzie kilka stóp wody - stwierdził Charlie. - Sporo z tych dzieciaków utonie.

- To normalne - odparł z ponurą satysfakcją Newton, strażnik budynku. - Najmniejsze znikają gdzieś w pewnej chwili i dopiero po deszczu wychodzi na jaw, co się z nimi stało:

- Czy mogę z panem chwilę porozmawiać? - spytał Tab, stukając Andy'ego w ramię i odchodząc na bok. Andy ruszył za nim, walcząc z rękawami opornego płaszcza przeciwdeszczowego.

- Jutro jest trzydziesty pierwszy - powiedział Tab przytrzymując Andy'emu płaszcz.

- Wygląda, że od jutra będzie pan szukał pracy - rzekł Andy myśląc o Shirl i szumiącym na zewnątrz deszczu.

- Nie o to mi chodzi - powiedział Tab odwracając się do okna. - Shirl będzie musiała jutro opuścić mieszkanie. Słyszałem, że ta wygłodzona ropucha, siostra O'Briena, wynajęła ciężarówkę i zaraz rano wywozi wszystkie meble. Chciałbym wiedzieć, jakie są zamiary Shirl. - Złożył ramiona na piersi i jak posąg zapatrzył się w deszcz.

To nie powinno go obchodzić, pomyślał Andy, lecz on zna ją wiele dłużej niż ja.

- Jesteś żonaty, Tab?

Tab spojrzał na niego kątem oka i parsknął.

- Żonaty, szczęśliwie żonaty, z trójką dzieci i nie chciałbym tego zmieniać, nawet gdyby ofiarowano mi którąś z tych panienek z telewizji z kołatkami jak hydranty przeciwpożarowe - przyjrzał się Andy'emu i uśmiechnął się. Nie ma powodów do niepokoju, po prostu lubię tego dzieciaka. Jest miła, to wszystko, a ja wolałbym wiedzieć, co się z nią teraz stanie.

- To żadna tajemnica. - Andy zdał sobie sprawę, że to pytanie mogło paść już dawno. - Zamierza zamieszkać ze mną. Przyjdę wieczorem, by pomóc jej w przeprowadzce: - Spojrzał na Taba, który z powagą pokiwał głową.

- To bardzo dobra wiadomość, miło mi to słyszeć. Mam nadzieję, że wszystko ułoży się jak najlepiej.

Tab znów zapatrzył się w ulewę, a Andy zerknął na zegarek. Była już prawie ósma, musiał się pośpieszyć. Na zewnątrz było teraz chłodniej niż w westybulu, deszcz musiał obniżyć temperaturę przynajmniej o dziesięć stopni. Może okres upałów dobiegł końca; z pewnością byłoby to potrzebne. W fosie stało kilka cali wody

poznaczonej kręgami padających kropel. Zanim zdążył przejść przez most, poczuł, że woda dostała mu się do butów, nogawki spodni nasiąknęły, a wilgotne włosy przykleiły się do głowy. Było jednak chłodno, wreszcie chłodno i to było najważniejsze. Nawet myśl o wiecznie niezadowolonym Grassiolim dziwnie straciła na znaczeniu.

Padało przez resztę dnia, który poza tym był jak każdy inny. Grassioli dwa razy zbeształ go, a raz uczynił to w stosunku do ~ całego wydziału. Przesłuchał dwóch zatrzymanych oraz pewnego drania zamieszanego w czyn zbrodniczy łatwo mogący zamienić się w morderstwo, pchnięta nożem w pierś ofiara walczyła bowiem ze śmiercią. Pracy mieli więcej niż byli w stanie wykonać w ciągu miesiąca. Nowe sprawy napływały nieustannie, podczas gdy ledwo radzili sobie z zaległymi. Tak jak się spodziewał, nie wyszedł o szóstej, dopiero o dziewiątej nagły telefon wyrwał Grassioliego zza biurka i pomimo licznych gróźb i ostrzeżeń porucznika cały dzienny skład, który został po godzinach, ulotnił się odczekując tylko dziesięć minut. Wciąż padało, chociaż nie tak mocno jak rano. Po tygodniach nieustannego gorąca powietrze było orzeźwiająco chłodne. Idąc Siódmą Aleją Andy zauważył, że po raz pierwszy tego lata ulice były prawie puste. Mało kto chodził po deszczu, za to w każdych drzwiach można było dostrzec skulone postacie. Wspinanie się na schody było gorsze niż zwykle, gdyż wszyscy, którzy normalnie tłoczyli się na chodniku, teraz siedzieli tutaj, niektórzy nawet leżeli drzemiąc. Przepychał się, czasem nadeptując kogoś i ignorując mamrotane przekleństwa. Był to cierpki przedsmak jesieni. Właściciele budynków sprowadzali czasem strażników, którzy wyrzucali całe towarzystwo na ulicę, lecz była to daremna robota. Ledwo przedstawiciele prawa znikali, dzicy lokatorzy, których było w mieście zbyt wielu, pojawiali się ponownie. .

- Zniszczysz sobie oczy oglądając telewizję w ten sposób - powiedział Andy wchodząc i zastając Sola leżącego na łóżku z poduszką pod głową, zapatrzonego w jakiś Film wojenny. Z głośnika dochodziła nieustanna strzelanina.

- Moje oczy były już do niczego, zanim się narodziłeś, panie Mądraliński, a wciąż widzę lepiej niż dziewięćdziesiąt dziewięć procent starych pierników w moim wieku. Fajnie, że przestrzegają u ciebie godzin pracy.

- Znajdź mi lepszą robotę, jeśli jesteś taki cwany - powiedział Andy,. zapalając światło w swoim pokoju i szukając czegoś w najniższej szufladzie komody. Sol przyczłapał do niego i usiadł na skraju łóżka.

- Jeśli szukasz latarki, to zostawiłeś ją wczoraj na stole. Chciałem ci właśnie powiedzieć, że schowałem ją do górnej szuflady. Jest pod szortami.

- Lepiej się o mnie troszczysz niż rodzona matka.

- Tak, właśnie. Nie próbuj pożyczyć ode mnie pieniędzy, synu.

Andy schował latarkę do kieszeni. Wiedział, że musi w końcu powiedzieć Solowi. Odkładał to, choć sam niezbyt wiedział czemu się ociąga. Koniec końców, ten pokój był jego. Łączyli racje żywnościowe i jadali razem, ponieważ tak żyło się łatwiej, ale to było wszystko, normalna współpraca.

- Przez jakiś czas ktoś będzie tu ze mną mieszkał. Nie wiem jak długo.

- To twój pokój, chłopcze. Znam gościa?

- Niezupełnie, poza tym, to nie facet...

- Ho, ho! To wszystko wyjaśnia - strzelił palcami. - Czy to nie to kurczątko, dziewczyna Wielkiego Mike'a, z którą widywałeś się ostatnio?

- Tak, to ona. Nazywa się Shirl.

- Pretensjonalne imię dla pięknej dziewczyny - rzekł Sol wstając i kierując się ku drzwiom. - Bardzo to wyszukane. Uważaj tylko chłopcze, żebyś się nie sparzył.

Andy chciał coś powiedzieć, ale Sol zamknął już za sobą drzwi. Zrobił to trochę mocniej niż trzeba było. Gdy Andy wychodził, starszy pan oglądał telewizję i nawet nie oderwał oczu od ekranu.

To był ciężki dzień. Andy czuł go w nogach; usiłując ignorować bolący kark i piekące oczy zastanawiał się, czemu Sol okazał rozdrażnienie. Nie znał przecież Shirl. Jaki więc mógł mieć powód do niezadowolenia? Wędrując przez omywane rzadkim deszczem miasto myślał o Shirl, i nie zdając sobie z tego sprawy, zaczął pogwizdywać. Był głodny, zmęczony i bardzo chciał ją zobaczyć. Po niedługiej chwili wyrosły przed nim mokre wieżyczki i blanki Chelsea Park, a portier wypatrzył go już na moście i pozdrowił przytykając dłoń do czapki:

Shirl otworzyła drzwi ubrana w tę samą srebrzystą suknię, którą miała na sobie pierwszej nocy, uzupełnioną przywiązanym z przodu białym fartuszkiem. Miedziane włosy były spięte srebrną klamrą, na prawym ramieniu srebrzyła się dobrana bransoletka, na palcach obu dłoni lśniły pierścionki.

- Nie pomocz mnie - powiedziała wyciągając szyję, by go pocałować. - Przyjęcie prawie gotowe.

- A ja przychodzę jak na bal łachmaniarzy - stwierdził Andy, zrzucając ociekający płaszcz.

- Bzdura. Wyglądasz po prostu jak ktoś, kto miał ciężki dzień. Zapomnij o biurze czy jak tam nazywacie to miejsce, gdzie pracujesz i chodź. Potrzebujesz odmiany. Powieś to coś pod prysznicem, wysusz włosy zanim się przeziębisz, a potem przyjdź do salonu. Mam niespodziankę.

- Jaką? - zawołał za nią.

- Jeśli ci powiem, to nie będzie niespodzianką - powiedziała z miażdżącą kobiecą logiką.

Zdjęła fartuszek i stała dumnie obok zastawionego stołu w salonie. Dwie wysokie świece rzucały blask na srebrne sztućce, porcelanowe talerze i kryształowe kieliszki. Biały obrus zwieszał się z blatu w grubych fałdach.

- I to jeszcze nie wszystko - powiedziała wskazując na koniec stołu, gdzie ze srebrnego wiaderka wystawała szyjka butelki.

Andy spostrzegł, że korek był opleciony drutem, a kubełek pełen kostek lodu. Wyjął butelkę i obrócił etykietą do światła.

- Frenchwine Champagne - rzadki, wyszukany, musujący napój ze znakomitego rocznika. Sztucznie barwiony, gazowany, słodzony, z zawartością olejków zapewniających wspaniały smak i zapach - przeczytał i odłożył butelkę ostrożnie do wiaderka. - Gdy byłem dzieckiem, pijaliśmy w Kalifornii wina i ojciec pozwolił mi raz spróbować, lecz nic już z tego nie pamiętam. Zepsujesz mnie takimi niespodziankami. A poza tym, oszukałaś mnie, mówiłaś, że wszystko już wypiliśmy, a tymczasem miałaś to schowane.

- Nie! Kupiłam dzisiaj, specjalnie na przyjęcie. Zjawił się dostawca alkoholi Mike'a; jest z Jersey i nic nie wiedział.

- To musiało kosztować majątek.

- Nie aż tak wiele. Sprzedałam mu wszystkie puste butelki i dał mi za to specjalną nagrodę. A teraz otwórz to na miłość boską i spóbujmy, co to jest!

Andy zaczął zmagać się z drutem wokół korka. Widział w telewizji jak to się robi, lecz im to szło jakoś łatwiej. W końcu rozległ się satysfakcjonujący wystrzał, korek poleciał przez pokój, a Shirl podstawiła pod pieniący się strumień kieliszki, które trzymała gotowe tak, jak poinstruował ją sprzedawca alkoholi.

- To za nas - powiedziała i unieśli szkło.

- Bardzo dobre, nie piłem nigdy czegoś podobnego.

- Takiego obiadu jak dzisiaj, też jeszcze nie jadłeś - stwierdziła i pośpieszyła do kuchni. - A teraz siadaj; popijaj wino, patrz w telewizję, a za kilka minut wszystko będzie gotowe.

Na pierwsze danie była zupa z soczewicy i smakowała lepiej, i lepiej pachniała niż zwykle.

- Okrawki mięsa - wyjaśniła Shirl. - Zachowałam jeszcze z befsztyku.

Do pieczonej tilapii był biały sos z zielonymi listkami rzeżuchy i kluski z sucharów oraz sałatka z. wodorostów. Wszystko przepijali winem i Andy posapywał tylko z zadowolenia i rzadkiego poczucia sytości, gdy Shirl przyniosła kawę i deser - przyprawioną żelatynę z agar-agar z mleczkiem sojowym. Jęknął na ten widok, lecz nie trzeba było namawiać go do jedzenia.

- Czy palisz tytoń? - spytała sprzątnąwszy ze stołu.

Rozparł się odprężony na fotelu i przymknął oczy.

- Za pensję gliny to niewykonalne, ale i tak jestem niepalący. Shirl, jesteś geniuszem kuchni. Jeśli zjem jeszcze coś twej produkcji, będę już zupełnie zepsuty.

- Mężczyzn należy psuć, wtedy łatwiej się z nimi żyje. To źle, że nie palisz, bo znalazłam dwa cygara. Mike chował je dla specjalnych gości.

- Zanieś je na pchli targ. Dostaniesz dobrą cenę.

- Nie, to nie byłoby w porządku.

Andy wyprostował się.

- Jeśli chcesz coś z tym zrobić, to wiem, że Sol zwykł kiedyś palić. Już ci o nim opowiadałem, mieszka w przyległym pokoju. To mogłoby go dobrze usposobić, ja traktuję go jak przyjaciela.

- Wspaniały pomysł - powiedziała wyczuwając zamysł Andy'ego. Kimkolwiek był ów Sol, chciała, by ją polubił, skoro mają mieszkać przez ścianę. - Schowam je do walizki. - Odniosła pełną tacę do kuchni.

Gdy naczynia zostały umyte, zajęła się dokończeniem pakowania. Zawołała Andy'ego, by pomógł jej zdjąć ostatnią walizkę z górnej półki, a gdy zjawił się w sypialni, przydał się również, by odpiąć zamek jej sukni, co miało skutek, na jaki liczyła. "

Było już po północy, gdy ostatni bagaż został spakowany, a Shirl nałożyła szarą suknię nadającą się na ulicę i stanęła gotowa.

- Nie zapomniałaś niczego?

- Chyba nie, rozejrzę się jeszcze.

- Shirl, czy gdy się wprowadzałaś, nie przyniosłaś przypadkiem ze sobą jakiegoś prześcieradła, ręczników lub jakiejkolwiek w ogóle pościeli? - wskazał na zmiętoszone łóżko. Wydawał się czymś zmartwiony.

- Nie, miałam tylko torbę z ubraniami.

- Liczyłem na to, że masz jakieś prześcieradło. Bo wiesz, ja mam tylko jedno, które jest już dość stare, a nowe kosztuje teraz majątek, nawet używane są drogie.

Roześmiała się.

- Mówisz, jakbyś zamierzał spędzić większość czasu w łóżku. Ale dobrze, że mi przypomniałeś, pamiętam, że dwa prześcieradła są moje - otworzyła torbę i zaczęła szybko składać i pakować je do środka. - Przynajmniej tyle jest mi winien.

Andy wyniósł bagaże na korytarz i zadzwonił po windę. Shirl przystanęła jeszcze patrząc, jak zamykają się drzwi mieszkania i dołączyła do niego.

- Czy on nigdy nie śpi? - spytał Andy widząc Charliego na posterunku przy frontowych drzwiach.

- Tak jakby - rzekła Shirl. - Gdy tylko coś się dzieje, zawsze wyrasta jak spod ziemi.

- Tak mi przykro, że się pani od nas wyprowadza, Miss Greene - powiedział Chanie, gdy do niego podeszli. - Jeśli pani pozwoli, wezmę od razu klucze od mieszkania.

- Tylko niech pan pokwituje - przypomniał Andy wręczając klucze.

- Z chęcią - Charlie wcale nie speszył się. - Ale nie mam na czym.

- Proszę, tu jest mój notatnik. Spoglądając ponad ramieniem portiera, Andy dojrzał wychodzącego z dyżurki Taba.

- Tab, co ty tu robisz tak późno w nocy? - spytała Shirl.

- Czekam na was. Słyszałem, że wyprowadza się pani dzisiaj i pomyślałem, że pomogę z bagażami.

- Ale jest bardzo późno.

- To mój ostatni dzień pracy. Chciałbym skończyć ją w dobrym stylu. A pani przecież nie chciałaby sama paradować o tej porze z walizkami po ulicy. Są tacy, którzy dla mniejszych rzeczy gotowi są poderżnąć gardło.

Wziął dwie walizki, Andy ujął trzecią.

- Naprawdę mam szczęście - powiedziała Shirl. - Wysoko opłacany strażnik i detektyw miejski gotowi są odprowadzić mnie tylko o kilka przecznic.

- Jeśli ktoś stanie nam na drodze, wprasujemy go w bruk - powiedział Andy, odbierając od portiera notatnik i prowadząc wszystkich przez drzwi, które Charlie otworzył szeroko.

Deszcz ustał i przez luki w chmurach widać było gwiazdy. Było wspaniale chłodno. Shirl ujęła każdego pod ramię i poszli razem oddalając się od powodzi świateł Chelsea Park, aż zniknął w ciemności.

następny

. 13 .

Była to dziwna wspinaczka - Shirl omiatała światłem latarki uśpione pokotem na schodach postacie, a idący za nią Andy niósł walizki. Sol spał i musieli po cichu przejść przez pokój. Łóżko było dość szerokie dla obojga; zmęczona Shirl zwinęła się z głową na ramieniu Andy'ego i szybko zasnęła. Spała tak twardo, że nie zauważyła, jak wstał, ubrał się i wyszedł. Obudziło ją dopiero wpadające przez okno słońce, które nagrzało nogi łóżka. Oparła się łokciami o parapet; powietrze po deszczu było świeże. Cały brud miasta spłynął z wodą. Widziała nawet sylwetki odległych budynków Bellewe, wyrastających kanciasto nad morzem niższych, smoliście czarnych dachów i pokrytych zaciekami ceglanych murów. Upał ustąpił i to było najlepsze. Ziewnęła z przyjemnością i odwróciła się, by spojrzeć na pokój.

Oto czego można oczekiwać od kawalera. Nawet schludnie, lecz ciepła tu tyle, ile w starym bucie. Na wszystkim leżała cienka warstwa kurzu, co było prawdopodobnie jej winą, gdyż Andy spędzał ostatnio w domu bardzo mało czasu. Gdyby udało się zdobyć farbę, to temu staremu kredensowi na pewno nie zaszkodziłoby odmalowanie. Nawet gdyby zleciał ze schodów, nie mógłby być bardziej poobijany. Za to lustro jest duże, na całe drzwi szafy, pęknięte, lecz nadające się do użytku. No i jest szafa na rzeczy. Nie ma na co narzekać, trzeba tu tylko trochę posprzątać, wyczyścić to i owo i pokój będzie całkiem miły. I precz z tymi milionami pajęczyn na suficie.

Zbiornik wody wisiał na ściance działowej tuż obok drzwi. Gdy odkręciła kurek, pociekł cienki, brązowawy strumyk wody. Gromadząca się w misce ciecz miała ostry zapach chemikaliów, który niemal zapomniała. Cała woda w Chelsea Park była przepuszczana przez system kosztownych filtrów. Nie zdołała znaleźć kawałka mydła, więc tylko spryskała twarz i opłukała ręce i właśnie wycierała je w wiszący obok zbiornika wystrzępiony ręcznik, gdy przez ściankę doszedł ją dziwny, wyjący dźwięk. Zastanawiała się, co to może być. Odgłos dochodził niewątpliwie z pokoju, w którym mieszkał Sol. Tego hałasu nie było przedtem, zanim on nie usłyszał, że Shirl już wstała, że chodzi po pokoju i puszcza wodę. Znaczyło też, że pokój Andy'ego zapewniał tyle prywatności, co klatka na ptaki. No cóż, na to nie ma już rady. Wyszczotkowała włosy, włożyła tę samą suknię, którą miała na sobie w nocy i dodała parę kresek makijażu. Potem wciągnęła głęboko powietrze i otworzyła drzwi.

- Dzień dobry - powiedziała i oniemiała, nie mogąc wydusić z siebie ani słowa więcej. Stała usiłując nie gapić się zbyt ostentacyjnie. Sol siedział na pozbawionym kół rowerze i jechał do nikąd, lecz pedałował z zapałem, aż siwe włosy rozwiewały mu się we wszystkich kierunkach, a broda podskakiwała na piersi. Jedynym jego strojem były stare, Znoszone szorty. Wycie dochodziło z czarnego urządzenia na tylnej osi roweru.

- Dzień dobry! - zawołała raz jeszcze, tym razem głośniej, aż Sol spojrzał na nią i zwolnił. - Jestem Shirl Greene - przedstawiła się.

- A kimże innym mogłabyś być - powiedział chłodno Sol zsiadając z siodełka i wycierając przedramieniem pot z czoła.

- Nie widziałam nigdy takiego roweru. Czy to do czegoś służy? - nie chciała się z nim kłócić i to niezależnie od tego, jak bardzo on by pragnął konfliktu.

- Tak. Robi lód. - Zajął się zakładaniem koszuli. W pierwszej chwili pomyślała, że z niej żartuje, zawsze bała się kawałów z podtekstami, obliczonych na myślenie i nigdy ich nie rozumiała. Dopiero po chwili zauważyła druty biegnące od tego czegoś, co przypominało motorek, do całej sterty akumulatorów ustawionych na lodówce.

- Już wiem - powiedziała ciesząc się z dokonanego odkrycia. - Pan zasila tym rowerem lodówkę. Myślę, że to wspaniałe rozwiązanie. - Jego jedyną odpowiedzią tym razem był pomruk, bez komentarzy, wiedziała zatem, że są postępy. - Lubi pan kawę?

- Nie mam pojęcia. Tak długo jej już nie piłem.

- Mam jeszcze w walizce pół puszki. Gdyby znalazło się tutaj trochę wrzątku, to zaparzyłabym. - Nie czekając na odpowiedź, wróciła do pokoju i przyniosła puszkę. Sol spojrzał na brązowy pojemnik, po czym wzruszył ramionami i poszedł napełnić czajnik wodą.

- Założę się, że smakuje jak trucizna - powiedział stawiając imbryk na piecyku. Najpierw zapalił zwieszającą się pośrodku pokoju żarówkę, przyjrzał się rozżarzonym drucikom i niechętnie skinął głową. - Dla odmiany włączyli nam dzisiaj prąd. Miejmy nadzieję, że zdążymy zagotować pół cala wody. - Włączył spiralkę piecyka.

- Pijam kawę dopiero od paru lat - powiedziała Shirl siadając na krześle przy oknie. - Słyszałam wprawdzie, że nie przypomina w smaku prawdziwej kawy, ale nie miałam okazji sprawdzić.

- Mogę cię zapewnić, że rzeczywiście nie przypomina.

- Próbował pan kiedyś prawdziwej kawy? Więcej niż raz? - nigdy jeszcze nie spotkała mężczyzny, który nie lubiłby opowiadać o swoich doświadczeniach.

- Czy próbowałem? Kochana, ja żyłem kawą. Ty jesteś szczeniak i nie możesz mieć pojęcia, jak wszystko wyglądało kiedyś. Wypijało się trzy, cztery kubki, czasem nawet cały dzbanek i nikt się nie dziwił. Raz nawet zatrułem się kawą, skóra mi zbrązowiała i w ogóle, bo wypijałem do dwudziestu porcji dziennie. Mistrz świata w piciu kawy, mógłbym wygrywać zawody.

Shirl zdołała jedynie potrząsnąć z podziwem głową i upić łyk kawy. Była jeszcze za gorąca.

- A, przypomniałam sobie - powiedziała zrywając się z krzesła i biegnąc do sąsiedniego pokoju. Wróciła po chwili niosąc dwa cygara, które wręczyła Solowi. - Andy mówił, że powinnam dać je panu, bo pan to pali.

Poza męskiej wyższości zniknęła i staruszek omal nie rozdziawił ust.

- Cygara? - to było wszystko, co zdołał wykrztusić.

- Tak, Mike miał ich całe pudełko, ale zostały tylko te dwa. Nie wiem nawet, czy są dobre.

Sol usilnie starał się przypomnieć sobie rytuał sprawdzania jakości tego właśnie gatunku cygar. Powąchał podejrzliwie koniuszek jednego.

- Wreszcie coś pachnie jak tytoń. - Gdy przyłożył cygaro do ucha i ścisnął węższy koniec, rozległ się ostry, trzeszczący dźwięk. - Aha! Zbyt wysuszone. Powinienem się tego domyślić. Trzeba umieć dbać o cygara, powinny być przechowywane w odpowiednich warunkach. Te są zbyt suche, muszą znaleźć się w nawilżaczu. Tak nie można ich palić.

- Choce pan powiedzieć, że nie są dobre? Że będziemy musieli je wyrzucić?

- Żadne takie, spokojnie. Po prostu schowam je do pudełka wyłożonego wilgotną gąbką i odstawię na trzy, cztery dni. Jedno, co warto wiedzieć o cygarach, to że można je jak Łazarza przywrócić do życia, a może nawet lepiej, bo on na pewno nie pachniał zbyt ciekawie po tym, jak cztery dni przebywał w ziemi. Pokażę ci, jak to się robi.

Shirl upiła kawy i uśmiechnęła się. Wydawało się, że wszystko ułoży się. Sol miał po prostu opory przed przyjęciem pod dach jeszcze jednej osoby, właściwie to zrozumiałe, że musiało go to niepokoić. Lecz był miły, znał wiele zabawnych historii, wyrażał się trochę w staroświecki sposób i wiedziała już, że będą w stanie się zgodzić.

- To wcale nie smakuje najgorzej - powiedział Sol. - Jeśli oczywiście potrafi się zapomnieć jak smakowała prawdziwa kawa. Czy wiesz co to była szynka wirgińska, pieczona wołowina czy indyk. Właśnie, kochana, o indykach to mógłbym ci opowiedzieć. To było podczas wojny, stacjonowałem wtedy w pewnej zapadłej dziurze w Teksasie. Żarcie wysyłano nam z St. Louis, ale ponieważ byliśmy dokładnie na końcu linii zaopatrzeniowej, więc na nasze zadupie dochodziło mało co, a to co dostawaliśmy, było beznadziejne. Widziałem, jak sierżanci w mesie wzdrygali się, ile razy otwierali beczki, stare dobre GI, w których nam wszystko przysyłano. Lecz raz, tylko raz, zadziałało to w drugą stronę. Ci Teksańczycy hodowali miliardy indyków, a przed Gwiazdką i Świętem Dziękczynienia wysyłali wszystko na północ, wiesz... - nie wiedziała, lecz przytaknęła. - No, i wojna trwała i nie było jak wysłać tych indyków, tak zatem Air Corps kupiło je za bezcen i potem jedliśmy je przez ponad miesiąc. Mówię ci! Mieliśmy pieczonego indyka, duszonego indyka, zupę z indyka, zrazy z indyka, indyka siekanego, krokiety z indyka...

Na korytarzu rozległ się odgłos pośpiesznych kroków i ktoś zakołatał do drzwi tak mocno, aż zadrżały. Sol po cichu wysunął szufladę stołu i wyjął wielki topór do dzielenia mięsa.

- Sol, jesteś tam? - zawołał z korytarza Andy szarpiąc za klamkę. - Otwieraj!

Sol rzucił topór z powrotem do szuflady i pośpieszył otworzyć drzwi. Andy wpadł do środka spocony; ciężko łapiąc powietrze, zamknął zaraz drzwi.

- Słuchajcie - powiedział niezbyt głośno, lecz stanowczo. - Napełnijcie wodą zbiorniki i wszystkie kanistry. I w ogóle wszystko. Spróbujcie zatkać zlew. Idźcie do naszego punktu poboru, a jeśli zorientują się, że przychodzicie zbyt często, to poszukajcie innego. Najbliższy jest na Dwudziestej Ósmej Ulicy. Ale ruszajcie się. Sol, Shirl, ci pomoże.

- O co chodzi, co się stało?

- Boże, nie pytajcie o to teraz! Róbcie co każę. I tak nie powinienem mówić wam aż tyle, nie rozpowiadajcie tego, bo będę miał kłopoty. Muszę wrócić, zanim odkryją, że mnie nie ma. - Wypadł tak szybko, jak się pojawił i nie umilkło jeszcze echo trzaśnięcia drzwiami, a już słyszeli jak zbiega po schodach.

- O co tu chodzi? - spytała Shirl.

- Później się dowiemy - powiedział Sol, kopnięciami wbijając się w sandały. - A teraz ruszajmy. Pierwszy raz widzę, by Andy zrobił coś w tym guście, a ja jestem starym człowiekiem i łatwo mnie przestraszyć. W waszym pokoju jest jeszcze jeden kanister.

Byli jedynymi, którym w wyraźny sposób zależało akurat na wodzie i Shirl zaczęła zastanawiać się, o co właściwie chodziło Andy'erny. W kolejce czekały jeszcze dwie kobiety, jedna chciała napełnić tylko butelkę. Sol pomógł wnieść pełne kanistry na górę, chociaż Shirl nalegała, by jej to zostawił.

- Zrzucę trochę sadła z bioder - stwierdziła. - Zaraz zniosę na dół puste i będzie pan mógł wrócić do kolejki, a ja zajmę się następnymi.

Tym razem kolejka była trochę dłuższa, lecz nadal mieściła się w normie. O tej porze większość ludzi wychodziła po wodę, chcąc zdążyć przed zamknięciem punktu w południe.

- Niezłe masz pragnienie, dziadku - powiedział policjant pilnujący zaworu, gdy znów doszli do czoła kolejki. - Czy nie widziałem cię tu przed chwilą?

- A co cię to obchodzi? - warknął Sol wskazując brodą na glinę. - Co, zapłacili ci za to, byś zaczął wyliczać racje? A może mam ochotę się wykąpać, by nie śmierdzieć jak inni, których mógłbym wskazać, ale nie chcę...

- Spokojnie, dziadku.

- ...nie jestem też twoim dziadkiem, co widać najlepiej po tym, że nie popełniłem jeszcze samobójstwa, które byłoby nieuniknione przy takim wnuku, jak ty, shmok. Co to się stało, do nagłej krwi; że gliny zaczynają ludziom wydzielać wodę?

Policjant wycofał się o jard i pokazał im plecy. Mrucząc coś pod nosem, Sol napełnił pojemniki, a Shirl pomogła odnieść je na bok, by zakręcić pokrywki. Właśnie kończyli, gdy na dychawicznym i rozklekotanym motocyklu nadjechał sierżant policji.

- Zamknąć punkt - rozkazał. - Na cały dzień. Kobiety, które czekały, by napełnić swoje pojemniki, zaczęty krzyczeć, walcząc jednocześnie o dostęp do zaworu. Policjant przypisany do punktu musiał torować sobie drogę przez tłum, by zakręcić kurek. Lecz zanim jeszcze go dotknął, strumień wody zmalał do nikłego strumyka, po czym ustał. Policjant popatrzył na sierżanta.

- Tak, sami widzicie - powiedział sierżant. - Mamy awarię... wodociągu, musieli zamknąć. Jutro wszystko będzie w porządku. A teraz rozejść się.

Sol w milczeniu spojrzał na Shirl, po czym oboje podnieśli kanistry i ruszyli z powrotem. Żadne nie przeoczyło dającego się wyczuć w głosie sierżanta wahania. To było coś więcej niż zwykła awaria magistrali. Powoli wnieśli pojemniki po schodach, ostrożnie, by nie rozlać ani kropli.

następny

. 14 .

Billy Chung powtarzał sobie nieustannie, że wprawdzie gliny wiedziały, kim jest i były na jego tropie, lecz szczęście go nie opuści. Czasami zdarzało mu się zapomnieć o tym wszystkim na chwilę, potem świadomość wracała, a on z drżeniem wznawiał litanię. Czy gliny nie przyszły właśnie wtedy, gdy nie było go w mieszkaniu i czy to nie był traf! A potem, gdy uciekł nie zauważony, to też był łut szczęścia. A co by się stało, gdyby zostawił wszystko? Założył szorty, a dokładnie dzień wcześniej zaszył w nich wszystkie swoje pieniądze, by nie zgubić ich ze szpary w sandale. Tym samym miał gotówkę, a z gotówką mógł sobie poradzić. Uciekał, lecz uciekał z głową. Najpierw poszedł na pchli targ na Madison Square, gdzie obudził jednego chłopaka śpiącego pod straganem i kupił nowe sandały. Potem skierował się do centrum. Gdy otworzono punkty poboru wody, umył się, a na ulicznym straganie kupił znoszoną koszulę i trochę sucharów i zjadł je w marszu. Było jeszcze wcześnie, gdy dotarł do Chinatown, ale ulice już się zapełniały. Teraz musiał znaleźć jakiś możliwy zaułek, choćby kąt pod murem... by zwinąć się tam i zasnąć.

Ledwo się obudził, zrozumiał, że nie będzie mógł tu zostać. To było pierwsze miejsce, które mogło glinom przyjść do głowy. Musiał ruszać dalej. Niektórzy z miejscowych lokatorów ulicy już zaczynali rzucać na niego zaintrygowane spojrzenia

i wiedział, że jeśli jego rysopis został rozpowszechniony, to wskażą go palcem za parę dolców. Słyszał kiedyś; że na East Side też mieszkają Chińczycy i skierował się w tamtą stronę. Jeśli zatrzyma się gdziekolwiek zbyt długo, to zostanie zauważony, ale dopóki będzie ciepło, to zawsze znajdzie miejsce do spania. Z początku nie miał żadnego planu, ale w ciągu kilku dni odkrył, że jak długo chodzi po ulicach, tak długo nikt nie zwraca na niego uwagi. Ostatecznie, może spać za dnia, a jak znajdzie spokojną kryjówkę, to nawet w nocy. Trzeba tylko było kręcić się po dzielnicach, w których byli też Chińczycy. Przemieszczał się z miejsca na miejsce i to dawało mu jakieś zajęcie. W ten sposób nie przejmował się za bardzo tym, co właściwie się z nim stanie. Dopóki starczy pieniędzy, wszystko będzie w porządku. Potem . . . Nie lubił o tym myśleć, zatem nie poświęcał tej kwestii wiele uwagi.

Dopiero ulewa skłoniła go do poszukania jakiejś przystani. Przemókł dokładnie i chociaż z początku było to nawet przyjemne, to tylko z początku. Razem z tysiącami bezdomnych schował się pod Williamsburg Bridge. Jezdnie mostu ryczały nad nimi, deszcz zacinał z boku, tak że nie miał szansy się wysuszyć i przez całą noc było mu zimno, nie zmrużył oka. Zaraz rano wspiął się schodami na most, by osuszyć się w promieniach słońca. Przed nim ciągnął się zawieszony nad rzeką chodnik, przespacerował się trochę dla rozgrzewki. Nigdy nie był tak wysoko i roztaczający się z mostu widok był dla niego czymś zupełnie nowym. Spoglądał na rzekę i na miasto, a wschodzące słońce świeciło mu prosto w twarz. W górę rzeki wolno płynął wielki, szary frachtowiec o napędzie atomowym, a całe gromady żaglówek i łodzi wiosłowych pierzchały mu z drogi. Gdy spojrzał w dół, musiał mocno przytrzymać się barierki.

Szedł tak, aż w połowie drogi przez most zdał sobie sprawę, że oddala się od Manhattanu i że wystarczy, by nie zwalniał kroku, a policja nigdy go nie znajdzie. Przed nim leżał Brooklyn, strzępiasta ściana dziwnych sylwetek rysujących się na jasnym tle nieba. Nowe, lękiem przepełniające miejsce. Nic o nim nie wiedział, lecz przecież mógł się dowiedzieć. Policja nigdy, nawet przez sto lat, nie wpadnie na pomysł, by szukać go tak daleko.

Gdy zszedł z mostu, strach zaczął z wolna znikać. Tu było tak samo jak na Manhattanie, tylko inni ludzie chodzili po innych ulicach. Ubranie już wyschło i czuł się dobrze, poza tym że był zmęczony i śpiący. Ulice ciągnęły się bez końca, wszystkie zatłoczone i pełne hałasu. Billy szedł po prostu przed siebie, zdając się na szczęście i wyroki losu. W końcu dotarł do zamkniętej, żelaznej bramy zwieńczonej kłębami drutu kolczastego. Wyblakły napis głosił:

STOCZNIA MARYNARKI WOJENNEJ - BROOKLYN
WSTĘP WZBRONIONY

Przez pręty Billy widział zaniedbany, zaśmiecony teren, na którym z rzadka rozstawione były pozamykane na głucho budynki, puste szopy, rdzewiejące góry złomu, fragmentów statków, betonu i gruzu. Wzdłuż ogrodzenia przechadzał się strażnik w szarym mundurze; prócz pokaźnego brzucha dźwigał też solidną pałkę. Spojrzał podejrzliwie na Billy'ego, który zaraz oddalił się.

To było coś. Olbrzymi obszar, chyba sto mil, zupełnie bezludny, zamknięty, zapomniany. Gdyby wślizgnął się tam, nie wpadając w oko glinom, to mógłby ukrywać się choćby i przez wieczność. Tylko jak wejść? Ruszył wzdłuż muru, aż beton ustąpił miejsca poprzekrzywianej, zardzewiałej siatce. Od góry nadal zagradzał drogę drut kolczasty, tutaj jednak był zniszczony przez rdzę, która pozlepiała go w strąki i pokruszyła. Ulica była niemal bezludna, z drugiej strony ciągnęły się ślepe ściany starych magazynów. Sforsowanie tego odcinka ogrodzenia nie powinno być trudne. O tym że nie był pierwszą osobą, która wpadła na ten pomysł, przekonał się chwilę później. Przyglądał się właśnie siatce, gdy dostrzegł jakiś ruch i w pole widzenia wkroczył mężczyzna niewiele starszy od niego. Zatrzymał się i zlustrował obie strony ulicy, a gdy był pewien, że nikt nie kręci się zbyt blisko, schylił się aż do podstawy ogrodzenia i odepchnął podpierając ją kanciastą bryłą betonu. Wyćwiczonym ruchem przepełznął pod siatką i umieścił kawał betonu z powrotem na miejscu; siatka opadła, a on spokojnie odszedł ulicą.

Billy poczekał, aż tamten oddali się, potem podszedł do dziury. Ktoś wygrzebał tu płytki podkop, wystarczający akurat, by przedostać się pod ogrodzeniem, a nie zwracający uwagi, szczególnie, gdy siatka była opuszczona. Przesunął beton tak, jak zrobił to poprzednik, rozejrzał się i prześliznął pod spodem. Nic trudnego. Kopnął bryłę betonu z powrotem, tak że siatka opadła i podbiegł szybko w kierunku najbliższego budynku.

Było w tych olbrzymich przestrzeniach pustej ciszy coś wzbudzającego lęk. Nigdy dotychczas nie czuł się aż tak samotny; po raz pierwszy nie było wokoło innych ludzi. Zwolnił przyciskając się do nagrzanych cegieł, przystając i wyglądając ostrożnie, gdy dochodził do narożnika. Przed nim rozciągała się szeroka, usiana wrakami aleja. Już miał ruszyć dalej, gdy w dali pojawił się strażnik. Billy przypadł do muru, czekając, aż tamten przejdzie. Potem pobiegł w przeciwnym kierunku, kryjąc się w cieniu pordzewiałych dźwigarów pływającego suchego doku.

Krążył od szczątków do ruin, rozglądając się za jakimś schronieniem, do którego mógłby wpełznąć i wreszcie zasnąć. W okolicy byli jeszcze inni strażnicy. Pozostawali tylko na otwartej przestrzeni i nigdy nie zbliżali się do budynków. Gdyby tak dało się znaleźć drogę do środka którejś z zamkniętych budowli. Jedna z nich wyglądała dość obiecująco - długi, niski budynek z zapadniętym dachem i przeszklonymi oknami. Obstawiony był płytkami azbestowymi, lecz wiele okien było wybitych, a jedno zostało nawet wyrwane z framugą. Podszedł bliżej i zajrzał do środka: nic, tylko ciemność. Zarwany dach zwisał na kilka stóp nad podłogą tworząc mroczną, cichą jaskinię. Tego właśnie potrzebował. Ziewnął i wsunął się do środka. Zaraz też krzyknął z bólu, gdy wielki kawał żelaza uderzył go gdzieś z boku.

W ciemności zapłonęły czerwone ogniki bólu. Billy rzucił się do odwrotu. W chwilę później, gdy trzymając się za obolały bok szukał wyjścia, coś ciężkiego przeleciało tuż obok jego głowy i rąbnęło w ścianę, rysując jej powierzchnię siatką pęknięć. W końcu wydostał się na zewnątrz.

Kuśtykając rozglądał się wkoło. Nikt za nim nie szedł. Oddalił się jak najszybciej, oglądając się jeszcze na ziejący otworem budynek. Strach pozwolił mu zatrzymać się dopiero za rogiem. Podwinał koszulę i obejrzał ciemniejące już ślady pod żebrami. Bolało.

Potrzebował oręża. Nie, żeby miał zamiar wrócić do tego budynku, za nic! Chciał tylko mieć pod ręką coś, czym mógłby w razie potrzeby skutecznie się obronić. Wokół leżało wiele odłamków betonu. Podniósł jeden, w którym tkwił jeszcze kawał pręta zbrojeniowego. Na pomysł ukrycia się tutaj musiało wpaść już wielu i powinien zrozumieć to, gdy ujrzał tamtego, przekradającego się przez płot. Schodzili z oczu strażnikom, co zresztą wydawało się dość łatwe i odganiali wszystkich od miejsc, które sobie wybrali. Zapewne istnieją wejścia do każdego z tych budynków. Zadrżał na myśl o wchodzeniu gdziekolwiek i przycisnął dłoń do potłuczonego boku. Może powinien odejść stąd jak najszybciej, dziękując losowi, że jest cały i mniej więcej zdrowy? Lecz to był zbyt dobry teren, by zeń tak łatwo zrezygnować. Byle tylko znaleźć jakąś dziurę, zwinąć się i zasnąć. Musi rozejrzeć się jeszcze, zanim ostatecznie skapituluje. I poszukać coś lepszego niż kawał betonu. Myszkował tak długo, aż zrozumiał, że mimo ogólnego wrażenia bałaganu i ruiny, nigdzie nie leżało nic, co mogłoby zostać wykorzystane jako broń. Zupełnie jakby wielu innych przeczesało już ten teren przed nim i to z identycznym zamiarem. Zacisnął mocniej dłoń na odłamku gruzu i pokuśtykał dalej.

Nie minęło wiele czasu, a znów zapragnął uciec z tej rozpadającej się, przeżartej rdzą dżungli, lecz zgubił już drogę. Słońce świeciło niemal dokładnie nad jego głową, blask odbijał się od popękanych ulica Szedł wzdłuż nabrzeża szerokiego, suchego doku, pustego teraz i zapomnianego kanionu zaśmieconego strzępami ciszy; czuł się jak owad pełznący po krawędzi świata. Od odległych wież Manhattanu oddzielały go brudne nurty East River. Ból w boku dawał znać o sobie z każdym oddechem, a samotność, jak niemożliwy do zniesienia ciężar, przytłaczała go coraz bardziej.

Tuż nad wodą spoczywał rozebrany częściowo statek. Od chwili, gdy wyciągnięto go na brzeg, musiały upłynąć długie lata. Większość poszycia została zdarta niegdyś przez robotników stoczniowych i rdzewiejące wręgi sterczały teraz jak żebra martwego potwora morskiego. Praca nigdy nie została ukończona, tylna część statku była prawie nietknięta, zaś sama rufa i znajdujące się na niej nadbudówki były w idealnym stanie. Statek był kiedyś tankowcem i chociaż na poziomie gruntu nie otwierało się żadne wejście, to solidna gródź poprzeczna, która była ciągle na miejscu, dawała szansę wspięcia się na górę, ku drzwiom kabin. Ciekawe, czy ktoś już tego próbował? Może tak, może nie, ale na to pytanie nie można było odpowiedzieć stojąc na dole. Musiał odpocząć. Widok statku przypomniał mu dom. Musi spróbować. Kawał betonu mógł nastręczyć trochę kłopotu przy wspinaczce, lecz postanowił wziąć go ze sobą.

Przed drzwiami nadbudówki pozostał tylko wąski skrawek pokładu, szeroka na parę stóp ścieżka. Billy wciągnął się na nią i z "bronią" w ręce stanął przed pozbawionym drzwi wejściem.

- Jest tam kto? - zawołał niezbyt głośno. Okrągłe otwory, niegdysiejsze bulaje, rzucały do wnętrza snopy światła, jasne kręgi podkreślające panujący tu mrok. - Hej, tam! - zawołał raz jeszcze, ale odpowiedziała mu tylko cisza.

Powoli i ostrożnie zagłębił się w ciemności. Tym razem nic go nie uderzyło, nic się nie poruszało. Zamrugał nie przywykłymi do mroku oczami, usiłując rozpoznać skulony pod ścianą kształt, lecz była to tylko sterta śmieci. W rogu leżała następna, i musiał spojrzeć na nią dwukrotnie, zanim zorientował się, że to człowiek. Oparty o ścianę, z wyciągniętymi przed siebie nogami, wpatrywał się intensywnie w Billy'ego.

- Połóż to coś, no, to co trzymasz w dłoni - powiedział mężczyzna przyciszonym głosem, prawie szeptem. Wyciągnął długie ramię uzbrojone w kawał rury i postukał nią o pokład. Billy patrzył na niego z szeroko otwartymi oczami. Ból w boku dał znać o sobie. Upuścił kawał betonu.

- Bardzo mądrze - powiedział mężczyzna. - Bardzo mądrze. - Wstał energicznie, rozkładając się jak calówka. Był wysoki, chudy, z pajęczymi ramionami. Gdy wszedł w smugę światła słonecznego, Billy ujrzał opinającą ciasno kości policzkowe skórę i niemal bezwłosą głowę. Wargi podwijały się, ukazując długie, żółte zęby. Oczy miał okrągłe jak zdziwione dziecko i tak wodnisto niebieskie, że wydawały się przejrzyste. Nie było to puste spojrzenie. Przypominało okno wychodzące na nieskończoność. Wpatrywał się w chłopca bez słowa, kołysząc rurą i pokazując zęby w grymasie, który mógł być zarówno uśmiechem, jak i czymś zupełnie przeciwnym.

Billy zrobił krok ku drzwiom, ale koniec rury uniósł się i zatrzymał go.

- Czego tu chcesz? - spytał szeptem gospodarz.

- Niczego nie chcę. Już sobie...

- Czego chcesz?

- Szukałem kąta, by się położyć, zmęczony jestem. Nie szukam kłopotów.

- Jak masz na imię? - Oczy ani drgnęły, zupełnie jakby żyły innym życiem niż właściciel głosu.

- Billy... - Czemu odpowiedział tak szybko! Zagryzł wargi. Czemu podał prawdziwe imię?

- Masz coś do jedzenia, Billy?

Już miał skłamać, ale pomyślał przez chwilę. Sięgnął za pazuchę.

- Proszę, mam parę sucharów. Chce pan? Są trochę pokruszone.

Rura upadła na pokład i potoczyła się na bok. Wyciągając przed siebie obie ręce, mężczyzna podszedł do Billy'ego. - Rzucajcie chleb waszym głodnym. Wróci on bowiem do was po wielu dniach. Czy wiesz skąd są te słowa?

- Nie, nie wiem - powiedział niepewnie Billy, wysypując suchary w stulone dłonie.

- Nie oczekiwałem nawet, że będziesz wiedział - stwierdził mężczyzna tonem skargi. Usiadł w tym samym miejscu co przedtem, oparł się plecami o ścianę i zaczął miarowo przeżuwać pieczywo. - Jesteś poganinem, jak się domyślam, żółtym poganinem, chociaż to nie ma znaczenia. Wszyscy jesteśmy przez Niego stworzeni i ciebie to też dotyczy. Chcesz spać, śpij. Jest tu dość miejsca dla dwóch.

- Mogę sobie iść, pan był tu pierwszy.

- Boisz się mnie, co?

Billy odwrócił głowę. Nie mógł znieść tego niezmiennego spojrzenia.

- A nie powinieneś, nasz strach bowiem ma się ku końcowi. Wiesz, co to oznacza? Czy wiesz, co kryje się w cyfrach oznaczających ten rok?

Billy usiadł w milczeniu. Nie wiedział, co odpowiedzieć. Mężczyzna dojadł okruszki, wytarł ręce w brudne spodnie i westchnął ciężko.

- Możesz nie wiedzieć. Idź spać, nie masz się czego bać. Nikt nie będzie cię niepokoił. W naszej wspólnocie mamy ścisłe reguły dotyczące własności i naruszania cudzego terenu. Zwykle tylko zupełnie niezorientowani obcy zjawiają się tutaj i próbują gdzieś wejść, chociaż, gdyby rozniosło się, że warto, to chętnych byłoby więcej. Lecz tutaj i tak nikt nie przyjdzie, wszyscy wiedzą, że nie mam niczego, czego można by pożądać. Możesz spać, tutaj jesteś bezpieczny.

Wydawało się, że zasnąć tutaj byłoby szaleństwem i to niezależnie od zmęczenia, przynajmniej jak długo ten dziwny mężczyzna nie odwróci wzroku. W końcu jednak Billy położył się pod ścianą, czujny, z otwartymi oczami i zamyślił się. Co robić dalej? Mężczyzna tymczasem mruczał coś do siebie i drapał się pod koszulą po żebrach. Do uszu Billy'ego dobiegło naraz piskliwe brzęczenie - klepnął dłonią trafiając komara. Po chwili drugi ugryzł go w nogę. Billy zaraz rozdrapał tworzącą się opuchliznę. Wyglądało, że statek aż roił się od komarów. Co zrobić? Spróbować odejść?

Z nagłym przerażeniem zdał sobie sprawę, że spał. Słońce chyliło się ku zachodowi, świecąc wprost w otwarte wejście. Usiadł niezdarnie i rozejrzał się. Kabina była pusta. Poobijany bok bolał nie do zniesienia. Z zewnątrz dobiegł znowu dźwięczący, metaliczny odgłos. Tak, to właśnie go obudziło. Tak cicho jak tylko mógł, wyszedł na zewnątrz i spojrzał w dół. Znany mu już mężczyzna wspinał się na pokład, a rura, z którą się najwidoczniej nie rozstawał, uderzała o gródź - to właśnie czyniło ten hałas. Billy cofnął się, gdy mężczyzna rzucił rurę przed siebie, a potem sam wciągnął się na pas stalowego pokładu.

- Punkty poboru wody są zamknięte - powiedział, stawiając starą puszkę po farbie, którą przyniósł ze sobą. - Ale znalazłem miejsce, gdzie jeszcze stoi woda z wczorajszego deszczu. Chcesz się napić?

Billy przytaknął, zdając sobie sprawę z tego, że gardło ma wysuszone na wiór. Ujął podaną mu puszkę. Była wypełniona w połowie czystą wodą, przez którą widać było zeschłe resztki zielonej farby. Woda była bardzo dobra.

- Wypij więcej. Ja wypiłem swoje, gdy napełniałem puszkę. Jak masz na imię? - spytał biorąc puszkę z powrotem .

Pułapka? Przecież powinien pamiętać, gdy wczoraj mu się przedstawiłem.

- Billy - nie odważył się podać innego.

- Do mnie możesz mówić Piotrze. Możesz zostać tu jak długo zechcesz. - Mężczyzna wszedł z puszką do środka i zdawał się zapomnieć o kawałku rury. Billy spojrzał na nią podejrzliwie. O co tu właściwie chodzi? - Zostawiłeś rurę - zawołał.

- Przynieś ją proszę. Nie powinienem o niej zapominać. Połóż ją - powiedział, gdy Billy wszedł do środka. - Jeśli pamiętam, to mam jeszcze gdzieś schowany drugi taki kawałek. Będziesz mógł brać go ze sobą, gdybyś wychodził na zewnątrz. Niektórzy z naszych sąsiadów bywają niebezpieczni.

- Strażnicy?

- Nie. Na nich nie warto zwracać większej uwagi. Ich praca to synekura, nie tęsknią za przeszkadzaniem nam bardziej niż my za nimi. Jak długo nie plączemy się na widoku, to możemy tu być. Od nich po prostu trzymaj się z daleka. Sam zobaczysz, że nie przyglądają się wszystkiemu zbyt dokładnie, po co mieliby szukać guza, skoro i tak im płacą. Sensowni ludzie. Cokolwiek warte było wyniesienia, zniknęło stąd już parę lat temu. Strażnicy zostali tylko dlatego, że nikt nigdy nie postanowił nic konkretnego o losach tego miejsca. Najłatwiej było po prostu o nim zapomnieć i tak też zrobiono. Ci ludzie są żywymi symbolami naszej kultury, jej rozkładu, tak jak to pustkowie kryje w sobie więcej znaczeń niż na to wygląda. Dlatego tu mieszkam. - Objął rękami kościste golenie, złożył się i oparł podbródek na kanciastych kolanach. - Czy wiesz ile wejść prowadzi na ten teren? - Billy zaprzeczył gestem głowy, usiłując zrozumieć o czym też Piotr mówi. - No to ci powiem. Jest ich osiem, z tego tylko jedno w użyciu, dla strażników. Pozostałe są zamknięte i zaplombowane, siedem pieczęci. Czy to nic ci nie mówi? Siedem pieczęci? Nie, widzę, że nie. Ale są jeszcze inne znaki, niektóre ukryte, niektóre jasno widoczne. A będzie ich jeszcze więcej. Niektóre istnieją już obok nas od stuleci, tak jak to wielkie miasto zepsucia zwane Babilonem, które nigdy nie było Rzymem, jak wielu fałszywie wierzyło. Czy wiesz, jak nazywa się tamto miasto? - Tam? Chodzi panu o Nowy Jork?

- Tak, ale to tylko jedno jego imię, inne bowiem, już od dawna jest używane i nikt przeciwko temu nie protestuje, to Babilon nad rzeką Hudson. Jak zatem rozumiesz, tu jest wszeteczeństwo i tu się ono lęgnie i wkrótce nastąpi Armageddon i stąd ja musiałem się pojawić. Czy uwierzysz, że kiedyś byłem księdzem?

- Tak, pewnie - powiedział Billy, ziewając i rozglądając się po kabinie.

- Kapłan Kościoła powinien mówić prawdę i ja to czyniłem, a oni wyrzucili mnie i teraz są zupełnie jak ci, którzy wabią antychrysta do swoich komnat. Kolegium kardynałów doradziło Ojcu Świętemu, by cofnął klątwę, którą niegdyś Kościół obłożył niszczenie życia nie narodzonego, i on rozważa to poważnie, a tymczasem wszystkich nas obowiązuje prawo Boże. Powiedział On, byśmy mnożyli się i nam tak wypada, i dał nam rozum, by leczyć choroby, a słabych czynić mocnymi, i oto, gdzie leży prawda. Już niedługo nadejdzie millenium, świat zaś zaludniony jest oczekującymi na Niego duszami. To jest prawdziwe millenium. Fałszywi prorocy twierdzili, że miał to być rok tysięczny, lecz teraz w tym jednym mieście więcej jest ludzi niż wówczas było na całym świecie. Teraz wybija godzina. Widzę, jak się zbliża, odczytuję znaki. Świat nie zniesie już więcej, rozpęknie się na części pod ciężarem mas ludzi, ale nim to nastąpi, aniołowie zadmą w siedem trąb, a stanie się to w Nowy Rok, pierwszy dzień nowego stulecia. A wówczas wszyscy zostaniemy osądzeni.

Gdy umilkł, w powietrzu rozlegało się tylko głośne brzęczenie komarów. Billy zabił jednego na nodze, wierzchem dłoni otarł kroplę krwi. Na jasno oświetlonych słońcem ramionach Piotra widać było blizny i pręgi starych ukąszeń.

- Nigdy nie widziałem naraz tyle komarów, co tutaj - powiedział Billy. - I to za dnia, a one zawsze gryzą wieczorem.

Wstał i zaczął krążyć po kabinie, szukając ucieczki od brzęczących owadów. Odkopywał na bok przesiąknięte brudem szmaty i gnijące kawałki drewna. Pośrodku tylnej grodzi zauważył, uchylone na parę cali, ciężkie, żelazne drzwi.

- Co tam jest?

Piotr nie słyszał lub udawał, że nie słyszy. Billy naparł na drzwi, lecz zardzewiałe zawiasy ani drgnęły.

- Nie wie pan, co tam jest? - tym razem spytał głośniej.

Piotr poruszył się i odwrócił.

- Nie, nigdy tam nie zaglądałem.

- To jest zamknięte od bardzo dawna, kto wie, co tam może leżeć. Nigdy nic nie wiadomo. Sprawdźmy, czy nie udałoby się otworzyć tych drzwi.

Naparli razem i używając kawałka rury jako dźwigni zdołali poruszyć drzwi o następne parę cali. Szpara była na tyle szeroka, by Billy mógł wślizgnąć się do środka. Ledwo to zrobił, jego stopa zahaczyła o coś leżącego na pokładzie.

- Niech pan na to spojrzy, mówiłem, że w takich zakątkach można znaleźć niejedno.

Był to ponad jard długi, stalowy łom, zapomniany widocznie lata temu przez jakiegoś robotnika, pordzewiały z wierzchu, jednak nie stracił nic na wartości.

- Jakby co, to będę mógł go dobrze sprzedać. A na razie... - wsunął spłaszczony koniec w szparę przy zawiasach i zawisł na żelazie. Zardzewiałe zawiasy skrzypnęły i drzwi stanęły otworem. Po drugiej stronie była mała platforma ze stopniami biegnącymi gdzieś w dół i ginącymi w mroku. Billy ruszył nimi powoli, jedną dłoń oparł na barierce, w drugiej ściskał łom. Przy piątym kroku jego stopa znalazła się po kostkę w wodzie.

- Tutaj nie jest tak ciemno - powiedział Piotrowi. - Tu jest pełno wody.

Piotr zajrzał do środka i wskazał na dwie jasne plamy nad nimi.

- Tu musi spływać wszystko, co spada na górny pokład. Mamy tu parę lat deszczu.

- Teraz już wiemy, skąd przylatują pańskie komary - zamknięta przestrzeń pełna była ich brzęczenia. - Wystarczy, że zatrzaśniemy te drzwi, a będziemy mieli z nimi spokój .

- Sensowny pomysł - zgodził się Piotr i spojrzał na ciemną powierzchnię. - Oszczędzi nam to też wycieczek do punktów poboru wody po drugiej stronie ogrodzenia. Mamy tu jej więcej niż pewnie zdołamy kiedykolwiek zużyć.

następny

. 15 .

- Witam gościa - powiedział Sol.

Shirl siedziała przy oknie i robiła manicure, gdy usłyszała jego głos wyraźnie dochodzący przez ściankę działową. Odłożyła przybory na łóżko i pobiegła do drzwi.

- To ty Andy? - zawołała, a gdy otworzyła drzwi ujrzała go stojącego pośrodku pokoju i chwiejącego się ze zmęczenia. Podbiegła i ucałowała go; lekko nieprzytomnie oddal jej pocałunek i opadł na krzesło przy stole.

- Jestem wykończony. Nie spałem od... kiedy? Poprzedniej nocy. Przynieśliście wodę?

- Oba zbiorniki są pełne. Zdążyliśmy jeszcze raz zejść z kanistrami, zanim woda została zamknięta. Co się dzieje? - spytał Sol. - W telewizji opowiadają jakieś bzdury. Co ukrywają?

- Jesteś ranny! - zawołała Shirl, zauważając rozdarty rękaw koszuli i wystającą spod niego krawędź bandaża. - Nic takiego, ledwo draśnięcie - uśmiechnął się Andy. - Ranny na polu chwały i to widłami.

- Pewnie goniłeś córkę farmera. - Też mi coś - sapnął Sol. - Chcesz drinka?

- Jeśli zostało jeszcze trochę alkoholu, to dodaj go do wody. Przyda mi się.

Upił trochę i rozsiadł się wygodnie. Napięcie zniknęło, lecz twarz miał czerwoną z wyczerpania, powieki mu opadały. Usiedli naprzeciw niego.

- Nie powtarzajcie tego nikomu, dopóki nie pojawi się oficjalny komunikat, ale szykują się spore problemy z wodą. Te obecne to dopiero wstęp.

- Czy to dlatego nas ostrzegłeś? - spytała Shirl. - Tak, usłyszałem trochę na posterunku podczas przerwy. Wszystko zaczęło się od studni artezyjskich i pomp na Long Island, całym Brooklynie i Queens. Jak wiecie, pod Long Island znajduje się warstwa wody. Gdy pompuje się jej zbyt dużo lub robi się to zbyt szybko, wówczas zaczyna napływać woda morska. I pompy wyrzucają na górę solankę. Sami mogliście się przekonać, że od dłuższego czasu była już lekko słona, choć dotąd mieszano ją z wodą dostarczoną z głębi lądu, a przecież ci na górze mogli wykazać się wyobraźnią i przewidzieć, ile można bezpiecznie pompować. Ewentualnie ktoś się pomylił i stacje czerpały więcej niż wynosiła ich norma, zresztą, tak czy tak - cały Brooklyn ma teraz czystą solankę. Wszystkie stacje musiały zostać zamknięte, zwiększono za to ilość wody pobieranej z Akweduktu Crotona.

- Farmerzy i tak już klęli ostro na suche lato. Założę się, że teraz nas kochają.

- Żadnych zakładów. Musieli to planować od dłuższego czasu, bo gdy zaatakowali wartowników na akwedukcie, mieli masę broni i materiałów wybuchowych, pewnie z zeszłorocznego napadu na arsenał w Albany. Zginęło przynajmniej dziesięciu gliniarzy, nie wiem ilu jest rannych. Wysadzili nie mniej niż milę rurociągu, zanim ich przepędziliśmy. Mieliśmy do czynienia chyba ze wszystkimi kmiotkami z tego stanu. Tylko część miała broń, ale widłami i toporami też można zdziałać niejedno. W końcu załatwiliśmy ich gazem.

- A zatem miasto jest całkiem pozbawione wody? - spytała Shirl.

- Będziemy przywozić wodę, lecz przez jakiś czas zapanuje posucha. Używajcie oszczędnie tego, co mamy, niech wystarczy na jak najdłużej. Używajcie jej tylko do picia i gotowania.

- Ale musimy się myć - powiedziała Shirl.

- Nie, nie musimy - Andy przetarł wierzchem dłoni piekące czoło. - Talerze można wycierać szmatką. A jeśli o nas chodzi, to najwyżej trochę ześmierdniemy.

- Andy

- Przepraszam, Shirl. Jestem straszny i wiem o tym, ale musisz zdać sobie sprawę z tego, że sytuacja jest poważna. Możemy obejść się jakiś czas bez mycia, od tego jeszcze nikt nie umarł, a gdy magistrala zostanie znów podłączona urządzimy sobie porządną łaźnię. Na to warto poczekać.

- Jak sądzisz, długo to potrwa?

- Nie wiadomo jeszcze. Naprawy pochłoną wiele betonu i stali zbrojeniowej, oba te materiały są na liście priorytetów. Trzeba będzie wiele betoniarek i innych maszyn. Na razie woda będzie przywożona cysternami kolejowymi, samochodami i barkami. Dystrybucja i wydzielanie będzie osobnym piekłem i zapewne zanim będzie lepiej, to sporo się jeszcze namęczymy. - Wstał i ziewnął szeroko. - Zamierzam zdrzemnąć się

ze dwie godziny. Shirl, obudzisz mnie najpóźniej o czwartej? Będę musiał jeszcze ogolić się, zanim wyjdę.

- Dwie godziny! - zaprotestowała. - To za mało, by się wyspać.

- Też tak myślę, ale to wszystko, na co mogę sobie pozwolić. Ktoś z góry wciąż nalega na wyniki śledztwa w sprawie zabójstwa O'Briena. Informator z Chinatown wpadł na jakiś ślad i, zamiast wyspać się przed patrolem, będę musiał iść się z nim spotkać. Zaczynam z wolna nienawidzieć Billy'ego Chunga, gdziekolwiek się ukrywa. - Wyszedł do drugiego pokoju i runął na łóżko.

- Czy mogę zostać z tobą, póki on śpi? - spytała Shirl. Nie chciałabym mu przeszkadzać, ale tobie też nie chciałabym się narzucać...

- Narzucać się! Odkąd to ładna babka może być zawadą? Wiesz, może ja wyglądam staro, ale to z powodu wieku. Nie, żebym twierdził, że nie jesteś ze mną bezpieczna, lata zrobiły swoje. Zaspokajam moje potrzeby już tylko myśląc o nich, co jest zresztą o wiele tańsze, tak że nie masz się czego bać. Przynieś tu swoją robótkę, a ja opowiem ci o dniach, gdy stacjonowałem w Laredo i jak kiedyś wzięliśmy z Lukiem wolny weekend i zatrzymaliśmy się w Boys Town w Nuevo Laredo; chociaż może nie, gdy się zastanowić, to może lepiej będzie ci tego nie opowiadać.

Gdy Shirl zajrzała do pokoju, Andy leżał rozciągnięty na łóżku i spał w ubraniu. Nie zdjął nawet butów. Zaciągnęła zasłony i zaciemniła pokój, wzięła cały swój przybornik do manicure. Przy okazji zauważyła, że podeszwa prawego buta Andy'ego była dziurawa - czarny otwór spoglądał na nią jak pyliste, pełne żałości oko. Pomyślała, by zdjąć mu buty, ale prawdopodobnie obudziłby się wtedy, wyszła zatem cicho i zamknęła drzwi.

- Akumulatory wymagają naładowania - powiedział Sol unosząc hydrometr pod światło i badając poziom cieczy. - Czy Andy już się wyłączył?

- Śpi twardo.

- Poczekaj, aż będziesz chciała go obudzić. Gdy śpi tak, jak teraz, to można rzucić bombę i o ile go nie zabije, to na pewno nie przerwie mu snu. Naładuję teraz akumulatory, nawet tego nie zauważy.

- To nie w porządku - wybuchła nagle Shirl. - Czemu Andy ma prowadzić dwie sprawy naraz i jeszcze być ranny w walce o wodę dla ludzi w mieście? Co ci wszyscy ludzie tutaj robią? Czemu nie pójdą sobie po prostu gdzieś indziej, skoro tu nie ma dla nich dość wody?

- Odpowiedź jest prosta: nie mają dokąd pójść. Cały ten kraj jest jedną wielką farmą, jednym wielkim polem uprawnym i jedną wielką, wiecznie głodną gębą. Na południu jest tyle samo ludzi, co na północy, a odkąd zlikwidowano transport publiczny, każdy, kto usiłowałby przejść trasę pieszo, w promieniach słońca, zagłodziłby się na śmierć, zanim by dokądkolwiek dotarł. Ludzie nie ruszają się z miejsca, ponieważ państwo jest tak zorganizowane, by dbać o nich, gdziekolwiek się znajdują. Nie jadają dzięki temu dobrze, ale zawsze mają co do ust włożyć. Potrzeba dopiero wielkiej katastrofy, takiej jak posucha w kalifornijskich dolinach, by skłonić

ludzi do migracji, czy też stepowienie, które, jak słyszałem, stało się obecnie plagą międzynarodową i przekroczyło granicę kanadyjską.

- No dobrze, ale są jeszcze inne kraje. Z całego świata wszyscy przejeżdżali do Ameryki, cnemu przynajmniej niektórzy nie wyjeżdżają?

- Cóż, jeśli sądzisz, że masz problemy, to powinnaś przyjrzeć się innym. Cała Anglia jest jednym wielkim miastem. Widziałem w telewizji jak ostatni torys padł zastrzelony, gdy usiłował bronić ostatniego leśnego rezerwatu ptactwa przed buldożerami. A może chcesz do Rosji? Albo do Chin? Ich granica jest od piętnastu lat w ogniu, co rozwiązuje do pewnego stopnia sprawę przeludnienia. Ale nie, jesteś w wieku poborowym, a oni wcielają nawet dziewczęta, więc pewnie byś nie chciała. No to może Dania. Tam żyje się wspaniale, przynajmniej jedzą regularnie, problem tylko w tym, by przedostać się przez betonowy mur, którym odgrodzili Jutlandię i plaże. Wartownicy strzelają bez ostrzyżenia do wszystkich, którym marzy się ta ziemia obiecana. A takich głodujących jest wielu. Nie, może nie mamy tu raju, ale przynajmniej daje się żyć. A teraz zajmę się akumulatorami. - A ja wciąż uważam, że to nie w porządku.

- A co jest w porządku? - uśmiechnął się Sol. - Daj spokój. Jesteś młoda, ładna, jadasz i pijesz regularnie. Czego chcieć więcej?

- Zaprawdę, niczego - Shirl odwzajemniła mu uśmiech. - Jestem tylko zła, że Andy tyle pracuje troszcząc się o obcych ludzi, których nic to nie obchodzi. Nawet nie wiedzą o tym.

- Na wdzięczność nie ma co liczyć. Na pensję, owszem. To jest praca.

Sol wytargał pozbawiony kół rower na środek pokoju, podłączył druty i wspiął się na siodełko. Shirl przysunęła krzesło do okna i rozłożyła na parapecie przybory do manicure. Za jej plecami zaczął narastać pełen trzasków jęk generatora. Zajęła się skórkami przy paznokciach. Dzień był całkiem ładny, słoneczny, ale nie upalny, zapowiadający pogodną jesień. Zmarszczyła brwi; owszem, były niejakie kłopoty z wodą, ale to minie. Spojrzała ponad dachami na wyrastające w dali wieżowce. W zamyśleniu ledwie słyszała nieustanny ryk miasta przeplatany pobliskimi krzykami dzieci.

Poza tym zamieszaniem z wodą wszystko było w porządku. Lecz pomimo to, pomimo świadomości, że nie ma się czym martwić, wciąż dręczył ją dziwny niepokój, jakieś niezrozumiałe napięcie, które nie chciało jej opuścić.

następny

. 16 .

- Wszyscy mówią, że to najzimniejszy październik, jaki pamiętają. I jeszcze ten deszcz, nigdy nie ma go dość, by wypełnić zbiorniki, ale starcza go, by przemoknąć, a potem marznie się jeszcze bardziej. Czy tak nie jest?

Shirl przytaknęła. Nie słuchała całej tej przemowy, ale zwróciła uwagę na intonację głosu, która musiała oznaczać pytanie. Kolejka przesunęła się o parę kroków. Shirl w zdawkowy sposób postąpiła za swoją rozmówczynią - bezkształtnym tobołem grubych ubrań nakrytym podartym płaszczem przeciwdeszczowym i przewiązanym paskiem. Całość przypominała niewprawnie napchany worek. Sama nie wyglądam wiele lepiej, pomyślała Shirl naciągając wyżej koc, którym okryła się cała. włącznie z głową dla ochrony przed mżawką. Kolejka zmalała. Przed nią stało już tylko parę tuzinów ludzi. Wszystko to trwało niemiłosiernie długo, było już prawie ciemno. Zainstalowana na wierzchu wagonu-cysterny latarnia rzucała słaby blask na czarne boki zbiornika, światło rozpraszało się w kropelkach rzadkiego deszczu. Kolejka znów się przesunęła i stojąca z przodu kobieta postąpiła chybotliwie parę kroków, ciągnąc za sobą dziecko z twarzą okrytą szalem - pakunek równie bezkształtny jak matka. Spod tego szala dobywał się nieustanny pisk.

- Przestań - powiedziała kobieta i odwróciła się do Shirl. Miała nalaną twarz z wąskimi ustami, które wyglądały jak czarny otwór z przebłyskującymi gdzieniegdzie resztkami zębów. - Płacze, bo było u doktora. Myśli, że jest chore, ale to tylko kwash. - Podniosła do góry opuchłą, baloniastą dłoń dziecka. - Można to poznać po nabrzmieniu dłoni i czarnych pryszczach na kolanach. Musiałam siedzieć dwa tygodnie w klinice Bellevue, żeby zobaczyć się z doktorem, który powiedział mi to, co już sama wiedziałam. Ale to jedyny sposób, by dostać podpisaną kartkę na przydział masła orzechowego. Mój stary bardzo je lubi. Mieszkasz blisko mnie, prawda? Chyba już cię widywałam?

- Dwudziesta Szósta Ulica - powiedziała Shirl, zdejmując z kanistra nakrętkę i chowając ją do kieszeni. Miała dreszcze i była pewna, że się przeziębi.

- Zaraz wiedziałam, że to ty. Poczekaj chwilę, to pójdziemy razem. Robi się późno i niejeden gówniarz chętnie odebrałby ci wodę. Teraz to dobry towar. W moim domu mieszka Mrs Ramirez, kpiara, ale w porządku. Wiesz, jej rodzina mieszka tam od drugiej światowej. Ma teraz dwa wybite zęby i oko w takim stanie, że prawie nie widzi. Jakiś gówniarz dał jej pałą w łeb i zabrał wodę.

- Dobrze, poczekam na panią, to dobry pomysł - Shirl nagle poczuła się bardzo osamotniona.

- Kartki - powiedział policjant; wręczyła mu trzy kartki: jej, Andy'ego i Sola. Przyjrzał im się pod światło i oddał. - Sześć kwart - zawołał do mężczyzny przy zaworze.

- To nie w porządku - stwierdziła Shirl.

- Dziś ograniczono racje, moja pani, proszę się przesuwać, inni czekają.

Przytrzymała kanister, gdy pompowy wsunął do środka końcówkę węża i puścił wodę.

- Następny! - zawołał już po chwili.

Bulgoczący kanister był tragicznie lekki. Odsunęła się i stanęła obok policjanta, czekając na sąsiadkę. Pojawiła się po chwili, jedną ręką holując dziecko, a w drugiej niosła pięciogalonowy zbiornik, który wydawał się prawie pełen. Musiała mieć liczną rodzinę.

- Chodźmy - powiedziała, przytrzymując chwiejące się dziecko.

Gdy oddaliły się od bocznicy kolejowej przy Dwunastej Alei, zrobiło się jeszcze ciemniej. W okolicy wznosiły się głównie stare fabryki i magazyny, za których ślepymi murami kłębiły się tłumy mieszkańców. Chodniki były mokre i puste. Najbliższe latarnie uliczne były o całą przecznicę dalej.

- Mój mąż sklnie mnie od najgorszych, że przyszłam do domu tak późno - powiedziała kobieta, gdy skręciły za róg.

Tuż przed nimi na chodniku pojawiły się dwie ciemne postacie.

- I oto mamy wodę - powiedziała bliższa, a odległy blask latarni odbił się od trzymanego przez nią noża. - Nie, nie róbcie tego, proszę, nie! - zaczęła błagać kobieta, chowając zbiornik za siebie. Shirl przylgnęła do muru, gdy ujrzała, że obaj napastnicy podchodzą bliżej. Obaj byli nastolatkami, obaj dzierżyli w dłoniach noże.

- Woda! - rozkazał pierwszy, wymachując nożem w kierunku kobiety.

- A weź ją sobie - zaskrzeczała, po czym rozkołysała zbiornik i zanim chłopak zdążył uskoczyć, uderzyła go z całej siły w głowę. Upadł, gubiąc nóż.

- Też masz ochotę? - krzyknęła do drugiego.

- Nie, nie - zapiszczał, pomagając pozbierać się pierwszemu i wycofując się pospiesznie.

Kobieta schyliła się i podniosła nóż. Drugi z napastników dźwignął wreszcie na nogi oszołomionego kolegę i pociągnął go za najbliższy róg. Wszystko to trwało parę sekund. Shirl przez cały ten czas stała pod ścianą i trzęsła się ze strachu.

- Zaskoczyłam ich - ucieszyła się kobieta, oglądając stary nóż do krojenia mięsa. - Potrafię zrobić z tego lepszy użytek niż oni. Zwykłe gówniane szczeniaki. - Była podniecona i szczęśliwa. Ani na chwilę nie puściła ręki dziecka, które płakało teraz głośniej.

Nie napotkały już więcej kłopotów, ale kobieta odprowadziła Shirl aż do drzwi.

- Dziękuję bardzo, nie wiem, co bym sama zrobiła...

- Żaden kłopot - kobieta była wciąż w dobrym humorze. - Widziałaś, co z nim zrobiłam. No i kto ma teraz nóż? - Odeszła, dźwigając w jednej ręce ciężki zbiornik, drugą ciągnąc za, sobą dziecko.

Shirl weszła do domu.

- Gdzie byłaś? - spytał Andy, gdy pojawiła się w drzwiach. - Zaczynałem się już zastanawiać, co się z tobą stało.

W pokoju było ciepło, w powietrzu unosił się lekki zapach dymu, a Andy i Sol siedzieli przy stole z drinkami w dłoniach.

- Byłam po wodę. Kolejka ciągnęła się aż do przecznicy. Dali mi tylko sześć kwart, znów obcięli racje - spostrzegła gniewne spojrzenie Andy'ego i postanowiła nic nie wspominać o incydencie w drodze powrotnej. Byłby wówczas dwakroć bardziej rozdrażniony, a nie chciała, by coś popsuło im nastrój.

- Zaiste, wspaniale - powiedział sarkastycznie Andy. - Racje były już i tak za małe, a zatem obniżono je jeszcze bardziej. Lepiej zdejmij te mokre rzeczy, Shirl, a Sol naleje ci Gibsona. Właśnie doszedł jego domowy wermut, a ja dokupiłem trochę wódki.

- Wypij to - powiedział Sol, wręczając jej oziębioną szklankę. - Ugotowałem zupę z ener-G, to jedyny sposób, by przyswoić to bezboleśnie. Zaraz będziesz mogła jeść. To będzie na pierwsze danie, przed... - nie dokończył zdania, wskazując brodą na lodówkę.

- Co jest? - spytał Andy. - Tajemnica?

- Nie mamy żadnych tajemnic - Shirl otworzyła lodówkę. - Tylko niespodziankę. Byłam dziś na rynku i kupiłam po jednym dla każdego z nas. - Wyjęła talerz z trzema małymi sojowymi zrazami. - To nowy gatunek, mówili o tym w telewizji, reklamują jako przywędzane.

- To musiało kosztować majątek - powiedział Andy. - Nie będziemy mieli co jeść przez resztę miesiąca. - Nie są aż tak drogie. Zresztą, kupiłam je za moje pieniądze, nie ruszyłam budżetu domowego.

- To bez znaczenia, pieniądze to pieniądze. Za to, co na nie wydałaś, moglibyśmy prawdopodobnie jeść przez tydzień.

- Zupa podana - powiedział Sol, stawiając talerz na stole.

Coś ścisnęło Shirl w gardle i nie mogła nic powiedzieć. Usiadła, wbiła wzrok w talerz i z trudem pohamowała łzy.

- Przepraszam - rzekł Andy. - Ale wiesz, jak ceny idą w górę. Musimy wybiegać myślą naprzód. Podniesiono podatek miejski, teraz wynosi on dziewięćdziesiąt

centów. Wszystko przez to, że zwiększono opłaty na opiekę społeczną. Zimą będzie ciężko. Nie myśl, że nie cenię sobie...

- Jeśli tak wysoko to cenisz, to czy mógłbyś się zamknąć i zjeść zupę? - spytał Sol.

- Nie wtrącaj się, Sol - powiedział Andy.

- Nie będę się wtrącał, ale nie przenoś swoich konfliktów do mojego pokoju. A teraz spokój, posiłek taki jak ten, nie powinien zostać niczym zepsuty.

Andy już chciał coś odpowiedzieć, ale rozmyślił się. Zamiast tego sięgnął przez stół i ujął dłoń Shirl.

- To będzie z pewnością smaczne - powiedział. - Zrobiłaś nam dużą przyjemność.

- Najpierw spróbuj zupy - powiedział Sol, spoglądając zezem na pełną łyżkę. - Ale zrazy to będzie z pewnością niebo w gębie.

Jedli zupę w milczeniu, aż Sol zaczął opowiadać jedną ze swoich historyjek z czasów Nowego Orleanu, która była tak nieprawdopodobna, że nie można było się nie roześmiać. Atmosfera wyraźnie się poprawiła. Sol rozdzielił resztę Gibsona, a Shirl podała tymczasem zrazy.

- Gdybym tak mógł upić się dość, by to coś smakowało mi jak mięso - stwierdził Sol z pełnymi ustami, przeżuwając z widoczną przyjemnością.

- Całkiem smaczne - powiedziała Shirl, a Andy przytaknął.

Dziewczyna szybko zjadła swój zraz i kawałkiem suchara wybrała z talerza sos. Upiła drinka. Kłopoty z wodą wydały się teraz tak odległe. Co ta kobieta mówiła o swoim dziecku?

- Czy wiecie może, co to jest kwaski? - spytała. Andy wzruszył ramionami.

- Wiem tyle, że to jakaś choroba. Czemu pytasz? - Rozmawiałam trochę z kobietą, która stała przede mną w kolejce po wodę. Miała ze sobą małego chłopca, który był chory właśnie na ten kwaski. Nie rozumiem, czemu zatem zabrała go na deszcz i nie wiem, czy to nie jest zaraźliwe.

- Zaraźliwe nie jest na pewno - powiedział Sol. - Kwaski to skrót od kwashiorkor. Gdybyś w trosce o swoje zdrowie tak jak ja oglądała programy medyczne lub zajrzała czasem do książki, to wiedziałabyś o niej wszystko. Nie możesz się zarazić, bo to choroba wynikająca z niedoborów, tak jak beri-beri.

- O tej też nigdy nie słyszałam.

- Ta jest rzadka, ale kwaski spotyka się ostatnio coraz częściej. Powodowany jest przez niedobór protein. Kiedyś była znana tylko w Afryce, obecnie jednak panoszy się w całych Stanach Zjednoczonych. Miłe, prawda? Nie ma mięsa, soczewica i fasola sojowa są za drogie, a zatem mamusie napychają dzieci sucharami i cukierkami, wszystkim, co jest tanie...

Żarówka zamigotała i zgasła. Sol znalazł po omacku drogę przez pokój i w gmatwaninie piętrzących się na lodówce drutów odszukał przełącznik małej lampki. Mdły blask rozproszył ciemność.

- Trzeba je naładować - mruknął - lecz można poczekać z tym do rana. Większy wysiłek po jedzeniu źle wpływa na krążenie krwi i trawienie.

- Cieszę się, że pan tu jest, doktorze - powiedział Andy. - Bo widzi pan, mam pewien kłopot. Otóż, wszystko co zjem wędruje mi od razu do żołądka...

- Bardzo zabawne, panie Mądraliński. Naprawdę, nie rozumiem Shirl, jak możesz wytrzymać z tym żartownisiem. Po jedzeniu wszyscy poczuli się lepiej, rozmawiali aż do czasu, gdy Sol ogłosił, że wyłącza światło, by oszczędzać akumulatory. Mała kostka zalatującego rybą węgla morskiego spłonęła na popiół i pokój zaczął się wychładzać. Powiedzieli sobie dobranoc i rozeszli się. Andy wyszedł pierwszy, by znaleźć latarkę. W ich pokoju było jeszcze zimniej .

- Idę spać - powiedziała Shirl. - Nie jestem naprawdę zmęczona, ale to jedyny sposób, by się ogrzać. Andy bezskutecznie pstrykał przełącznikiem.

- Wyłączyli prąd, a ja muszę jeszcze zrobić parę rzeczy. Co się dzieje? Już od tygodnia jesteśmy co wieczór pozbawiani elektryczności.

- Pozwól mi się położyć - poprosiła Shirl. - Nie mam wyjścia.

Rozłożył notatnik na komodzie, obok położył formularz z odzysku i zaczął przepisywać informacje do raportu.

Prawą dłonią rytmicznie ściskał latarkę. Miasto było ciche tej nocy, deszcz i ziąb przegoniły ludzi z ulic. Powarkiwanie małego generatorka, przerywane od czasu do czasu poskrzypywaniem rysika na plastiku, brzmiało w tej ciszy nienaturalnie głośno. Było dość światła, by Shirl mogła rozebrać się. Zadrżała zdjąwszy wierzchnią odzież i szybko naciągnęła grubą zimową piżamę i pocerowaną parę skarpet, których używała tylko do snu. Na to narzuciła jeszcze ciepły sweter. Prześcieradła były zimne i wilgotne, nie zmieniali ich od kiedy zaczęły się kłopoty z wodą. Wietrzyła je jak często się dało, ale to niewiele pomagało. - Co przepisujesz? - spytała.

- Wszystko co mam o Bill'ym Chungu, wciąż chcą, bym go znalazł. Najgłupsza sprawa o jakiej kiedykolwiek słyszałem. - Rzucił rysik ze złością i przeszedł się tam i z powrotem po pokoju. Wciąż ściskał latarkę, która rzucała na sufit ruchliwe cienie. - Od czasu morderstwa O'Briena mieliśmy w rejonie dwa tuziny zabójstw. Złapaliśmy jednego mordercę, gdy stał nad wykrwawiającą się żoną, a wszystkie inne sprawy zostały zapomniane niemal tego samego dnia, gdy się zdarzyły. Czemu to jedno śledztwo jest tak istotne? Wydaje się, że nikt nie potrafi na to odpowiedzieć, a jednak wciąż żąda się ode mnie nowych raportów. I wciąż oczekuje się, że po dwóch zmianach pod rząd pójdę jeszcze szukać tego szczeniaka. Dziś w nocy też powinienem łazić gdzieś tam i sprawdzać kolejny telefoniczny donos, ale mam już dość, nawet jeśli Grassy ma urządzić mi jutro piekło. Czy wiesz, ile sypiam ostatnio?

- Wiem - powiedziała cicho.

- Po parę godzin i to jeśli mam wyjątkowo spokojną noc. No cóż, dzisiaj zamierzam dać sobie spokój. Muszę znów pokazać się o siódmej rano, szykuje się kolejny wiec protestacyjny na Union Square, a zatem znów sobie nie pośpię. - Przestał chodzić i wręczył jej latarkę, która rozjaśniała na nowo, gdy Shirl nacisnęła na rączkę. - Gadam tyle, a tak naprawdę, to ty miałabyś więcej powodów, by narzekać. Zanim mnie spotkałaś, żyło ci się o wiele lepiej.

- Ta jesień dla wszystkich jest ciężka. Nie pamiętam, żeby kiedyś zebrało się tyle kłopotów naraz. Najpierw woda, teraz brak paliwa i prądu. Nie rozumiem tego...

- Nie o tym myślę, Shirl. Czy mogłabyś poświecić na szufladę? - wyjął puszkę z oliwą i zestaw do czyszczenia broni, rozłożył to na szmatce obok łóżka. - Myślałem konkretnie o nas. Nie jestem w stanie zapewnić ci standardu, do jakiego przywykłaś.

Zwykle oboje unikali jakichkolwiek wzmianek o czasach, gdy mieszkała z O'Brienem. Nigdy o tym nie rozmawiali.

- Dom mego ojca nie różnił się prawie od twojego - powiedziała. - Aż tak wiele się nie zmieniło.

- Nie o tym mówię. - Przykucnął i rozłożył rewolwer, przesunął kilkakrotnie szczoteczką przez bębenek. - Po tym jak opuściłaś dom, wiodło ci się znacznie lepiej. Jesteś piękną dziewczyną, więcej nawet niż piękną. Wielu musiało starać się o twoje względy - mówił, przerywając co chwilę i spoglądając na rozłożony warsztat.

- Jestem tu, ponieważ tego pragnęłam - powiedziała ujmując w słowa to, czego on nie był w stanie wyrazić. - Owszem, bycie atrakcyjną ułatwia niejedno, ale to nie wszystko. Chcę... nie wiem dokładnie... chyba być szczęśliwą. Pomogłeś mi, gdy bardzo potrzebowałam pomocy i było nam dobrze razem, lepiej niż w ogóle sądziłam, że może być. Nie mówiłam ci tego, ale miałam nadzieję, że zaprosisz mnie tutaj. Tak dobrze nam szło...

- I to był jedyny powód?

Nie rozmawiali o tym od owej nocy, gdy zaproponował jej wspólne zamieszkanie. Teraz nagle coś go napadło i chciał znać wszystkie jej myśli, nic nie wyjawiając ze swoich.

- Czemu pytasz mnie o to teraz, Andy? O co chodzi? - Wyraźnie starała się uniknąć odpowiedzi.

Wsunął bębenek z powrotem i zakręcił go palcami.

- Ja lubiłem cię, lubiłem cię bardzo. Tak naprawdę, jeśli chcesz wiedzieć - zniżył głos, jakby chodziło o coś wstydliwego - to kocham cię.

Shirl nie wiedziała, co powiedzieć i cisza przedłużała się. Latarka powarkiwała, po drugiej stronie przepierzenia rozległ się jęk sprężyn i stłumione chrząknięcie. Sol kładł się spać.

- A ty, Shirl? - spytał Andy tak cicho, by Sol go nie usłyszał. Po raz pierwszy w trakcie tej rozmowy podniósł głowę i spojrzał na Shirl.

- Ja... jestem tu szczęśliwa. . Chcę tu zostać. Nie myślałam wiele o tym wszystkim. Nie zastanawiałam się...

- Miłość, małżeństwo, dzieci? Czy o tym też nie myślałaś?

Ton jego głosu był teraz ostry.

- Każda dziewczyna myśli o takich meczach, ale...

- Ale nie z nędzarzem takim jak ja i nie w takiej beznadziejnej pułapce na szczury jak ta. To chciałaś powiedzieć?

- Niczego nie chciałam powiedzieć. Nawet tak nie pomyślałam. Nie narzekam. Może tylko tyle, że siedzę tu całymi dniami, a ciebie nie ma.

- Mam pracę i nic na to nie poradzę.

- Wiem, po prostu chciałabym cię częściej widywać. Przez te pierwsze parę tygodni spędzaliśmy razem o wiele więcej czasu. To było fajne.

- Wydawanie gotówki zawsze jest fajne, ale życie nie polega tylko na tym.

- Czemu nie? Nie mówię, żeby ciągle, ale co pewien czas można sobie zafundować coś miłego. I żebyśmy byli razem przynajmniej wieczorami, chociaż w niedziele. Mam wrażenie, że nie rozmawialiśmy ze sobą od tygodni. Nie mówię, że to musi być jeden nieustający romans...

- Mam pracę. Jak sądzisz, ile by zostało z naszego romansu, gdybym ją porzucił?

Shirl była bliska łez.

- Andy, proszę, nie chcę się z tobą sprzeczać. To ostatnie, na czym by mi zależało. Czy nie rozumiesz...?

- Cholernie dobrze rozumiem. Gdybym był grubą rybą w syndykacie i zajmował się panienkami, haszem i LSD, to wszystko mogłoby wyglądać inaczej. Ale jestem tylko gliniarzem, który ledwo daje radę związać koniec z końcem i nie wie, czy w przyszłym miesiącu jakieś sukinsyny nie odciągną mu tych końców za daleko.

Mówiąc to pakował naboje do bębenka i był tym tak pochłonięty, że nie widział łez spływających po twarzy Shirl. Nie rozpłakała się przy stole, ale teraz powstrzymanie się było ponad jej siły. Wszystko zebrało się razem - i zimno, i ten chłopak z nożem, i brak wody, a teraz jeszcze Andy. Odłożyła latarkę na podłogę i światło zaczęło przygasać. Zanim Andy podniósł ją i znów ożywił koło zamachowe, odwróciła się już do ściany i naciągnęła koce na głowę.

Odwzajemniała wiele z uczuć Andy'ego, tego była pewna, ale czy go kochała? Jak miała się tego dowiedzieć, skoro prawie się ostatnio nie widywali? Czemu on tego nie

rozumiał? Nie usiłowała niczego ukrywać, niczego nie unikała. Lecz jej życie teraz to nie było życie z nim, to było przesiadywanie w tym strasznym pokoju i czekanie, i gubienie się w domysłach, czy zajrzy do domu. I ta ulica, ludzie na niej mieszkający, ten chłopak z nożem... Przygryzła wargi, lecz nie mogła przestać płakać.

Gdy kładł się do łóżka, nie odezwał się ani słowem, a ona nie wiedziała, co mogłaby powiedzieć. We dwoje było cieplej; nie przeszkadzało jej nawet, że śmierdział olejem, nie starł go dobrze z dłoni. Gdy był blisko, czuła się o wiele lepiej .

Dotknęła jego ramienia i wyszeptała:

- Andy - ale było już za późno. Spał głęboko.

następny

. 17 .

- Czuję, że szykują się kłopoty - powiedział detektyw Steve Kulozik, poprawiając wkładkę w hełmie z włókna szklanego. Nałożył go i spojrzał wilkiem spod okapu.

- Czujesz kłopoty! - Andy pokręcił głową. - Ale ty masz nos. Zebrali tu cały rejon, tak zwykłych funkcjonariuszy, jak detektywów i montują z nas grupę uderzeniową. Już o siódmej rano wydano nam hełmy i bomby gazowe, zgromadzono tu byśmy czekali na rozkazy, a ty wyczuwasz, że szykują się kłopoty. Jak ty to robisz? To jakiś sekret, Steve?

- Wrodzony talent - odpowiedział grubas.

- Proszę was wszystkich o uwagę - krzyknął kapitan. Głosy i szuranie stopami ucichły, a wszystkie oczy wpatrzyły się z oczekiwaniem w widoczną pod odległą ścianą postać oficera.

- Czeka nas dzisiaj szczególna robota - powiedział kapitan. - Jest ze mną detektyw Dwyer z Głównej Kwatery, który zaraz wyjaśni wam szczegółowo, o co chodzi.

Doszło do małego zamieszania, gdy ci z tylnych szeregów usiłowali zobaczyć coś ponad głowami siedzących z przodu. Wszyscy przybysze z Kwatery Głównej byli

zwykle zwiastunami kłopotów. Pracowali przy Centre Street i otrzymywali rozkazy bezpośrednio od detektywa inspektora Rossa.

- Czy słychać mnie z tyłu? - zawołał detektyw Dwyer i wspiął się na krzesło. Był to przysadzisty mężczyzna z dodatkowym podbródkiem i pomarszczonym karkiem buldoga, o chrapliwym głosie. - Czy drzwi są zamknięte, kapitanie? - zadudnił basem. - To co mam do powiedzenia, jest przeznaczone tylko dla uszu tych ludzi.

Rozległ się pomruk tak zainteresowania, jak i potwierdzenia, że drzwi są zatrzaśnięte. Odwrócił się z powrotem ku zgromadzonym i spojrzał na szeregi umundurowanych funkcjonariuszy z patroli i oliwkowo-zielono-szare płaszcze usadowionych na samym końcu detektywów.

- Tej nocy będzie w mieście kilkaset, a może i kilka tysięcy ofiar śmiertelnych - powiedział. - Waszym zadaniem , jest, sprawić, by liczba ta była jak najmniejsza. Chciałbym, abyście wychodząc stąd wiedzieli dobrze, co się dzieje i byście pamiętali, że im szybciej uda się stłumić szykujące się zamieszki, tym mniej ludzi zginie. Wszelkie ruchawki należy tłumić w zalążku, nam też będzie wtedy łatwiej. Stacje opieki społecznej nie zostaną dzisiaj otwarte i przez najbliższe trzy dni nie będzie wydawana żadna żywność. - Podniósł głos, by przekrzyczeć nagły pomruk. - Uspokójcie się! Kim jesteście? Funkcjonariuszami policji czy bandą starych bab? Mówię wam to wprost, byście mogli przygotować się na najgorsze, a nie żebyście mieli temat do pytlowania.

Zapadła absolutna cisza.

- W porządku. Problemy zapowiadały się już od paru dni, ale dopóki nie wiedzieliśmy, na czym stoimy, nie mogliśmy działać. Teraz wiemy. Miasto wydawało racje żywnościowe aż do niemal zupełnego opróżnienia magazynów. Zamierzamy zamknąć je teraz na czas potrzebny do odbudowania zapasów i otworzyć dopiero za trzy dni. Racje będą wtedy mniejsze, co jest zresztą na razie wiadomością niejawną i nie powinno być rozpowszechniane. Pozostaną mniejsze przez całą zimę i nie zapominajcie o tym, cokolwiek zdarzy wam się słyszeć innego. Bezpośrednią przyczyną braku żywności jest incydent na głównej linii zaopatrzeniowej z Albany, ale to tylko jeden z czynników. Ziarno zacznie znowu spływać do miasta, lecz nie będzie go dość. W naszej siedzibie przy Centre Street przebywa obecnie pewien profesor z Columbii, który analizuje sytuację i wyjaśni nam jeszcze, jak czemu zaradzić, ale teraz chodzi o sprawy czysto techniczne i nie mamy za wiele czasu. Oto do czego rzecz się sprowadza. Ostatniej wiosny dał się odczuć niejaki niedostatek nawozów i plony zbóż nie są przez to takie dobre, jak oczekiwano. Ponadto były liczne burze i powodzie. Obszar stepowienia ogarnia wciąż nowe tereny, a do tego wszystkiego doszło zatrucie znacznej ilości fasoli sojowej środkami owadobójczymi. Wiecie o tym zapewne równie dobrze jak ja. Wszystko było w telewizji. I tak wiele drobnych przyczyn spiętrzyło się, tworząc jeden wielki kłopot. Prezydencka Komisja Do Spraw Planowania Polityki Żywnościowej też nie jest bez winy. W najbliższym czasie ujrzycie tam kilka nowych twarzy. Mówiąc krótko, każdy w tym mieście będzie musiał zacisnąć pasa. Jeśli zdołamy zachować prawo i porządek, to starczy dla wszystkich. Nie muszę wam mówić, jakie mogą być skutki zamieszek na wielką skalę, takich z pożarami i masowymi wystąpieniami. Nie możemy liczyć na żadną pomoc z zewnątrz. Armia ma i bez tego dość zajęć gdzie indziej. Nie będziemy też mieli do dyspozycji żadnych poduszkowców. Wszystkie stoją unieruchomione z powodu braku

części zamiennych, mają połamane łopatki turbin czy inne części i nie ma ich jak naprawić. Wszystko zależy od was. Jeśli nie chcecie, by mieszkańcy tego miasta zagłodzili się na śmierć, to wykonajcie po prostu swoje zadanie. A teraz... jakieś pytania?

Przez salę przetoczył się pomruk, potem jeden z mundurowych z wahaniem podniósł dłoń i Dwyer udzielił mu głosu.

- A jak będzie z wodą, sir?

- Ten problem powinien zostać wkrótce rozwiązany. Naprawa akweduktu zbliża się do końca i gdzieś za tydzień popłynie nim woda. Jednak nadal będzie wydzielana, gdyż poziom rezerw jest niski, a na wodę spod Long Island nie ma co liczyć. Z tym wiąże się jeszcze jedno. Co godzinę puszczamy w telewizji ostrzeżenia, wydzieliliśmy nawet ludzi, wszystkich, których mogliśmy, by patrolowali brzeg rzeki, ale ludzie wciąż czerpią stamtąd wodę. Nie wiem, jak mogą ją pić. Ta cholerna rzeka to ogólny ściek. Zanim dopływa do nas, wszyscy z niej korzystają, a na dodatek miesza się ze słoną wodą z oceanu. I nie gotują jej, co jest równoznaczne z przyjmowaniem trucizny. Szpitale pełne są chorych na dur brzuszny i dezynterię i Bóg jeden wie, na co jeszcze, a zapewne przed nadejściem zimy sytuacja się pogorszy. Na tablicy ogłoszeń powiesiłem ulotkę z wszystkimi symptomami tych chorób, zapamiętajcie je i bądźcie czujni. Jeśli tylko coś dostrzeżecie, natychmiast zgłaszajcie to w najbliższym szpitalu lub Departamencie Zdrowia. Nie zwlekajcie z tym, a wszystko będzie w porządku. Służba zdrowia ma dość szczepionek dla wszystkich.

Nagle przełożył zwiniętą dłoń do ucha, wsłuchując się w coś, co musiało zostać wypowiedziane w pierwszych szeregach i zmarszczył brwi.

- Mam wrażenie, że ktoś powiedział tu coś o "oficerze politycznym", chociaż może się mylę. Powiedzmy, że się przesłyszałem, lecz zetknąłem się już z tym określeniem i wy też możecie się na nie natknąć, a zatem wyjaśnijmy to sobie od razu. Funkcja oficera politycznego jest wynalazkiem komunistów. Jego zadaniem było zaprowadzać porządek partii w szeregach armii, wciskać żołnierzom ciemnotę i robić im wodę z mózgów. Ogólnie nieciekawe postacie. Ale w tym kraju nie działamy w ten sposób. Może i jestem oficerem politycznym, ale jestem z wami szczery, mówię wam całą prawdę, byście mogli dobrze przygotować się do waszych zadań. Jeszcze jakieś pytania?

Rozglądał się po pokoju, kręcąc wielkim łbem. Cisza przedłużała się, nikt nie miał pytań, w końcu Andy zdecydował się podnieść dłoń.

- Tak? - spytał Dwyer.

- A co z rynkami, sir? - powiedział Andy i co bliższe twarze zwróciły się w jego kierunku. - Na Madison Square jest pchli targ, jest rynek spożywczy w Grammercy Park, tam wszędzie sprzedaje się żywność.

- Dobre pytanie, te miejsca będą dzisiaj ogniskami zarazy. Wielu spośród was będzie pełniło służbę w ich okolicy. Kłopoty zaczną się w pobliżu magazynów z chwilą, gdy te nie otworzą się o właściwej porze, ale szybko przeniosą się gdzie

indziej. W tym i na Union Square, gdzie dziś gromadzą się geronci, a oni zawsze przysparzają kłopotów - jego słowom towarzyszył przytłumiony wybuch aprobującego śmiechu. - Sklepikarze będą chcieli wyprzedać cały towar, by jak najszybciej zamknąć sklepy, a my musimy dopilnować, by przebiegało to spokojnie i by zamknęli je naprawdę, ale nie jesteśmy w stanie opanować sytuacji na targowiskach. Wkrótce wszyscy zorientują się, że tylko tam będzie można nabyć żywność. Miejcie oczy otwarte i gdyby cokolwiek się zaczynało, starajcie się opanować sytuację, zanim dojdzie do czegoś gorszego. Możecie używać pałek, macie gaz, niech to wam wystarczy. Nie wyciągajcie broni, jakiekolwiek przypadkowe zabójstwa, niezależnie od skali, tylko pogorszą sprawę.

Nie było już więcej pytań. Detektyw Dwyer wyszedł, zanim przydzielono im rejony i nie widzieli go już więcej. Deszcz ustał, lecz ulice były pełne gęstej, zimnej mgły, która nadpełzła znad zatoki. Przy krawężniku czekały dwie ciężarówki z plandekami i stary, miejski autobus pomalowany na zmatowiały, oliwkowoszary kolor. Połowę okien miał zabitych deskami.

- Szykować drobne na przejazd - powiedział Steve, wsiadając za Andym do autobusu. - Ciekawe, skąd wytrzasnęli ten antyk?

- Z tego samego miejsca, skąd wzięli bomby - odpowiedział Andy. - Z muzeum miejskiego. Przyjrzałeś się im?

- Na razie zdążyłem je policzyć, jeśli o to ci chodzi - Steve opadł ciężko na popękane plastikowe siedzenie obok Andy'ego. Worki z bombami położyli na kolanach. Andy wyjął jedną.

- Przeczytaj - powiedział - jeżeli potrafisz czytać. - Chodziłem do Delehanty'ego - mruknął Steve. - Umiem czytać i po irlandzku, i po amerykańsku. Granat ciśnieniowy, gaz do tłumienia demonstracji, MOA trzysta dziewięćdziesiąt siedem

- Ten drobny druk, na samym dole?

- Napełnione w arsenale St. Louis, kwiecień, tysiąc dziewięćset siedemdziesiąty czwarty. No, to świństwo nigdy się nie starzeje.

- Mam nadzieję. Z tego co powiedział nam dziś oficer polityczny wynika, że możemy ich potrzebować.

- Nic nie będzie. Za mokro na zamieszki.

Autobus zatrzymał się na rogu w miejscu, gdzie Broadway stykał się z Worth Square. Porucznik Grassioli wskazał na Andy'ego, a potem skierował kciuk ku drzwiom.- Ciebie interesują targowiska, Rusch. Bierzesz rejon stąd do Dwudziestej Trzeciej. Ty z nim, Kulozik.

Drzwi zatrzasnęły się za nimi z piskiem i autobus ruszył powoli, torując sobie drogę przez tłum. Ludzie tłoczyli się ze wszystkich stron, co chwila wpadając na siebie i nawet tego nie zauważając. Nieustannie zmieniające się, lecz ciągle takie samo morze ludzkich twarzy. Wokół obu stojących detektywów w naturalny sposób uczyniła się pustka, mała wysepka mokrego chodnika pośrodku tłumu. Policja nigdy nie była

popularna, a funkcjonariuszy w hełmach, z długimi na jard i wypełnionymi ołowiem specjalnymi pałkami wszyscy woleli omijać z daleka. I tak było przez cały czas, gdy przecinali Piątą Aleję, idąc w kierunku Eternal Light, obecnie wygaszonego z powodu braku paliwa i prądu.

- Prawie ósma - powiedział Andy wodząc nieustannie wzrokiem po przechodniach. - O tej porze otwieraj ą zwykle stacje opieki społecznej. Mam nadzieję, że nie spóźnią się z informacją w telewizji.

Szli wolno w kierunku Dwudziestej Trzeciej Ulicy. Stłoczone stragany pchlego targu, który wylewał się już na ulicę, niemal całkowicie blokowały chodnik.

- Dekle, dekle, u mnie najlepsze - zawodził mijany handlarz, niski mężczyzna, który prawie ginął w obszernych fałdach ogromnego płaszcza. Jego ogolona głowa wystawała znad kołnierza jak łeb sępa, brakowało tylko, aby kołnierz był pierzasty. Ocierał kłykciami siąkający nos. Wydawał się trochę niedorozwinięty. - Proszę wybierać dekle, panie policjancie, najlepsze, jakie mogą być, dobre na miski, garnki, wazy, nocniki, wszystko można z nich zrobić...

Minęli go bez słowa.

Około dziewiątej w powietrzu dało się wyczuć narastające napięcie. Tłum poruszał się szybciej, był głośniejszy. Gdy po raz drugi przechodzili obok stoiska sprzedawcy dekli, ujrzeli, że większość towaru została schowana i na ladzie leżały tylko sztuki pordzewiałe, niewarte kradzieży. Ich właściciel osłaniał je ciałem i nie zachwalał już głośno towaru, świdrował tylko wkoło oczami.

- Słyszałeś? - spytał Andy i obaj zawrócili w kierunku targowiska. Ponad szum głosów wybijał się gniewny krzyk, po chwili dołączyły do niego inne. - Chodźmy to sprawdzić.

Skręcili w zatłoczoną ścieżkę, prowadzącą przez rynek. Zwarty tłum blokował drogę. Cała przestrzeń między straganami i wózkami była szczelnie wypełniona i dopiero użycie pałek pomogło utorować drogę. Wystarczyło, by przejechali po barykadzie kostek i nóg, a zaraz, wprawdzie niechętnie, ale rozstępowano się przed nimi. Jądrem zamieszania były trzy stoiska z pokruszonymi sucharami, jedno było przewrócone, a torby z okruchami poniewierały się po ziemi. - Chcieli podnieść cenę! - skrzeczała jakaś kobieta o wiedźmowatej, pociągłej twarzy. - Niezgodnie z prawem chcieli podnieść ceny! Żądali dwa razy więcej za te okruchy!

- Prawo nic nie mówi na ten temat, możemy żądać, ile chcemy - odkrzyknął właściciel straganu, oczyszczając kilkoma machnięciami starego wału korbowego przestrzeń przed sobą, gotów bronić za cenę życia swego stosu pokruszonych sucharów. Było to najtańsze i najbardziej pozbawione smaku pożywienie kiedykolwiek konsumowane przez człowieka.

- Nie masz prawa, łajdaku, te ceny są niezmienne! - krzyknął z kolei jakiś mężczyzna i tłum zawrzał.

Andy zadął w gwizdek.

- Spokojnie! - zdołał jakoś przekrzyczeć głosy tłumu. - Pomału, ja się tym zajdę!

Steve stanął twarzą do gniewnego zbiegowiska i złowróżbnie zakołysał pałką, Andy tymczasem zwrócił się przyciszonym głosem do straganiarza:

- Nie bądź głupi. Daj uczciwe ceny i wyprzedawaj towar..

- Mogę żądać takiej ceny, jaka mi się zamarzy. Nie ma takiego prawa... - zaprotestował i urwał, gdy Andy postukał pałką w bok straganu.

- Owszem, nie ma takiego prawa, jeśli nie brać pod uwagę, że tutaj to oni dyktują prawa. Czy chcesz stracić ten głupi łeb? Obniżaj cenę i pozbywaj się towaru. Jeśli tego nie zrobisz, to po prostu odejdę i pozwolę, by ci ludzie zrobili z tobą, co im się spodoba.

- On ma rację Al - wtrącił handlarz z sąsiedniego straganu, który od niejakiej chwili przysłuchiwał się rozmowie. - Sprzedawaj, co masz i znikamy, jakby co, to oni przejdą po nas. Ja obniżam cenę.

- Zwariowałeś? Pomyśl o forsie! - wrzasnął Al.

- Gówno! Pomyśl lepiej o tej dziurze, którą wywalą mi we łbie, jeśli tego nie zrobię. Sprzedaję.

Wciąż było wiele hałasu, lecz gdy tylko ruszyła sprzedaż po niższej cenie, dość znalazło się chętnych, by kupić i jedność tłumu zaczęła znikać. Gdzieś od strony Piątej Alei było słychać inne krzyki.

- Teraz to już tak będzie - powiedział Steve. - Pokrążmy trochę.

Coraz więcej straganów było zamykanych, a w szeregach wózków ziały liczne luki po tych, którzy zwinęli interes i odjechali. W szczątkach jednego ze stoisk z kanapkami z fasolą leżała rozciągnięta starsza kobieta. Łkała nad swoim poniszczonym i rozkradzionym towarem - gotowanymi ziarnami fasoli ściśniętymi między dwoma sucharami.

- Nędzne gliny - wyrzuciła z siebie, gdy ją mijali. - Czemu ich nie powstrzymaliście, nie zrobiliście czegoś? Nędzne gliny.

Przeszli obok, nie spoglądając nawet na nią i skierowali się ku Piątej Alei. Tłum był podniecony, siłą musieli torować sobie drogę.

- Słyszysz, co ciągnie z północy? - spytał Steve. - Brzmi jak śpiew lub krzyk.

Ruch tłumu stawał się bardziej zorganizowany, z wolna zmieniał się w pochód kierujący się do centrum. Z każdą chwilą skandowanie wielu gardeł było głośniejsze, w tle dawało się rozróżnić tubalne rzężenie wzmacniacza.

Two, four, six, eight.- Welfare rations come too late.

Three, five, seven, nine. - Medicare is still behind.

- To geronci - powiedział Andy. - Znów maszerują na Times Square.

- Nie ma co, świetny dzień wybrali. Wszystko zeszło się akurat dzisiaj.

Tłum cofnął się do krawężnika i w pole widzenia wkroczyli demonstranci, poprzedzani przez pół tuzina umundurowanych funkcjonariuszy wymachujących pałkami. Za nimi napływała pierwsza fala legionu siwowłosych i łysych starców, grupa prowadzona przez Kida Reevesa. Kulał trochę, lecz dzielnie szedł z bateryjnym wzmacniaczem w dłoni: szarą metalową tubą z wmontowanym mikrofonem. Uniósł ją do ust i jego wzmocniony głos wzniósł się ponad pomruk tłumu.

- Wy wszyscy, którzy stoicie na chodnikach, przyłączcie się do nas. Chodźcie z nami, dodajcie swoje głosy do naszego protestu. My nie maszerujemy tylko w obronie swoich interesów, bronimy również was wszystkich. Jeśli jesteś jednym z seniorów tego miasta, to z pewnością poprzesz nas całym sercem, występujemy bowiem właśnie w twoim imieniu. Jeśli jesteś młodszy, to powinieneś wiedzieć, że maszerujemy w obronie twej matki i twego ojca, a nawet twoim, gdyż kiedyś będziesz jednym z nas...

Ludzie byli wypychani na trasę pochodu z ujścia Dwudziestej Czwartej Ulicy. Oglądali się, lecz ciśnienie tłumu kierowało ich naprzód. Geronci zwolnili, niemal stając. W oddali powietrze przeszywały policyjne gwizdki. Policjanci, idący przed manifestującymi, usiłowali powstrzymać tłum, lecz zostali połknięci przez ludzkie masy, gdy wąska Dwudziesta Czwarta Ulica. wyrzuciła z siebie gromadę biegnących postaci, które wpadły między maszerujących i zlały się z przednią strażą gerontów.

- Zatrzymajcie się! Zatrzymajcie się! - ryknął wzmocniony głos Reeversa. - Zakłócacie przebieg demonstracji, legalnej demonstracji...

Nowo przybyli przepchnęli się ku niemu i ciężko zbudowany mężczyzna ze śladami świeżej krwi na boku głowy sięgnął po wzmacniacz.

- Dawaj! - nakazał, a jego głos zmieszał się z głosem Reeversa i zginął w narastającym zgiełku.

Andy wiedział dokładnie, co się dzieje, ale nic nie mógł zrobić. Tłum rozdzielił go ze Stevem, który zniknął gdzieś w tłumie. Andy znalazł się mimowolnie w pobliżu załamującego się rzędu straganów.

- Dawaj to! - ryknął znów napastnik, wyrywając tubę z rąk Reeversa. Brutalnie potraktowany starzec krzyknął z bólu.

- Usiłują nas zagłodzić! - wzmocnione oskarżenie poniosło się ponad tłumem i blade twarze zwróciły się ku nowemu mówcy. - Magazyny opieki społecznej są pełne żywności, ale zamknęli je, bo nie chcą nam jej dać! Niech je otworzą i dadzą nam jeść! Sami je sobie otwórzmy!

Tłum zawył zgodnie i zafalował w kierunku Dwudziestej Czwartej Ulicy, tratując wielu spośród gerontów. Pobudzony rozgoryczonym głosem przypadkowy tłum zmieniał się z wolna w tłum zorganizowany, tłum zdolny do ślepego uderzenia,

zdolny do wszystkiego, pragnący rozładować pasję. Jeśli nie powstrzyma się go teraz, zamieszki będą nieuniknione. Andy zdzielił pałką bliżej stojących, zmuszając ich do rozstąpienia się. Przedzierał się w kierunku mężczyzny z tubą, by go uciszyć. Grupa gerontów otoczyła kołem swego rannego przywódcę, który krzyczał coś i podtrzymywał swoją prawą rękę. Zwisała pod dziwnym kątem, zapewne złamana. Andy walczył, choć wiedział, że nie uda mu się tam dostać. Tłum napływał szybciej niż on był w stanie się przepychać.

- ...trzymają całe to żarcie dla siebie i dla polityków. Czy ktoś widział kiedyś chudego glinę? Przejadają to, co nam się należy i nie obchodzi ich, że nam grozi głód! - kontynuował nowy przywódca.

Podburzony tłum mógł eksplodować lada chwila. Coraz więcej ludzi, głównie spośród gerontów, padło stratowanych. Andy otworzył torbę i wyciągnął bombę. Miała czasowy zapalnik, zwalniający ładunek z trzysekundowym opóźnieniem. Trzymając ją możliwie nisko, wyszarpnął zawleczkę i zamachnąwszy się szeroko rzucił szarawą puszkę w kierunku mężczyzny z megafonem. Granat zakreślił wysoki łuk w powietrzu, upadł tuż obok mówcy, lecz nie wybuchł.

- Bomby! - ryknął mężczyzna. - Gliny chcą nas zabić, by nie trzeba było nas żywić. Nie powstrzymają nas, ruszamy, dalej po żarcie! Bomby!

Andy zaklął i wydobył następny granat. Ten musiał zadziałać, pierwszy niewypał tylko pogorszył sytuację. Rozepchnął pałką najbliżej stojących, wyciągnął zawleczkę, policzył do dwóch i rzucił. Puszka eksplodowała z głuchym hukiem niemal nad głową mężczyzny ze wzmacniaczem. W ryk tłumu wdarł się rozdzierający, wzmocniony odgłos wymiotów. Tłum zafalował, jego jedność została złamana; teraz najważniejsze było wydostać się z chmury gazu. Oślepieni łzami, z wnętrznościami rozdzieranymi skurczami torsji, ludzie miotali się po ulicy. Z dna torby Andy wyszarpnął maskę przeciwgazową i wprawnymi ruchami zaczął nakładać ją na głowę. Hełm ześliznął mu się na lewe ramię i zwisał na pasku; on tymczasem, z kciukami skierowanymi do środka, nasuwał oporną gumę na twarz. Paski plątały się. Łapiąc oddech pochylił głowę i jednym szybkim ruchem umieścił maskę na właściwym miejscu. Prawą dłonią zacisnął jeszcze na chwilę otwór wydechowy i gwałtownie wypuścił powietrze z płuc - uciekło wydymając boki maski i usuwając jakiekolwiek ślady gazu. Gdy tylko to zrobił, wyprostował się i drugą ręką nałożył hełm.

Chociaż cała operacja trwała tylko kilka sekund, przebieg wydarzeń zmienił się dramatycznie. Ludzie uciekali we wszystkich kierunkach przed rozpełzającą się z wolna chmurą gazu. Ci, którzy pozostali, leżeli rozciągnięci na chodniku lub zgięci wpół poddawali się bezwolnie skurczom wymiotów. Gaz był skuteczny. Andy podbiegł do mężczyzny ze wzmacniaczem. Pełzał oślepiony po jezdni i umazany wymiocinami, lecz nie wypuszczał z rąk tuby, przeklinając pomiędzy jednym a drugim spazmem bólu. Andy chciał odebrać mu megafon, ale tamten zamachnął się, więc jedyne, co mu pozostało, to uderzyć pałką. Mężczyzn padł w brud ulicy i dopiero wtedy Andy odebrał mu tubę. Przed Andym było najtrudniejsze. Poskrobał paznokciem w mikrofon i chrobot rozległ się z siłą gromu, urządzenie działało. Walcząc z opornymi filtrami wziął głęboki oddech i zdarł maskę z twarzy.

- Tu policja - powiedział, a twarze przytomnych obróciły się w kierunku, z którego dochodził głos. - Już po wszystkim, idźcie do domów. Rozejdźcie się. Już po wszystkim. Jeśli rozejdziecie się w spokoju, nie będzie już więcej gazu.

Na słowo "gaz" pomruk tłumu zmienił ton, ludzie zaczęli ruszać się żywiej. Andy walczył z ogarniającymi go nudnościami.

- Policja panuje nad sytuacją i jest już po wszystkim... Zakrył mikrofon ręką, zgiął się wpół z bólu i zwymiotował.

następny

. 18 .

Nowy Jork znalazł się na krawędzi katastrofy. Każdy z zamkniętych magazynów był zarzewiem konfliktu, wokół każdego gromadziły się głodne i przerażone tłumy szukające kogoś, kogo mogłyby uczynić winnym. Gniew rozniecał zamieszki przeradzające się w rabunek, najpierw żywności, potem wody, a w końcu wszystkiego, co miało jakąkolwiek wartość. Policja z trudem panowała nad sytuacją. Byle iskra mogła teraz gniewny protest zamienić w krwawy chaos.

Z początku zwykłe pałki i ołowiem obciążone pały oddziałów szturmowych wystarczyły, by kontrolować tłumy. Gdy one zawodziły, był jeszcze gaz. Napięcie jednak narastało. Ludzie przepędzeni z jednego miejsca, zaraz zbierali się w innym. Owszem, sikawki były skuteczne, ale ciężarówek z sikawkami było mało. Nie było wreszcie dość wody, by napełnić puste zbiorniki. Departament Zdrowia zakazał używania wody rzecznej - byłoby to jak rozpylanie trucizny. Ta niewielka ilość wody, która była dostępna, musiała zostać oszczędzona do innych celów. W mieście zaczęły wybuchać pożary. T tak ledwie było czym je gasić. Ulice były w wielu miejscach .zablokowane i wozy straży pożarnej musiały wyszukiwać objazdy i nadkładać drogi. Niektórych pożarów nie udało się opanować. Około południa całość sprzętu, którym dysponowało miasto, była w użyciu.

Pierwszy strzał padł kilka minut po dwunastej. Oddany został przez strażnika opieki społecznej do mężczyzny, który wybił szybę w oknie magazynu żywności przy Tompkins Square i zamierzał wejść do środka. Mężczyzna został zabity. Nie była to ostatnia ofiara. Strzały było słychać coraz częściej. Drut zablokował kilka szczególnie

newralgicznych i kłopotliwych rejonów, ale drutu też była ograniczona ilość. Gdy się skończył, śmigłowce mogły już tylko krążyć ponad zatłoczonymi ulicami, warcząc bezradnie. Wykorzystano je później jako powietrzną służbę obserwacyjną wyszukującą miejsca, gdzie rezerwy były najpilniej potrzebne. Lecz był to bezsensowny wysiłek - rezerwy już nie istniały; wszyscy zostali wysłani do walki.

Po pierwszym starciu na Madison Square nic nie mogło już zrobić na Andym szczególnego wrażenia. Przez resztę dnia i większą część nocy, razem z innymi policjantami, usiłował w rozdzieranym walką mieście przywrócić prawo i porządek. Przez cały czas odpowiadał brutalnością na brutalność, a jedyna chwila odpoczynku, jaka była mu dana, miała miejsce na początku, gdy sam padł ofiarą gazu. Zdołał dostać się do stojącego w pobliżu ambulansu, gdzie udzielono mu pomocy. Dyżurny przemył mu jedynie oczy i wręczył tabletkę mającą zneutralizować dokuczliwe nudności: Poleżał trochę na noszach w środku, by dojść do siebie. Hełm, bomby i pałkę przyciskał do piersi. Na drugich noszach, przy drzwiach, siedział kierowca karetki uzbrojony w karabinek kalibru 30. Jego zadaniem było odebrać nadmiar odwagi każdemu, kto objawiłby zbyt duże zainteresowanie ambulansem lub jego medyczną zawartością. Andy z chęcią poleżałby dłużej, lecz zimna mgła, napływająca przez otwarte drzwi, zmusiła go do wstania. Trząsł się, zęby mu podzwaniały. Ciężko było zebrać się i zejść na ziemię, ale gdy zaczął się już ruszać, większość przykrych sensacji ustąpiła, zrobiło mu się nawet cieplej. Atak na centrum opieki społecznej załamał się. Może była to i jego zasługa; odebranie wzmacniacza mogło mieć swoje znaczenie. Z wolna powlókł się ku najbliższej gromadzie postaci w granatowych mundurach. Zmarszczył nos - brudne ubranie śmierdziało wymiocinami. Od tej chwili zmęczenie już go nie opuściło i jedyne co zapamiętał z tych godzin, to rozwarte we wrzasku usta, gniewne twarze, biegnące stopy, odgłosy strzałów, eksplozje granatów gazowych i coś, czego nie widział dokładnie, a co zostało na niego rzucone. Odbił to wierchem dłoni raniąc się przy tym głęboko.

Wraz z wieczorem nadszedł deszcz; zimna ulewa rychło mieniła się w deszcz ze śniegiem i to on, a nie policja, spędził ludzi z ulic. Jednakże wraz ze zniknięciem tłumów prawdziwa praca dopiero się zaczęła. Na zabezpieczenie czekały setki wybitych okien i wyłamanych drzwi; każde musiało być strzeżone. Trzeba było odnaleźć rannych i zapewnić im opiekę, straż pożarna potrzebowała wsparcia w gaszeniu niezliczonych pożarów. Tak zeszła noc. Rankiem Andy opadł wreszcie ciężko na ławkę w komendzie. Siedział skulony, gdy usłyszał, jak Grassioli odczytuje z jakiejś listy również jego nazwisko.

- I to już wszystko, na co możemy sobie pozwolić - dodał porucznik. - Zanim wyjdziecie, odbierzecie swoje racje żywnościowe i zdacie wyposażenie. Chcę was tu widzieć wszystkich z powrotem o osiemnastej zero zero i nie przyjmę żadnych usprawiedliwień. Nasze kłopoty jeszcze się nie skończyły.

Rankiem deszcz ustał. Wschodzące słońce rzucało długie cienie lśniąc mokro na wilgotnym, czarnym asfalcie. Frontony spalonych domów nie przestały jeszcze dymić. Andy musiał znajdować drogę między zaścielającymi ulice szczątkami i gruzem. Na rogu Siódmej Alei leżały połamane wraki dwóch riksz, już teraz odarte ze wszystkich części, a parę stóp dalej zauważył ludzkie ciało. Mogło wydawać się, że mężczyzna śpi, ale skierowana w górę nieruchoma twarz jasno wskazywała, że był martwy. Andy poszedł dalej. Śmieciarki będą zbierać dzisiaj jedynie zwłoki.

Ze stacji metra wychodzili pierwsi jaskiniowcy. Rozglądali się wkoło, mrużąc oczy przed światłem. Latem wszyscy wyśmiewali się z nich, gdyż opieka społeczna wyznaczyła im kwatery na stacjach nieczynnego metra. Lecz gdy nadchodziły chłody, zazdroszczono im, a śmiech zamieniał się w zawiść. Było tam brudno, ciemno i duszno, ale zawsze mieli włączone jakieś piecyki elektryczne. Nie był to luksus, ale przynajmniej nie marzli. Andy skręcił w kierunku swojego kwartału.

Wchodząc po schodach nadeptywał raz za razem na śpiących, ale był zbyt zmęczony, by zwracać na to uwagę. Nie mógł trafić kluczem w zamek, ai w końcu Sol usłyszał go i otworzył drzwi.

- Właśnie przygotowałem zupę - powiedział. - Idealne zgranie w czasie.

Andy wydobył z kieszeni płaszcza pokruszone resztki sucharów i rzucił je na stół.

- Z kradzieży? - spytał Sol biorąc kawałek suchara do ust. - Myślałem, że magazyny będą zamknięte jeszcze przez dwa dni.

- Racje policyjne.

- Należy wam się. Nie możecie ruszać do walki o pustym żołądku. Wrzucę trochę do zupy, zyska na gęstości. Domyślam się, że nie oglądałeś wczoraj telewizji i nie słyszałeś o cyrkach w kongresie. Zaczyna się naprawdę kotłować...

- Shirl już wstała? - spytał Andy, zrzucając płaszcz i padając ciężko na krzesło.

Sol milczał chwilę, potem powiedział powoli: - Nie ma jej.

Andy ziewnął.

- Wyszła tak wcześnie? Po co?

- Wyszła, ale nie dzisiaj, Andy - Sol odwrócił się plecami i zamieszał zupę. - Wyszła wczoraj, kilka godzin po tobie i jeszcze nie wróciła...

- Chcesz powiedzieć, że przez cały czas zamieszek nie było jej w domu? Cały dzień i całą noc? I co zrobiłeś? - Usiadł prosto, jakby zapomniał nagle o zmęczeniu.

- A co mogłem zrobić? Pójść i dać się zadeptać? Wiesz, ilu starców zginęło? Założę się, że nic jej się nie stało. Zobaczyła pewnie, co się dzieje, więc postanowiła zostać z przyjaciółmi i przeczekać.

- Jakimi przyjaciółmi? O czym ty mówisz? Muszę ją znaleźć.

- Siedź tuż - rozkazał Sil. - I tak nic nie zdziałasz. Zjedz zupę, prześpij się. Z nią na pewno wszystko będzie w porządku. Tyle wiem - dodał po wahaniu.

- Co ty możesz wiedzieć Sol? - Andy ujął go za ramiona i odwrócił od piecyka.

- Uprasza się o niedotykanie eksponatów! - krzyknął Sol odpychając ręce, a potem, cichszym głosem, powiedział: - Wszystko co wiem, to tyle, że nie wyszła stąd bez

powodu, ot tak sobie. Na wierzch narzuciła stary płaszcz, lecz pod spód założyła szykowną suknię i nylonowe pończochy. Cała fortuna na nogach. A gdy się żegnała, spostrzegłem, że była umalowana.

- Sol, co ty próbujesz powiedzieć?

- Niczego nie próbuję powiedzieć, mówię po prostu. Była ubrana tak, jakby szła w gości, a nie na zakupy. Pomyślałem, że umówiła się z kimś. Może poszła odwiedzić ojca.

- A niby czemu miałaby go odwiedzać?

- Ty mnie pytasz? Pokłóciliście się, prawda? A może poszła przejść się trochę i ochłonąć.

- Pokłóciliśmy się... pewnie tak. - Andy usiadł z powrotem i przycisnął dłonie do czoła. Czy to było zeszłej nocy? Nie, jeszcze wcześniej. Wydawało mu się, że od tej głupiej wymiany zdań minęło już ze sto lat. Zdjęty nagłym strachem spojrzał na Sola. - Czy wzięła ze sobą rzeczy?

- Tylko małą torbę - powiedział Sol, stawiając przed nim parującą wazę. - Możesz pożreć ile chcesz, ja naleję sobie tylko trochę. Ona wróci - dopowiedział po chwili.

Andy był zbyt zmęczony, by się spierać, ale co mógł powiedzieć? Machinalnie złapał za łyżkę i dopiero gdy zaczął jeść poczuł, jaki był głodny. Łokcie trzymał na stole, wolną ręką podpierał głowę.

- Powinieneś posłuchać wczorajszych przemów w senacie powiedział Sol. - Pierwszorzędna zabawa. Usiłują przepchnąć ustawę wyjątkową, wyobraź sobie, teraz, gdy cała ta wyjątkowa sytuacja szykowała się już od stu lat. Gdybyś , słyszał jak gardłowali nad byle detalami, nie ruszając zasadniczych punktów - przeszedł na południowy akcent. -- W obliczu tragicznych okoliczności proponujemy bliższe przyjrzenie się bogactwom tego olbrzymiego illuwialnego zbiornika, którą jest, ehe, delta Missisipi, największej z naszych rzek. Tamy i dreny, ehe, nauka, ehe, i będziemy mieli najwydajniejszy teren uprawny zachodniego świata! - podmuchał gniewnie na. zupę. - Tak, tamy, jeszcze jeden, który leci z paluchem zatykać dziurę. Tego próbowano już tysiące razy. Ale czy ktokolwiek wypowiedział głośno, jaki jest zasadniczy i jedyny powód wprowadzenia ustawy wyjątkowej? Oczywiście nie. Po tylu latach dobrobytu zrobiliśmy się zbyt dziecinni, by po prostu wyjść na mównicę i ogłosić prawdę. Tak więc ukryli ją w jednej z pomniejszych klauzul przyczepionych na szarym końcu.

- A o czym właściwie mówisz? - spytał niezbyt przytomnie Andy.

- O kontroli urodzeń, rzecz jasna. Dochodzą właśnie do legalizacji klinik, które zgodnie z prawem otwarte będą dla każdego, niezależnie czy pozostaje w związku małżeńskim, czy nie, i uczynienia obowiązującym prawa, by wszystkie matki musiały zapoznać się z metodami unikania niepotrzebnej ciąży. Chłopie, wyobrażasz sobie, jaki podniesie się wrzask, gdy ta informacja dotrze do wszystkich purytanów?!

- Nie teraz, Sol. Jestem zmęczony. Czy Shirl mówiła coś, kiedy będzie z powrotem?

- Już ci powiedziałem... - zamilkł nasłuchując. ktoś nadchodził korytarzem. Kroki ucichły pod ich drzwiami i rozległo się nieśmiałe pukanie. Andy zerwał się i pierwszy dopadł drzwi, otwierając je szeroko.

- Shirl! Nic ci się nie stało?

- Nie, wszystko w porządku.

Objął ją i przytulił, aż straciła na chwilę oddech.

- Nie wiedziałem, co sądzić. Te zamieszki... - powiedział. - Sam wróciłem dopiero chwilę temu. Gdzie byłaś? Co się stało?

- Chciałam tylko wyjść na trochę - pociągnęła nosem. - Co tak śmierdzi?

Odsunął się od niej, przytłumione na chwilę zmęczenie znów dawało o sobie znać.

- Oberwało mi się. Mój własny gaz mi zaszkodził i wymiotowałem, a to ciężko schodzi z ubrania. Co to znaczy, że chciałaś wyjść na chwilę?

- Pozwól mi zdjąć płaszcz.

Andy poszedł za nią do drugiego pokoju i zamknął drzwi. Wyjęła z torby parę butów na wysokim obcasie i schowała do szuflady.

- No i?

- To proste. Czułam się tu jak w pułapce, zimnej, pozbawionej wszystkiego pułapce. Ciebie nie było, nie mogłam przyjść do siebie po sprzeczce. Wszystko było nie tak. Pomyślałam więc sobie, że mogłabym się ubrać i pójść do jednej z tych restauracji, do których zwykłam zaglądać, zamówić na przykład filiżankę kawy i może to poprawi mi samopoczucie, wiesz, podkręci trochę - spojrzała na jego zimną twarz i odwróciła szybko wzrok.

- I co było potem?

- Czy to przesłuchanie? O co jestem oskarżona?

Odwrócił się i wyjrzał przez okno.

- O nic cię nie oskarżam, ale... nie było cię przez całą noc. Jak niby mam się czuć?

- Sam wiesz, co działo się wczoraj. Bałam się wracać. Byłam u Curleya...

- W tej garkuchni?

- Tak, ale jeśli nie zamawia się niczego do jedzenia, to nie jest drogo. Tam tylko jedzenie kosztuje. Spotkałam parę znajomych osób, porozmawialiśmy trochę.

Wybierali się na przyjęcie, zaprosili mnie, więc poszłam. Oglądaliśmy wiadomości, cały czas mówili o zamieszkach i nikt nie chciał wychodzić, zatem przyjęcie trwało dalej. To tyle. Wielu zostało na noc i ja zrobiłam tak samo.

Zrzuciła suknię i powiesiła ją do szafy, zakładając zaraz wełniane spodnie i gruby sweter.

- To wszystko, co tam robiłaś, po prostu przeczekiwałaś noc?

- Jesteś zmęczony, Andy. Czemu nie pójdziesz spać?

- Możemy porozmawiać o tym później.

- Chcę porozmawiać o tym teraz.

- Proszę, nie ma już o czym mówić...

- Jest. Czyje to było mieszkanie?

- Nie znasz. Nie był przyjacielem Wielkiego Mike'a, ktoś, kogo widywałam na przyjęciach.

- I on? - cisza przedłużała się, aż kolejne pytanie Andy'ego rozdarło ją na strzępy. - I spędziłaś z nim tę noc?

- Naprawdę chcesz wiedzieć?

- Oczywiście, a po co bym pytał? Spałaś z nim, prawda?

- Tak.

Łagodność jej głosu i nagłość tego potwierdzenia zmroziły go. Zadawał to pytanie z nadzieją na zaprzeczenie. Nie wiedział zupełnie, co powiedzieć, w końcu zdołał zdobyć się tylko na jedno krótkie:

- Dlaczego?

- Dlaczego? - To jedno słowo otworzyło jej usta i wyzwoliło zimny gniew. - Dlaczego? A co miałam zrobić? Postawił mi obiad, poczęstował drinkami i musiałam jakoś za to zapłacić. Niby jak inaczej miałam to zrobić?

- Przestań, Shirl, zaczynasz być...

- Jaka zaczynam być? Szczera? A czy ty pozwoliłbyś mi tutaj zostać, gdybym z tobą nie sypiała?

- To co innego.

- Naprawdę? - była już roztrzęsiona. - Mam nadzieję, że to co innego, oby to było co innego, ale ja sama już nie wiem. Chcę tylko być szczęśliwa, nie wiem, po co się

kłócimy. To nie tego chciałam. Ale wszystko idzie nie tak. Gdybyś tu bywał, gdybym mogła więcej czasu spędzać z tobą...

- Rozmawialiśmy już o tym. Mam pracę, która jest właśnie taka, jak jest, co mogę zrobić? - Przypuszczam, że nic, nic... - ścisnęła dłonie, by stłumić ich drżenie. - A teraz idź spać, musisz odpocząć.

Wyszła z pokoju, a on nie poruszył się, aż drzwi nie zostały zamknięte. Chciał iść za nią, ale zatrzymał się i przysiadł na skraju łóżka. Co jeszcze mógł jej powiedzieć? Powoli ściągnął buty, ubrany wyciągnął się na łóżku i nakrył kocem.

Mimo że był zmęczony i wyczerpany, nie mógł zasnąć.

następny

. 19 .

Większość ludzi nie lubiła wstawać przed świtem i dzięki temu o szarej godzinie kolejki po wodę były krótsze niż w ciągu dnia. Shirl pospieszyła zająć miejsce, przemykając się, by uniknąć nieciekawych spotkań. Do czasu gdy dostanie wodę, słońce będzie już wysoko, a ulice bezpieczniejsze. Poza tym zwykła spotykać się codziennie z pirs Miles. Umówiły się, że która przyjdzie pierwsza, ta zajmie kolejkę drugiej i potem będą wracały razem. Mrs Miles zawsze targała ze sobą małego chłopca, który wciąż był chory na kwash. Prawdopodobnie mąż bardziej potrzebował bogatego w proteiny masła orzechowego niż ich dzieci. Racje wody zostały zwiększone i to było miłe. Kanistry stały się teraz znacznie cięższe, ale Shirl nie skarżyła się. Całym wysiłkiem woli ignorowała bolący od wspinaczek po schodach grzbiet. Teraz można było czasem nawet umyć się. Punkty poboru wody miały zostać normalnie otwarte dla wszystkich najpóźniej od połowy listopada, a to nie był odległy termin. Tego ranka, jak zwykle,. Shirl wróciła przed ósmą. Wchodząc do mieszkania ujrzała, że Andy jest już ubrany do wyjścia.

- Porozmawiaj z nim, Shirl - powiedział. - Przekonaj go, że to poroniony pomysł. Sol zgłupiał nam na starość.

Ucałował ją na pożegnanie i skierował się do drzwi. Od pamiętnej nocy minęły już trzy tygodnie pozornego spokoju, bowiem, chociaż o tym nie rozmawiali, coś w ich

kontaktach uległo zmianie, jakaś część poczucia bezpieczeństwa, a może miłości, zniknęła bezpowrotnie.

- O co chodzi? - spytała zrzucając wierzchnie warstwy , spowijającej ją odzieży.

Andy zatrzymał się w progu.

- Spytaj Sola, z pewnością będzie szczęśliwy mogąc ci wszystko opowiedzieć. Ale cokolwiek usłyszysz, pamiętaj jedno, on nie ma racji.

- Każdy ma prawo do własnego zdania - powiedział Sol, spokojnie dobywając ze starej puszki pastę i wcierając ją w parę jeszcze starszych wojskowych butów.

- Lepiej nic nie mów - stwierdził Andy. - Szukasz tylko guza. Zobaczymy się wieczorem, Shirl. Jeśli będzie równie spokojnie jak wczoraj, to nie powinienem wrócić późno. - Zamknął drzwi i zachrobotał kluczem w zamku.

- O czym takim rozmawialiście? - spytała Shirl, rozgrzewając ręce nad piecykiem, w którym tliła się cegiełka węgla morskiego. Na zewnątrz było brzydko i zimno, wiatr uderzał o zamknięte okna.

- Jemu chodziło o protest - rzekł Sol, podziwiając wypolerowany nos czarnego buta. - Czy raczej o sprzeciw wobec protestu. Słyszałaś o ustawie wyjątkowej? Przez cały ostatni tydzień nie mówili w telewizji o niczym innym.

- Mówisz o tej ustawie, którą nazywają dzieciobójczą ustawą?

- Nazywają? - krzyknął Sol pocierając gniewnie but. - Kto nazywa? Banda idiotów. Ludzie, którzy umysłami tkwią w średniowieczu, a resztą ciała tarzają się w rui. Idioci.

- Ależ, Sol, nie musisz zmuszać ludzi, by popierali coś, w co nie wierzą. Wielu uważa wciąż, e to ma coś wspólnego z zabijaniem dzieci.

- A więc wielu się myli. Czy ja mam cierpieć przez to, że świat pełen jest zakutych pał? Wiesz dobrze, że kontrola urodzin nie ma nic wspólnego z zabijaniem dzieci. Tak naprawdę, to właśnie oszczędza zabijania. Co jest większą zbrodnią, czy pozwalać dzieciom umierać od chorób lub z głodu, czy nie dopuszczać do tego, by nie chciane dzieci w ogóle się narodziły?

- Jeśli tak się to przedstawi, to sprawa wygląda inaczej. Ale czy nie zapominasz o naturalnych prawach? Czy kontrola urodzin nie występuje przeciwko naturce?

- Kochana, cała historia medycyny jest historią występowania przeciwko naturze. Kościół, a to obejmuje tak protestantów, jak i katolików, usiłował zapobiec stosowaniu środków znieczulających, naturalnym bowiem prawem kobiety jest cierpieć przy porodzie. Naturalnym prawem było umieranie od chorób. Naturalnym prawem było, że nie wolno otwierać ciała, by je zoperować i uzdrowić. Był nawet kiedyś pewien gość, imieniem Bruno, który został spalony na stosie, ponieważ nie wierzył w absolutne prawdy i prawa naturalne tego pokroju. Wszystko było niegdyś uznawane za sprzeczne z prawem naturalnym. Teraz ten próg musi przejść kontrola urodzin.

Musi, wszystkie bowiem nasze kłopoty biorą się stąd, że na świecie jest obecnie za dużo ludzi.

- To by było za proste, Sol. W rzeczywistości nic nigdy nie jest aż tak czarno-białe...

- Jest, tylko nikt ni., chce tego dostrzec i to jest jedyny problem. Pomyśl tylko, żyjemy w beznadziejnym świecie bez perspektyw i nasze dzisiejsze kłopoty wynikają tylko z jednego. Zbyt wielu ludzi. Jak to się działo, że przez dziewięćdziesiąt dziewięć procent czasu, który człowiek zamieszkuje na Ziemi, nigdy nie mieliśmy problemów z przeludnieniem?

- Nie wiem, nigdy o tym nie myślałam.

- Nie ty jedna. Powód jest prosty. Poza wojnami, powodziami, trzęsieniami ziemi : tym podobnymi drobiazgami, rzecz była w tym, że choroby łoiły po ludziach jak psy. Śmiertelność niemowląt była bardzo wysoka, umierało wiele dzieci i w ogóle nikt nie żył długo. Kulisi w Chinach żywili się tylko łuskanym ryżem i umierali ze starości za nim dobiegali trzydziestki. Słyszałem to wczoraj wieczorem w telewizji i temu akurat wierzę. A pewien senator odczytał fragment ze starego elementarza, który obowiązywał w kolonialnej Ameryce. Brzmiało to mniej więcej tak: bądź miły dla twojej małej siostrzyczki lub brata, mogą bowiem nie zostać z tobą długo. Mnożyli się jak muchy i ginęli jak muchy. Śmiertelność niemowląt, dziewczyno! Mogę powiedzieć, że to nie było wcale tak dawno. W czterdziestym dziewiątym, zaraz po tym, gdy wyszedłem z wojska, pojechałem do Meksyku. Dzieciaki umierały teraz od większej liczby chorób niż tobie zdarzyło się kiedykolwiek słyszeć. Nigdy nie chrzcili dzieci przed upływem roku, bo większość z nich i tak umierała, a chrzest kosztował. Oto dlaczego nigdy dotychczas ludzi nie było zbyt dużo. Cały świat był jednym wielkim Meksykiem, umierało niemal tyle samo, ile się rodziło i była jakaś równowaga.

- No to co się zmieniło?

- Powiem ci, co się zmieniło - potrząsnął w jej kierunku butem. - Nadeszła nowoczesna medycyna. Na wszystko jest lekarstwo. Malaria została wymazana z oblicza świata razem z wieloma chorobami, które zabijały ludzi młodo i ograniczały rozrost populacji. Nauczono się kontrolować śmierć. Starzy, ludzie żyją dłużej. Większość tych dzieci, które kiedyś by umarły, teraz dożywa późnej starości i jest to starość naprawdę późna. Ludzie przybywają na świat tak szybko, że nie nadąża ubywać ich w tym samym tempie. Na miejsce każdych dwóch umierających przybywa zaraz troje nowo narodzonych. I tak populacja podwaja się nieustannie i dzieje się to coraz szybciej. Gnębi nas plaga, bo ludzkość sama w sobie stała się już plagą, chorobą trawiącą świat: Coraz więcej ludzi żyje coraz dłużej i jedyną odpowiedzią może być zmniejszenie liczby narodzin. Kontrolujemy śmierć, musimy zacząć kontrolować i życie.

- Wciąż nie rozumiem, jak możesz tak to widzieć, skoro ludzie myślą, że ma to coś wspólnego z zabijaniem dzieci. - Przestań wracać ciągle do zabijania dzieci! - krzyknął Sol, rzucając butem przez pokój. - W całej tej sprawie nie ma żadnych dzieci, ani martwych, ani żywych - poza tymi, które wylęgły się w głowach idiotów powtarzających coś, czego sami nie rozumieją. O obecnych się nie mówi - dodał niezbyt szczerym głosem. - Jak można zabić kogoś, kto wcale nie zaistniał? Wszyscy

jesteśmy zwycięzcami w derbach, w wyścigu o nagrodę jajnika, a jednak nigdy nie słyszałem, by ktoś płakał nad, jeśli wybaczysz mi ten biologizm, plemnikami, które w tym wyścigu przegrały.

- O czym ty mówisz, Sol?

- O wyścigach plemników. Za każdym razem, gdy ma dojść do zapłodnienia jaja, parę milionów plemników stara się tego dokonać jednocześnie. Gonią się i każdy chce być pierwszy. Z chwilą, gdy dochodzi do zapłodnienia, a wygrać może tylko jeden, reszta zostaje na lodzie. Czy ktokolwiek się nimi przejmuje? Odpowiedź brzmi: nie. Czym są wszystkie te skomplikowane kalendarzyki, spiralki, pigułki, krążki i maści używane przy zapobieganiu ciąży? Niczym innym jak środkami, które mają sprawić, że ten jeden plemnik też nie wykona swojego zadania. No i gdzie tu są dzieci? Nie widzę żadnych.

- Teraz, gdy tak to mówisz, wygląda na to, że rzeczywiście ich nie ma. Ale jeśli to jest tak proste, dlaczego nikt z tym dotychczas nic nie zrobił?

Sol westchnął głęboko, wstał, przyniósł but i powrócił do czyszczenia.

- Shirl - powiedział. - Gdybym potrafił na to odpowiedzieć, to pewnie jutro zostałbym prezydentem. Nic nigdy nie jest proste, gdy przychodzi do znajdowania takich odpowiedzi. Każdy ma własne pomysły i każdy stara się przeforsować swoje i pluje przy tym na cudze. Praktycznie na tym właśnie polega historia ludzkiej rasy. To historia najpierw wyniosła nas na szczyt rozwoju, a teraz spycha ku upadkowi. Rzecz w tym, że ludzie zniosą każdą niewygodę, zniosą śmierć dzieci, starość przed trzydziestką i inne rzeczy tak długo, jak długo będzie to stan, który znali zawsze i który był dla nich normalny. Spróbuj to zmienić, a obrócą się przeciwko tobie, nawet jeśli będą umierać, powiedzą, że co było dobre dla dziadzi, będzie dobre i dla mnie. I już, przepadło. Gdy ONZ spryskiwał w Meksyku domy DDT , by zabić przenoszące malarię moskity, a malaria była wtedy chorobą śmiertelną, to trzeba było żołnierzy, by umożliwić ekipom wejście do domów. Tubylcom nie podobało się, że ten biały proszek pobrudzi im meble. Sam to widziałem. Lecz tak wyglądało to rzadko. Nowoczesna medycyna, potrafiąca skutecznie walczyć ze śmiercią, nadeszła ukradkiem i ludzie nic o tym nie wiedzieli. Lekarstwa były coraz lepsze, woda w rurach coraz mniej skażona, społeczna służba zdrowia nie pozwalała rozprzestrzeniać się chorobom. Nikt tego nie zauważył, nadeszło niemal naturalną koleją rzeczy, a teraz mamy na świecie zbyt dużo ludzi i coś trzeba z tym zrobić. Ale zrobić coś, to znaczy uczynić wysiłek, ruszyć głową, a tego ludzie nie lubią.

- To wygląda na wtrącanie się w sprawy osobiste, Sol. Jak można powiedzieć ludziom, że nie wolno im mieć dzieci?

- Przestań! Kontrola urodzin w ogóle nie ma nic wspólnego z dziećmi, przynajmniej bezpośrednio. To tylko oznacza, że ludzie mogą dokonać wyboru, jak chcą żyć. Jak bezmyślne, kłębiące się i mnożące bez opamiętania zwierzęta czy jak istoty rozumne. Czy małżeństwo będzie miało jedno, dwoje czy troje dzieci, zależnie od tego, jaka liczba pomoże utrzymać populację na stałym poziomie i pozwoli każdemu żyć dostatnio i pełnią życia.

A jeśli tych dzieci będzie czworo, pięcioro czy sześcioro, ogłupiałych i nie zadbanych, to wychowają się w głodzie, chłodzie i beznadziei. Tak jak dzieje się to wokoło - dodał, wskazując na okno.

- Gdyby świat był taki, jak mówisz, to znaczyłoby, że każdy jest dzisiaj bezmyślnym, samolubnym draniem. To wynika z twoich słów.

- Nie, nie myślę aż tak źle o rasie ludzkiej. Po prostu, nikt im tego nigdy nie powiedział, zwierzętami się urodzili i zwierzętami umrą, przynajmniej wielu, zbyt wielu. Winić o to można parszywych polityków i tak zwanych przywódców narodu, którzy unikali kłopotliwych tematów. To była kontrowersyjna kwestia, a wystarczyło stwierdzić, że miną jeszcze cale lata zanim stanie się ona istotna. Ważne jednak było to, co mam dzisiaj i da diabła z kłopotami. I tak nim minęło stulecie, człowiek wykorzystał wszystkie rezerwy, które ta planeta gromadziła przez miliony lat i nikt nawet nie spróbował wysłuchać tych, którzy usiłowali ostrzec przed niebezpieczeństwami nadmiernej produkcji i rozpasanej konsumpcji. Byli ignorowani aż do chwili, gdy ropa się skończyła, gleba wyjałowiała i spłynęła, drzewa zostały wycięte, zwierzęta wytrzebione, ziemia zatruta, i jedyne co zostało, to siedem miliardów ludzi walczących o nędzne resztki i egzystujących jak się da, i wciąż mnożących się bez opamiętania. Tak więc mówię, że czas nadszedł, by powstać i dokonać rachunku.

Wepchnął stopę w but, wciągnął sznurówki i zawiązał je. Potem wyjął z szafy nadjedzoną przez mole górę od munduru. Na tle oliwkowoszarej zieleni widniało kilka kolorowych wstążek, pod nimi była przypięta odznaka strzelca wyborowego i znaczek szkoły technicznej .

- Musiało się skurczyć - powiedział, usiłując dopiąć się na brzuchu. Następnie owinął szyję szalem i nałożył stary, sfatygowany płaszcz.

- Dokąd idziesz? - spytała zdumiona Shirl.

- Idę wyrazić swoje zdanie, szukać guza, jak określił to nasz przyjaciel Andy. Mam siedemdziesiąt dwa lata i udało mi się dożyć do dzisiaj w dobrym zdrowiu, ponieważ zawsze trzymałem się z dala od wszystkiego, unikałem kłopotów, trzymałem gębę zamkniętą na kłódkę i nie bawiłem się w ochotnika, dokładnie tak, jak nauczyło mnie wojsko. Nie wiem, może zbyt wielu było na tym świecie takich jak ja, nie wiem, może powinienem przyłączyć się do protestu o wiele wcześniej, lecz nigdy, nigdy nie znajdowałem niczego, przeciwko czemu chciałbym protestować. Teraz jest inaczej. Dziś spotkają się siły ciemności i siły światłości. Zamierzam przyłączyć się do tych drugich.

Naciągnął na uszy wełnianą, wojskową czapkę i skierował się do drzwi.

- O czym ty mówisz, Sol? Proszę, powiedz mi, co to wszystko ma znaczyć? - błagała Shirl, nie wiedząc, czy ma śmiać się, czy płakać.

- Dziś jest wiec. Te dupki z "Chrońmy Nasze Dzieci" maszerują dziś na Ratusz, chcą obalić ustawę. Jest jeszcze drugi mityng, tych, którzy popierają ustawę, a im więcej nas będzie, tym lepiej. Jeśli dość ludzi stanie. tam i krzyknie, co myśli, to może zostaną usłyszani i może tym razem ustawa wyjątkowa przejdzie w kongresie. Może.

- Sol... - zawołała za nim, ale był już za drzwiami. Wrócił późnym wieczorem. Andy pomógł dwóm sanitariuszom dźwigać nosze po schodach. Sol był blady, nieprzytomny. Przywiązany do noszy oddychał ciężko.

- Doszło do walk ulicznych - powiedział Andy. - Niemal zamieszek Sol maszerował ze wszystkimi. Przewrócono go, ma złamane biodro. - Spojrzał na Shirl bez uśmiechu, zmęczony.

Sanitariusze stawiali nosze w pokoju.

następny

. 20 .

Woda była pokryta cienką warstewką lodu, który pękał z trzaskiem, gdy Billy zanurzał puszkę. Wchodząc na górę zauważył, że wynurzył się kolejny stopień pordzewiałych schodów. Wyczerpali już stąd sporo wody, ale zbiornik zdawał się nadal być przynajmniej w połowie pełny.

- Z wierzchu tworzy się lód, ale pewnie nie zamarznie cały aż do dna - powiedział do Piotra, zamykając i blokując drzwi. - Tam jest jeszcze cała masa wody.

Codziennie starannie mierzył jej poziom i równie starannie zamykał drzwi, zupełnie jakby były to wrota sejfu pełnego pieniędzy. Zresztą, nic w tym dziwnego, woda była ich pieniędzmi. Jak długo brakowało jej w mieście, tak długo dostawali za nią całkiem dobrą cenę, a żeby jeść i ogrzać się potrzebne były dolce.

- No i jak to widzisz, Piotrze? - spytał zawieszając puszkę nad drżącym płomykiem smrodzącego węgla morskiego. - Czy przestanie ci się wydawać, że możemy żyć samą wodą? Możemy ją przecież sprzedawać i za to kupować żywność.

Piotr siedział nieruchomo i wpatrywał się tępo w otwór drzwiowy. Nie zwrócił uwagi na Billy'ego, aż ten nie krzyknął i nie powtórzył pytania. Potrząsnął ze smutkiem głową.

- Którzy brzuch swój ponad Boga przekładają i którzy wstyd swój na chwałę pragną obrócić... - zaintonował. - Wyjaśniłem ci już, że zbliżamy się do końca wszelkich rzeczy materialnych. Jeśli pożądasz ich, będziesz zgubiony...

- A zatem i ty jesteś zgubiony? Nosisz ubranie, które kupiłem za tę wodę, jesz, co ci przyniosę. No to o co chodzi?

- Jem po to, by dotrwać do Dnia - odpowiedział szczerze, wyglądając przez próg na rozmyte, listopadowe słońce. - Już blisko, tylko parę tygodni. Aż trudno uwierzyć, że to już. Cóż za błogosławieństwo, że zdarzy się to za naszego żywota.

Dźwignął się na nogi i wyszedł. Billy usłyszał, jak schodzi na dół.

- Koniec świata - mruknął do siebie, mieszając pływające w wodzie granulki ener-G. - Głupstwa, zupełne dziwactwo.

Myśał o tym nie pierwszy raz, lecz nigdy nie wspomniał nic Piotrowi. Wszystko, co ten mówił, brzmiało jak bredzenie, ale akurat to mogło być prawdą. Piotr był w stanie przytaczać dowody z Biblii i innych ksiąg. Nie miał ich wprawdzie teraz, ale czytał je tyle razy, iż potrafił recytować cale fragmenty. Czemu nie? Czemu niby świat miałby trwać dłużej w ten sposób? Owszem, nie zawsze tak było. Billy oglądał stare filmy w telewizji, nie wszystko zmieniło się tak szybko. Nic nie przemawiało za ocaleniem takiego świata i może Piotr miał rację i dzień Nowego Roku będzie Dniem Sądu Ostatecznego...

- Dziwaczny pomysł - powiedział głośno, lecz zadrżał i przytrzymał ręce nad pełgającym płomykiem. Nie było tak źle. Miał na sobie dwa swetry i starą marynarkę z kawałkami dętki naszytymi na przetartych łokciach i było to cieplejsze niż wszystko, co nosił do tej pory. Jadali całkiem dobrze. Nabrał łyżką bulionu z ener-G i siorbnął głośno. Karty opieki społecznej kosztowały sporo zielków, lecz było warto, naprawdę było warto. Mieli i lepsze jedzenie, i przydziały wody, tak że mogli spokojnie sprzedawać swój zapas. I przynajmniej raz na tydzień udawało mu się wąchać LSD. Taki świat nie skończy się jeszcze długo. Do diabła z tym, świat nie jest taki zły, dopóki ma się oczy szeroko otwarte i umie się zadbać o swoje interesy.

Z zewnątrz doszedł brzęk metalu, to ktoś poruszył kawałkami złomu wiszącymi na nagich wręgach statku. Każdy, kto próbował wspiąć się do kabiny, musiał odepchnąć je, ostrzegając przy tym głośno o swoim nadejściu. Od czasu odkrycia wody uważali pilnie na wszystkich obcych, którzy chcieliby zająć ich miejsce. Billy podniósł łom i podszedł do drzwi.

- Przygotowałem coś do jedzenia, Piotrze - powiedział wychylając się poza krawędź pokładu.

Z dołu patrzyła na niego dziwna twarz ze szczeciniastą brodą.

- Spadaj stąd! - wrzasnął.

Mężczyzna wymamrotał coś przez ściskany w zębach stary resor samochodowy i zawisnąwszy na jednej ręce, drugą sięgnął po broń.

- Bettyjo! - krzyknął chrapliwie i Billy aż podskoczył, gdy coś świsnęło mu koło ucha i uderzyło w metalową nadbudówkę.

Poniżej, pomiędzy wręgami, stała niska, przysadzista kobieta z imponującym blond kołtunem na głowie. Billy musiał uchylić się przed kawałkiem betonu, którym w niego cisnęła.

- Dalej, Donaldzie! - piszczała. - Właź do środka! Z drugiej strony statku zaczął wspinać się jeszcze jeden mężczyzna. Był dość brudny i zarośnięty. Billy od razu zrozumiał, na czym polegał ich plan. Mógł rozwalić łeb każdemu, kto próbowałby dostać się do środka po pasku pokładu przed drzwiami, ale tylko jednemu. Nie był w stanie strzec obu burt naraz. Atakując jednego, drugiego zostawiłby w spokoju i łatwo by było go zajść od tyłu.

- Piotrze! - krzyknął tak głośno, jak potrafił. - Piotrze!

Następny kawałek betonu wyrżnął w blachę. Podbiegł do skraju wąskiej ścieżki i rzucił łomem w stronę obdartusa. Ten uchylił się i łom uderzył w sterczący nad jego głową pręt. Hałas nasunął Billy'emu pewien pomysł. Wycofał się i zaczął uderzać żelazem o nadbudówkę, aż echo poszło po stoczni.

- Piotrze! - krzyknął raz jeszcze z rozpaczą i rzucił się ku drugiemu końcowi ścieżki, gdzie jeden z mężczyzn przerzucił już ramię nad krawędzią. Widząc Billy'ego wycofał się pospiesznie poza zasięg jego łomu i tylko krzywił się drwiąco z dołu.

Billy odwrócił się. Ten którego spostrzegł najpierw, był już niemal na pokładzie i właśnie podciągał się wyżej. Krzycząc, bardziej ze strachu niż ze złości, podbiegł do niego z łomem. Musnął głowę mężczyzny i uderzył go w ramię, wytrącając mu resor z ust. Ten krzyknął wściekle, ale nie spadł. Chciał zamierzyć się do drugiego uderzenia, gdy drugi z mężczyzn zaszedł go od tyłu i złapał tak mocno, że Billy nie tylko nie mógł się ruszyć, ale z trudem łapał oddech. Ten z przodu wypluwał tymczasem resztki połamanych zębów. Krew ciekła mu po brodzie, bełkocząc coś wspiął się na górę i zaczął okładać Billy'ego twardymi jak granit pięściami. Billy zachłysnął się z bólu, usiłował wyswobodzić się, ale nie miał oparcia dla nóg, a uchwyt nie zelżał ani na chwilę. Nie było ucieczki. Obaj mężczyźni wybuchnęli śmiechem i usiłując rozewrzeć jego zaciśnięte dłonie, zaczęli spychać go z pokładu. Jeszcze chwila, a spadłby na rozciągające się dwadzieścia stóp poniżej metalowe rumowisko. Wisiał na rękach, podczas gdy oni przydeptywali snu palce; lecz nagle odskoczyli. Dopiero teraz Billy zauważył, że Piotr wrócił i właśnie wspinał się na górę, grożąc obu mężczyznom kawałkiem rury. Mając chwilę spokoju Billy przedostał się na jedną z wręg i rozpoczął mozolną wędrówkę ku niewyobrażalnie odległej ziemi. Intruzi okupowali teraz statek i mieli wyraźną przewagę. Piotr ujął upuszczony przez obdartusa resor i przyłączył się do Billy'ego w drodze na dół. Billy był cały obolały i dopiero teraz zauważył, że dokuczliwy zgiełk, który słyszał od dłuższej chwili, był potokiem słów wykrzykiwanych przez kobietę.

- Zabijcie ich obu - darła się. - On mnie uderzył, przewrócił pnie! Zabijcie ich!

Ciskała kawałkami betonu, lecz była tak opanowana wściekłością, że żaden z nich nie dolatywał do celu. Gdy zeszli na dół, oddaliła się szybko rozkołysanym krokiem, długo jeszcze rzucając przez ramię przekleństwa i trzęsąc masą żółtych włosów.

Obaj mężczyźni spoglądali na nich z góry, ale nic nie mówili. Oni z powodzeniem wykonali swoją robotę. Statek należał do nich.

- Odejdziemy - powiedział Piotr obejmując Billy'ego ramieniem i pomagając mu iść, na wszelki wypadek podpierając się jeszcze rurą. - Teras są mocni, mają statek i wodę. I są dość mądrzy, by dobrze strzec tych skarbów. Przynajmniej ta wiedźma, Bettyjo. Znam ją, to zła kobieta, która oddaje swe ciało tym dwóm, a oni robią wszystko, czego ona zażąda. Tak, to jest znak. Ona jest- nierządnicą Babilonu, która przyszła, by pozbawić nas miejsca...

- Musimy dostać się tam z powrotem - wyjąkał Billy. - ... w którym żyliśmy i pokazuje nam, że musimy udać się do jeszcze większej ladacznicy babilońskiej, tej za rzeką. Nie m a odwrotu.

Billy opadł na ziemię i ciężko łapiąc powietrze spróbował rozmasować trochę zmiażdżone palce. Piotr spokojnie spoglądał do tyłu, na statek, który był ich domem i majątkiem. Po górnym pokładzie skakały trzy małe postacie, ich radosne okrzyki dochodziły tu stłumione przez chłodny wiatr od zatoki. Billy zaczął się trząść.

- Chodź - powiedział łagodnie Piotr, pomagając mu wstać. - Nie mamy tu gdzie zostać, już tutaj nie mieszkamy. Wiem, gdzie możemy znaleźć schronienie na Manhattanie. Byłem tani już wiele razy.

- Nie chcę tam iść - stwierdził Billy, cofając się. Przypomniał sobie policję.

- Musimy. Tam będziemy bezpieczni.

Powoli poszedł za Piotrem. Czemu nie? Gliny musiały już dawno o nim zapomnieć. Może się udać, szczególnie, jeśli Piotr zna jakieś miejsce. Jeśli zostanie tutaj, to będzie musiał radzić sobie sam. Lęk przed samotnością był większy niż obawa przed policją. Wszystko będzie dobrze, jak długo będą trzymać się razem.

Byli w połowie Manhattan Bridge, gdy Billy zorientował się, że jedna z kieszeni jego okrycia została rozdarta w walce.

- Poczekaj! - zawołał do Piotra poruszony straszliwym przeczuciem. - Poczekaj! - Gorączkowo przeszukiwał ubranie. - Nie ma - powiedział w końcu, opierając się o barierkę. - Karty opieki społecznej. Musiały wypaść mi podczas walki. Chyba, że ty je masz?

- Nie, jak pamiętam, ty brałeś je wczoraj, gdy szedłeś po wodę. Ale to nieistotne.

- Nieistotne! - załkał Billy.

Byli sami na moście. Ciemnoszara woda harmonizowała z ołowianymi chmurami gnanymi przez lodowaty wiatr targający im ubrania. Bolesna, zimowa samotność. Było zbyt zimno, by tu zostać i Billy ruszył za Piotrem.

- Dokąd idziemy? - spytał, gdy zeszli już z mostu i skręcili w Division Street. W tłumie zdawało się trochę cieplej. Zawsze czuł się lepiej, gdy ludzie byli wokoło.

- Na parkingi. Wszędzie jest ich duże, szczególnie w pobliżu osiedli mieszkaniowych.

- Zgłupiałeś? Na parkingach jest fuli. Nigdy nie było inaczej .

- Nie o tej porze roku - odpowiedział Piotr, wskazując na pełen brudnego lodu rynsztok. - Na parkingach nigdy nie żyje się łatwo, a o tej porze roku jest szczególnie ciężko, zwykle za ciężko dla ludzi starszych i inwalidów.

Wypełnione samochodami ulice miasta Billy widział tylko w telewizji. Dla niego była to historia, pozbawiony wartości fakt, z którego nic nie wypływało. Parkingi natomiast znał dobrze. Istniały zawsze, jak daleko sięgnął pamięcią; stały, rozkładający się z wolna element krajobrazu. Gdy ruch zmniejszał się i samochody stawały się coraz rzadsze, setki rozsianych po mieście parkingów stały się nikomu niepotrzebne. Stopniowo wypełniały się porzuconymi wozami, niektórymi ściągniętymi przez policję, innymi dopchniętymi przez właścicieli. Każdy był teraz małą wioską, w każdym samochodzie mieszkali ludzie. Nie było to wygodne lokum, ale jeśli alternatywą była ulica... Zwykle nie można było znaleźć pustych wozów, pojawiały się dopiero zimą, gdy starsi i słabsi umierali.

Najpierw skierowali się na wielki parking za Seward Park Houses, lecz zostali przegnani stamtąd przez bandę nastolatków uzbrojonych w odłamki cegieł i noże domowej roboty. Idąc po Madison Street ujrzeli, że siatka ogradzająca mały parking obok La Guardia Hauser została już dawno obalona, a sam plac pełen jest pordzewiałych i pozbawionych kół wraków. Nie dostrzegli żadnych agresywnie zachowujących się wyrostków, w okolicy włóczyło się tylko kilka osób o pozbawionym nadziei spojrzeniu. Większość samochodów była zaopatrzona w kominy, ale tylko z jednego unosił się dym. Kluczyli pomiędzy wrakami zaglądając przez szyby do środka, wydrapując wzierniki w pobielonych przez mróz oknach. Napotykali białe twarze ludzi, którzy spoglądali na nich jak duchy, czasem tylko coś poruszyło się w środku. Szukali dalej wytrwale.

- To może się nadać - Billy wskazał w końcu na przysadzistego buicka-turbine, sedan z obręczami hamulcowymi do połowy zagrzebanymi w ziemi. Okna były z obu stron pokryte szronem. Spróbowali otworzyć drzwi, ze środka odpowiedziała im cisza..

- Zastanawiam się, gdzie tu jest wejście - powiedział Billy i wspiął się na górę. Ponad przednim siedzeniem zamontowany był otwierany dach, który poruszył się trochę, gdy Billy naparł. - Daj rurę to może być to - zawołał do Piotra.

Podważona pokrywa odsunęła się. Szare światło dnia wdarto się do środka, ukazując wytrzeszczone oczy i twarz starszego mężczyzny. W jednej ręce ściskał złowrogo wyglądającą pałkę, pręt owinięty węźlastym kablem, między który były wplecione ostre odłamki szkła. Mężczyzna był martwy.

- To musiał być naprawdę ktoś, jeśli zdołał zatrzymać taki samochód tylko dla siebie - rzekł Billy.

Owszem, mężczyzna był kimś - wielki i sztywny sprawił im wiele kłopotu, nim zdołali wyciągnąć go przez otwór. Nie potrzebowali brudnych szmat, w które był

owinięty, wzięli jedynie jego karty opieki społecznej. Piotr odciągnął zwłoki na ulicę, .gdzie powinni je znaleźć śmieciarce, Billy tymczasem czekał w samochodzie, patrząc na zewnątrz i rozglądając się pilnie wokoło, z patką ściśniętą w garści, gotów użyć jej jako argumentu w rozmowie z każdym, kto miałby ochotę zająć ich nowy dom.

następny

. 21 .

- Nie do wiary, postarali się - powiedziała Mrs Miles, czekając wraz z Shirl przy długim kontuarze i patrząc jak urzędnik podaje Shirl mały pakunek. - Masz kogoś chorego w rodzinie?

- A gdzie stare opakowanie, proszę pani? - spytał urzędnik ze skargą w głosie. - Wie pani, że bez zwrotu starego nie mogę pani niczego wydać. I trzy dolary.

- Przepraszam - Shirl wyjęła z torby zmiętą plastikową torbę i wręczyła mu ją wraz z pieniędzmi. Pomamrotał jeszcze coś pod nosem i odhaczył coś na jednej ze swoich licznych tablic.

- Następny - zawołał.

- Tak - powiedziała Shirl do Mrs Miles, która wpatrywała się w pakunek i powoli, ruszając ustami, odcyfrowywała nadruk. - Sol miał wypadek. To staruszek, który dzieli z nami mieszkanie, ma już ponad siedemdziesiątkę. Złamał biodro i nie może wstawać z łóżka, to dla niego.

- Płatki mięsne, brzmi przyjemnie - stwierdziła Mrs Miles, oddając Shirl paczkę i wodząc za nią oczami, aż nie zniknęła w torbie. - Jak je przyrządzasz?

- Różnie można, ale ja przygotowuję gęstą zupę z pokruszonymi sucharami. Sol nie może siedzieć, a zupę je się łatwiej.

- Ktoś taki jak on powinien być w szpitalu, szczególnie jeśli jest stary.

- Był w szpitalu, ale gdy tylko się dowiedzieli, że ma gdzie mieszkać, zaraz skontaktowali się z Andym, by zabrał go do domu. Nie mają miejsca i pozbywają się kogo tylko mogą. Bellewe jest pełne i musieli wynająć pomieszczenia w Peter Cooper Village, dostawiają łóżka gdzie się da, ale wciąż za mało. - Shirl zorientowała się nagle, że Mrs Miles była dzisiaj jakaś inna. Po chwili już wiedziała. Po raz pierwszy nie miała ze sobą chłopca. - A jak Tommy, pogorszyło mu się?

- Ani lepiej, ani gorzej. Kwash się nie zmienia i to nawet dobrze, bo dostaję dzięki temu dodatkowe racje - wskazała na wystający z torby plastikowy kubek z odrobiną masła orzechowego. - Tommy musi w taką pogodę zostać w domu, nie mam w co ubrać wszystkich dzieciaków, szczególnie że Winny chodzi teraz do szkoły. Bystra dziewczynka, pewnie skończy całe trzy klasy. Dawno nie widziałam cię w kolejce po wodę.

- Teraz chodzi Andy, ja muszę zostawać z Solem. - Masz szczęście, że jest u ciebie ktoś chory w domu. Możesz przychodzić tu po dodatkowe przydziały. Dla reszty będą tej zimy tylko suchary i woda. Bez dwóch zdań.

Szczęście? - pomyślała Shirl, zawiązując chustkę pod brodą i rozglądając się po mrocznym i obskurnym pokoju Sekcji Przydziałów Specjalnych Opieki Społecznej. Kontuar rozdzielał go na połowę, z rzędami niemal pustych półek po jednej stronie i kolejkami po drugiej. Byli tu chorzy ze ściągniętymi twarzami i trzęsącymi się rękami oraz ci, którzy potrzebowali specjalnej diety: diabetycy, inwalidzi, ofiary awitaminozy i liczne kobiety w ciąży. Czy wyglądali na szczęściarzy?

- Co robisz jutro na obiad? - spytała Mrs Miles, usiłując przez zarosłe brudem okno dojrzeć niebo na zewnątrz

- Nie wiem, pewnie to samo co zwykle. Czemu pytasz?

- Chyba będzie padał śnieg. Możemy mieć białe Święto Dziękczynienia, tak jak zdarzało się to, gdy byłam małą dziewczynką. Ja podam rybę, długo na nią oszczędzałam. Jutro jest wtorek, dwudziesty piąty listopada. Nie pamiętałaś?

Shirl potrząsnęła przecząco głową.

- Nie, odkąd Sol zachorował wszystko wywróciło się do góry nogami.

Ruszyły w drogę powrotną nisko opuszczając głowy, by uchronić twarze przed uderzeniami wiatru. Gdy skręciły za róg Dziewiątej Alei Shirl wpadła na kogoś idącego z przeciwka.

- Przepraszam - powiedziała Shtrl. - Nie widziałam .

- Ślepa jesteś - warknęła postać kobiecym głosem. - Jak można włazić na ludzi... - spojrzała na Shirl i nagle jej oczy rozszerzyły się. - To ty!

- Powiedziałam, że przepraszam, Mrs Haggerty. To było niechcący - chciała iść dalej, ale kobieta stanęła jej na drodze.

- Wiedziałam, że cię znajdę - powiedziała triumfalnie Mrs Haggerty. - Zamierzam podać cię do sądu. Ukradłaś wszystkie pieniądze mojego brata i nic dla mnie nie zostało, zupełnie nic. I jeszcze przysłali mi do zapłacenia rachunki za wodę i za wszystko. Są tak wysokie, że musiałam sprzedać wszystkie meble, a jeszcze łażą za mną, że to za mało. Ty je zapłacisz!

Shirl przypomniała sobie, ile razy Andy brał prysznic i coś z tej myśli musiało odbić się na jej twarzy, gdyż krzyk Mary Haggerty urósł do przenikliwego pisku.

- Nie śmiej się ze mnie! Jestem uczciwą kobietą! Szmata taka jak ty, nie powinna stać sobie, ot tak, w miejscu publicznym i śmiać się ze mnie! Cały świat wie, kim jesteś, ty...

Głos umilkł nagle ucięty głośnym klaśnięciem, to Mrs Miles wymierzyła jej policzek.

- Licz się ze słowami, zdziro - powiedziała Mrs Miles. - Nikt nie będzie obrażał mojej przyjaciółki.

- Pani nie ma prawa!

- Nie szkodzi, jeśli jeszcze raz zobaczę, że kręcisz się w okolicy, to znów ci przyłożę.

Obie kobiety stanęły naprzeciwko siebie, mierząc się wzrokiem i obie zapomniały na chwilę o Shirl. Były w podobnym wieku, pędziły podobny tryb życia, chociaż Mary Haggerty poznała trochę świata, zanim wyszła za mąż. Wyrosła. jednak na ulicy i znała prawa, którymi ta się rządziła. Miała do wyboru - albo walczyć, albo zaraz wycofać się.

- To nie twoja sprawa - powiedziała.

- Sama decyduję, która sprawa jest moja, a która nie - Mrs Miles powoli ścisnęła dłoń w pięść i cofnęła ją jakby dla nabrania rozmachu.

- To nie twój interes - stwierdziła siostra Mike'a, ale wycofała się kilka kroków.

- Spadaj - rzuciła triumfalnie Mrs Miles.

- Jeszcze wam pokażę! - zawołała Mrs Haggerty przez ramię, oddalając się i zbierając strzępki swej godności. Mrs Miles roześmiała się zimno i splunęła za odchodzącą.

- Przepraszam, że zostałaś w to wplątana - powiedziała Shirl.

- Cała przyjemność po mojej stronie. Szkoda, że do niczego nie doszło. Walnęłabym ją. Znam takie jak ona.

- Tak naprawdę nie jestem jej winna żadnych pieniędzy...

- A kogo to obchodzi? Nawet szkoda, że nie jesteś, tak byłoby zabawniej.

Mrs Miles pożegnała się z nią przed bramą i krocząc pewnie zniknęła za , rogiem. Poczuwszy się nagle słabo, Shirl wspięła się na schody i weszła przez nie zamknięte na klucz drzwi.

- Wyglądasz na wykończoną - powiedział Sol na jej widok. Cały, prócz twarzy, był owinięty kocami; wełnianą czapkę naciągnął aż na uszy. - Wyłącz to coś, dobrze? Trudno powiedzieć, czy najpierw od tego oślepnę, czy ogłuchnę.

Shirl odstawiła torbę i wyłączyła świecący jaskrawo telewizor.

- Zaczyna się robić zimno na dworze - powiedziała. - Tutaj też jest już chłodno. Rozpalę ogień i podgrzeję ci przy okazji trochę zupy.

- Żadnych więcej płatków mięsnych, to "gówno" - stwierdził tonem żałosnej skargi i zrobił obrażoną minę.

- Nie powinieneś tak mówić - stwierdziła cierpliwie Shirl. - To prawdziwe mięso, dokładnie to, czego ci potrzeba.

- Tego, czego potrzebuję, to już nie ma. Czy wiesz z czego są te płatki mięsne? Słyszałem wszystko dziś w telewizji, nie żebym chciał, ale jak miałem wyłączyć to cholerstwo? Rozpoczęto kosztowny program zagospodarowywania dzikich obszarów Florydy. Jakie tam zresztą dzikie tereny, powinni usłyszeć to ci z Miami Beach. Dali sobie spokój z osuszaniem bagien i zamiast tego kombinują teraz różne dziwne rzeczy. Fermy ślimaków, jak ci się to podoba? Hodują tam wielkie, zachodnioafrykańskie ślimaki, trzy czwarte funta mięsa w każdej skorupie. Patroszy się je, odwadnia, tnie, napromieniowuje, pakuje i w tym stanie głodującym chłopakom na zimnej północy. Płatki mięsne. No i co o tym myślisz?

- Brzmi nieźle - rzekła Shirl, wrzucając do rondla z wodą płatki przypominające kawałki drewna. - Widziałam raz w telewizji, jak jedli ślimaki, to chyba było we Francji. Podobno uważają je tam za nie lada przysmak.

- Dla Francuzów to może i jest przysmak, ale nie dla mnie... - Sol rozkaszlał się, a gdy atak minął, przez dłuższą chwilę leżał blady i nie poruszał się, tylko ciężko oddychał.

- Chcesz trochę wody do popicia?

- Nie, już w porządku. - Wzburzenie przeszło mu wraz z kaszlem. - Przepraszam, że wyładowuję się na tobie, dziecko, dbasz o mnie i w ogóle. Nie przywykłem po prostu do takiego wylegiwania się. To że przez całe życie utrzymywałem dobrą sylwetkę, to wynik regularnych ćwiczeń, ot co, trzeba dbać o siebie samemu, a nie prosić o to innych. Lecz niektórych rzeczy powstrzymać się nie da - opuścił głowę i spojrzał ponuro na koce. - Lata lecą i kości stają się kruche. Wystarczy upaść i już pakują cię w gips aż po brodę.

- Zupa gotowa...

- Nie teraz, nie jestem głodny. Może jednak włączyłabyś telewizję, chociaż nie, zostaw, dość tego. W wiadomościach podali, że ustawa wyjątkowa będzie miała

szanse przejść dopiero po paru miesiącach bełkotu w kongresie. Nie wierzę w to. Zbyt wielu ludzi nic o niej nie wie, zbyt wielu ona nie obchodzi więcej niż zeszłoroczny śnieg. Brak jakiegoś sensownego nacisku na kongres, a bez tego ani rusz. Dalej będziemy mieli w tym kraju kobiety z dziesięciorgiem głodujących dzieci, uważające posiadanie mniejszej rodziny za coś podejrzanego lub złego. Tak, to pewnie głównie wina katolików. Wciąż zachowują się, jakby nie byli przekonani, że kontrola urodzin może przynieść coś dobrego..

- Sol, proszę, nie bądź antykatolicki. Rodzina mojej matki...

- Nie jestem antyżaden i kocham rodzinę twojej matki. Czy jeśli powiem, że Matka Cotton była, zdziwaczałą starą idiotką z bzikiem na punkcie palenia czarownic, która osobiście pomagała oprawiać starsze panie, to będzie znaczyło, że jestem przeciwko purytanom? To historia. Twój Kościół prowadził od lat kampanię przeciwko jakiejkolwiek społecznej akceptacji kontroli urodzeń. Ale to też już historia. A dowody na to, że Kościół się mylił, mamy za oknem. Zmusili całą resztę społeczeństwa, by przyjęła ich sposób myślenia i przekonania, i teraz wszyscy razem pójdziemy do diabła...

- Nie jest tak źle. Kościół nie jest w zasadzie przeciwko samej idei kontroli urodzin, ale przeciwko sposobowi, w jaki się to robi. Zawsze aprobował kalendarzyk...

- To nie jest szczególnie dobra metoda. Pigułki też są zawodne i nie nadają się dla wszystkich. Kiedy wreszcie zgodzą się na złoty krążek. To jedyny naprawdę skuteczny sposób. Czy wiesz, od jak dawna istnieje on jako absolutnie bezpieczny w użyciu i nieszkodliwy i tak dalej? Od sześćdziesiątego czwartego, gdy paru bystrych chłopaków z John Hopkins rozwiązało problem efektów ubocznych. Od trzydziestu pięciu lat mamy już ten mały kawałek plastiku, który kosztuje raptem parę centów. Raz umieszczony, może zostać tam przez lata i nie zakłóca żadnych procesów życiowych. Nie wypada i kobieta nie czuje nawet, że tam jest, ale jak długo jest, tak długo nie zachodzi w ciążę. Wystarczy go wyjąć i może znowu mieć dzieci. Najśmieszniejsze w tym wszystkim jest to, że nikt naprawdę nie wie, jak to działa. Może gdyby była to tajemnica przez duże T, to cały ten twój Kościół zaakceptowałby wreszcie tę metodę, uznając jej skuteczność za objaw woli boskiej.

- Zaczynasz bluźnić, Sol!

- Ja? Nigdy! Mam takie samo prawo, by próbować odgadnąć zamysły Boga, jak każdy. A tak naprawdę, to nie mam z Nim nic wspólnego. Usiłuję po prostu znaleźć jakiś punkt zaczepienia, który Kościół katolicki mógłby wykorzystać, by zaakceptować wreszcie ów wynalazek i ulżyć cierpiącej ludzkości.

- Rozważają to teraz.

- Wspaniale. Tyle że o prawie trzydzieści pięć lat za późno. Może zresztą byliby w stanie coś jeszcze zdziałać, chociaż ja w to wątpię. Jak zwykle, coś dzieje się za późno, czegoś jest za mało. Świat nie kończy się, on już się skończył i to my sami do tego doprowadziliśmy, własnoręcznie podcinając naszą gałąź.

Shirl zamieszała zupę i uśmiechnęła się do niego.

- Nie przesadzasz jednak trochę? Nie można wszystkiego zwalać na przeludnienie.

- Można, do zardzewiałej rury nędzy, jeśli wybaczysz mi to wyrażenie. Węgiel, który miał starczyć na całe stulecia, został wybr~,y ido końca, ponieważ masa ludzi chciała się ogrzać. Pódobnie jest z ropą.'Zostało jej tak mało, że nikogo nie stać na to, żeby ją spalać. Przetwarza się ją na chemikalia, plastiki i żarcie. A rzeki, kto je zatruł? Woda, kto ją wypił? Gleba, kto ją wyjałowił i zniszczył? Co tylko się dało, vc~szystko zostało zdarte, zużyte, wyczerpane. Zostało nam tylko jedno źródło surowców, dla nas naturalnych, parkingi pełne starych samochodów. Nie ma już niczego innego i wszystko czym możemy się pochwalić jako dorobkiem, to parę miliardów rdzewiejących wozów. Kiedyś cały świat był nasz, ale zjedliśmy i wypaliliśmy go i teraz go już nie mamy. Kiedyś prerie były czarne od bizonów, przynajmniej tak uczyli mnie w szkole, lecz nigdy ich nie widziałem. Wszystkie zostały zamienione w befsztyki i żer dla moli. Czy sądzisz, że zrobiło to na rasie ludzkiej jakieś wrażenie? Albo wieloryby, gołębie wędrowne lub rozkrzyczane żurawie, czy jakiekolwiek inne z setek wymazanych już z powierzchni ziemi stworzeń. Czy ich zagłada obeszła kogokolwiek? To proste jak świński ogon. W latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych wiele mówiło się o budowaniu instalacji zasilanych energią atomową, zdolnych oczyszczać wodę morską. Pustynie miały rozkwitnąć i w ogóle miało być inaczej. Skończyło się na gadaniu. To, że kilku ludzi dostrzegło zagrożenie, to było za mało, nie byli w stanie przekonać do tego innych. Zbudowanie jednej siłowni z elektrownią trwa .przynajmniej pięć lat, tak zatem te, które miałyby dostarczyć nam wody i elektryczności teraz, powinny zostać wybudowane wtedy. Nie zostały. To proste.

- Upraszczasz to Sol, ale czy nie sądzisz, że jest już za późno, by mówić dzisiaj o tym, co ludzie powinni byli zrobić sto lat temu?

- Nie sto, tylko czterdzieści, ale i tak, kto by liczył.

- A co możemy zrobić dzisiaj? Czy to nie o tym trzeba gam myśleć?

- O tym to już ty pomyśl, kochana. Mnie krew zalewa, gdy próbuję. Biegnij do przodu, jak tylko szybko możesz, by pozostać w miejscu i krzyżuj palce. To jedyne co można dziś zrobić. Może ja żyję przeszłością, ale jeśli tak, to mam po temu swoje powody. Wszystko wyglądało wtedy o wiele lepiej, kłopoty były daleko i myślało się, do diabła z nimi. Była kiedyś Francja, wielki, nowoczesny kraj, kolebka kultury, gotowa, by poprowadzić świat w świetlaną przyszłość. Tyle tylko, że ich prawo czyniło kontrolę urodzeń nielegalną i nawet rozmowa o antykoncepcji, jeśli brał w niej udział lekarz, mogła zostać uznana za zbrodnię. Postęp! Wszystko było od dawna widać jak na dłoni, trzeba było tylko chcieć to zauważyć. Konserwatyści powtarzali nam ciągle, byśmy zmienili nasz sposób życia albo wkrótce już zostaniemy bez surowców. I te wyczerpały się. Jest już zatem prawie za późno, ale coś jeszcze ciągle można zrobić. Kobiety w każdym kraju na świecie błagały o informacje, jak zapanować nad liczbą potomstwa, tak by mogły ograniczać rozmiary swoich rodzin do czegoś sensownego. Ale wszystko, co otrzymywały, to masa czczego gadulstwa i cholernie mało działania. Nawet gdyby w każdym z tych krajów było pięć tysięcy ośrodków planowania rodziny, to wciąż nie byłoby dość. Dzieci, miłość, seks to prawdopodobnie najbardziej emocjonalnie traktowane i osobiste sprawy znane rodzajowi ludzkiemu. A zatem otwarte dyskusje były prawie niemożliwe. A powinno ich być jak najwięcej, powinno przeznaczać się tony pieniędzy na badania nad

płodnością, powinien istnieć ruch planowania rodziny obejmujący cały świat. Potrzeba programów edukacyjnych jasno wykładających konieczność kontroli rozmiarów populacji, a przede wszystkim, potrzeba wolnego prawa gwarantującego możliwość wygłaszania takich opinii. Ale tego nie było nigdy i teraz mamy rok tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąty dziewiąty, koniec stulecia. Też mi stulecie! Cóż, za parę tygodni nadejdzie następny wiek i może będzie to naprawdę nowe stulecie dla bezwładnej, zdechłej rasy ludzkiej. Ja w to wątpię, lecz wcale się tym nie martwię. Mnie już tu nie będzie i nie będę tego oglądał.

- Nie powinieneś tak mówić, Sol.

- Czemu nie? Na moją chorobę nie ma lekarstwa. To po prostu wiek.

Znów się rozkaszlał i tym razem trwało to dłużej, potem leżał wyczerpany atakiem. Shirl podeszła poprawić koce i przypadkiem dotknęła jego dłoni.

- Jesteś rozgrzany, wręcz gorący! - była zdumiona i przerażona. - Masz gorączkę?

- Gorączkę? - lecz kaszel nie pozwolił mu mówić dalej. Gdy znów się odezwał, jego głos był cichy. - No i popatrz, kochana, jaki ze mnie wygodnicki. Leżę sobie rozwalony na łóżku, zakuty w gips, nie mogę się poruszyć i jest tutaj tak zimno, że piekło dawno by zamarzło. Powinienem dostać przynajmniej odleżyn, ale są szanse na coś lepszego. Wszystko wskazuje na to, że mam zapalenie płuc.

- Nie!

- Tak. Nie trzeba się bać spojrzeć prawdzie w oczy. Jeśli mam to zapalenie, to je mam. A teraz bądź grzeczną dziewczynką i zjedz zupkę. Ja nie jestem głodny, zdrzemnę się trochę. - Zamknął oczy i poprawił głowę na poduszce.

Było już po siódmej wieczorem, gdy Andy wrócił do domu. Shirl poznała jego kroki na korytarzu i powitała go przykładając palec do warg, potem poprowadziła cicho do drugiego pokoju, po drodze wskazując na wciąż śpiącego i z wysiłkiem oddychającego Sola.

- Jak on się czuje? - spytał Andy rozpinając przemoczone palto. - Co za noc, deszcz i śnieg, i wszystko.

- Ma gorączkę - powiedziała Shirl splatając palce.

- Mówi, że to zapalenie płuc. Czy to możliwe? Co możemy zrobić?

Andy zamarł z dłońmi jeszcze w rękawach.

- Bardzo jest rozgrzany? Kaszlał?

Shirl przytaknęła.

Andy otworzył drzwi i wsłuchał się w oddech Sola. Gdy je zamknął, nałożył z powrotem płaszcz.

- Ostrzegali mnie przed tym w szpitalu. Starzy ludzie są na to szczególnie podatni, gdy zdarzy im się leżeć długo w łóżku. Dali mi trochę antybiotyków, podasz mu je, a ja tymczasem zajrzę do Bellewe i dowiem się, czy nie mogliby go znów przyjąć. Może przynajmniej dadzą mi więcej proszków. Powinien leżeć pod namiotem tlenowym.

Sol z trudnością dobudził się na tyle, by przełknąć tabletki. Skórę miał rozpaloną. Shirl, która podtrzymywała mu głowę, wydało się, że parzy. Gdy godzinę później wrócił Andy, Sol znów spał. Twarz Andy'ego była bez wyrazu, trudna do przeniknięcia. Tak właśnie, według Shirl, powinna wyglądać twarz zawodowego policjanta. Teraz mogło to znaczyć tylko jedno.

- Nie mają już antybiotyków - wyszeptał. - Epidemia grypy . To samo jest z namiotami tlenowymi i łóżkami. Wszystko zajęte. Nie widziałem nawet żadnego lekarza, znalazłem tylko jakąś dziewczynę w recepcji.

- Oni nie mogą tego zrobić. On jest bardzo chory, to jak morderstwo.

- Gdybyś zajrzała to Bellewe, to znalazłabyś tam połowę miasta: Jest masa chorych, tłoczą się nawet na ulicy przed szpitalem Nie ma już lekarstw. Mam nadzieję, że chociaż dzieci coś dostają. Wszyscy inni muszą po prostu liczyć na szczęście.

- Szczęście! - wtuliła się w jego wilgotny płaszcz i rozpłakała bezradnie. - Ale on nie ma żadnej szansy. To morderstwo! On jest za stary, by mógł zostać sam. Potrzebuje pomocy, nie można go zostawić, by umarł.

- Jeszcze my jesteśmy - objął ją. - Możemy się nim opiekować. Mam jeszcze cztery tabletki. Zrobimy co tylko w naszej mocy. A teraz chodź i połóż się. Jeśli nie zaczniesz dbać o siebie, to też zachorujesz.

następny

. 22 .

- Nie Rusch, to niemożliwe. Nie da się zrobić. Powinieneś uświadomić to sobie, zanim mnie zapytałeś - porucznik Grassioli przyciskał kciukiem powiekę, która mimo to nie chciała się uspokoić.

- Przepraszam, poruczniku - powiedział Andy. - Ale nie proszę dla siebie. To sprawa rodzinna. Jestem już na służbie od dziewięciu godzin, będę brał podwójne godziny przez resztę tygodnia...

- Funkcjonariusz policji jest na służbie dwadzieścia cztery godziny na dobę.

- Wiem o tym, sir - Andy starał się zachować zimną krew. - Nie próbuję się wykręcić.

- Nie. Tyle na ten temat.

- A zatem proszę dać mi przynajmniej pół godziny. Chcę tylko skoczyć do domu, potem zamelduję się z powrotem. Mogę pracować aż do rana. Tak czy inaczej, po północy zabraknie panu ludzi, a jeśli zostanę, będę w stanie skończyć te meldunki, których Centre Street domaga się od tygodnia.

To oznaczało całą dobę pracy bez odpoczynku, ale to był jedyny sposób, by skłonić Grassy'ego do jakiegokolwiek ludzkiego gestu. Porucznik nie miał prawa nakazać mu pracować aż tyle, poza sytuacją oficjalnie wyjątkową, lecz mógł przyjąć ofiarowaną pomoc. Większość składu detektywów znów była wyłączona w związku z zamieszkami, a zatem rutynowa praca leżała odłogiem. Kwatera Główna przy Centre Street nie uważała tego za istotne usprawiedliwienie.

- Nigdy nie żądam od nikogo dodatkowych służb - powiedział Grassioli łapiąc przynętę. - Ale uznaję fair play, coś za coś. Możesz wyjść teraz na pół godziny, ale nie więcej, rozumiesz? Gdy wrócisz, zabierzesz się za to wszystko. Jeśli chcesz zostać po godzinach, to twoja sprawa.

- Tak, sir - powiedział Andy. - Moja sprawa. Będę tu jeszcze siedział, gdy słońce wzejdzie.

Deszcz, który padał przez ostatnie trzy dni, przeszedł w śnieg. Duże płatki szybowały cicho w kręgach światła latarń Dwudziestej Trzeciej Ulicy. Było mało przechodniów, ale u podstaw filarów estakady wciąż kuliły się ciemne postacie. Większość mieszkańców ulicy poszukała sobie schronienia i chociaż nie rzucali się w oczy, było ich przerażająco dużo - wraz z innymi cisnęli się teraz w przepełnionych do ostateczności budynkach. Każda ściana skrywała setki ludzi, którzy pojawiali się tylko czasem jako mroczne zarysy postaci w drzwiach lub cienie na oknach. Andy pochylił głowę, by osłonić twarz przed śniegiem i ruszył szybciej. Niepokój gnał go do przodu, aż zdyszany musiał zwolnić.

Shirl chciała, by został do rana;, lecz nie miał wyboru. Stan zdrowia Sola nie poprawiał się, chociaż przez ostatnie trzy dni również się nie pogorszył. Andy chciałby zostać z nim, pomóc Shirl, ale był bezsilny. Służba to służba, nawet jeśli Shirl tego nie rozumiała i powodowane tym sprzeczki nie ustawały. Ostatnio kłócili się szeptem, tak by Sol nie słyszał. Miał nadzieję wrócić wcześniej, rozruchy pokrzyżowały mu plany. Teraz mógł przynajmniej zajrzeć tam, porozmawiać z obojgiem, zobaczyć, czy nie mógłby w czymś być pomocny. Widział, że Shirl nie było łatwo - zostawała sama ze staruszkiem, ale co mógł poradzić?

Zza wszystkich drzwi w korytarzu dochodziła muzyka i śmiech z telewizorów, lecz ich mieszkanie było ciche. Poczuł nagłe, zimne ukłucie niepokoju. Przekręcił klucz w zamku i cicho otworzył drzwi. W pokoju było ciemno. - Shirl? - wyszeptał. - Sol?

Nikt mu nie odpowiedział. W panującej tu ciszy było coś dziwnego - brakowało chrapliwego oddechu Sola. Oświetlił latarką łóżko, odnajdując nieruchomą, bladą twarz. Wyglądał, jakby spał, może i spał przedtem, ale Andy wiedział, zanim jeszcze dotknął palcami jego skóry, że będzie ona zimna i że Sol nie żyje.

O Boże, pomyślał. Ona była tu z nim sama, w ciemności, gdy umierał.

Nagle zdał sobie sprawę z dochodzącego zza przepierzenia niemal niesłyszalnego, żałosnego łkania.

następny

. 23 .

- Nie chcę o tym więcej słyszeć! - krzyknął Billy, lecz Piotr jakby go nie usłyszał, leżał obok i nie zwracając na nic uwagi mówił dalej:

- ... i ujrzałem nowe niebo i nową ziemię, albowiem pierwsze niebo i pierwsza ziemia przeminęły, i morza już nie ma. Tak jest napisane w objawieniu, to jest prawda, trzeba tylko jej wysłuchać. Dla nas to objawienie, wizja jutra...

- ZAMKNIJ SIĘ!

Lecz nie odniosło to żadnego skutku. Monotonny głos ciągnął dalej swoje na tle wycia wiatru szarpiącego starymi wrakami i wciskającego się w każdą dziurę i szparę. Billy naciągnął na głowę róg brudnego okrycia, ale osiągnął tylko tyle, że nie miał czym oddychać. Zsunął koc i zapatrzył się w szarą ciemność kabiny. Próbował ignorować Piotra. . Po usunięciu siedzeń samochód stał się nawet dość obszerny. Sypiali obok siebie na podłodze, ogrzewając się kocem z podartej azbestowej przegrody ogniowej i pokruszonymi okryciami zdartymi z siedzeń; to co je wypychało było teraz ich posłaniem. Nagle zaleciało jodyną i dymem, gdy wiatr zapędził się do rury wydechowej używanej jako komin i zamieszał spoczywające w bagażniku

popioły. Bagażnik świetnie nadawał się na palenisko, niemniej ostatni kawałek węgla morskiego spalili już tydzień temu.

Zasnął, lecz nie miał pojęcia jak długo spał, gdy znów obudził go jednostajny głos Piotra. Był już pewien, że Piotr oszalał, mówił ciągle do siebie. Billy'ego dusiła ciasnota tego brudnego, śmierdzącego pomieszczenia, potoki wwiercających się w uszy słów były nie do zniesienia. Podniósł się na kolana i odkręcił o cal tylne okno, przysunął usta do szczeliny i zaczerpnął głęboko świeżego, chłodnego powietrza. Coś mokrego spadło mu na wargi. Pochylił głowę i wyjrzał. W polu widzenia przepływały białe płatki śniegu.

- Wychodzę - powiedział zamykając okno, lecz Piotr nie zareagował. - Wychodzę. Tu śmierdzi. - Wziął ponczo zrobione z tapicerki przedniego siedzenia buicka, nałożył je przez głowę i owinął się fałdami. Otworzył tylne drzwi; do środka wpłynął leniwy tuman śniegu. - To miejsce śmierdzi, ty śmierdzisz, a w ogóle to chyba zwariowałeś. - Billy wygramolił się na zewnątrz i zatrzasnął drzwi.

Śnieg padając na ziemię, topniał, lecz na karoseriach z wolna gromadziły się białe poduchy. Zaczerpnął z dachu wozu pełną garść i włożył ją do ust. Nic nie poruszało się w ciemności i noc, prócz cichego szmeru padających płatków, była cicha. Klucząc pomiędzy wrakami wszedł na Canal Street i skręcił na zachód, idąc wzdłuż Hudsonu. Ulice były dziwnie puste, musiało być bardzo późno, minęła go tylko przypadkowa riksza; skrzypienie i szum opon słyszalne były bardzo długo. Potem pojawił się jeszcze konwój platform. Stanął tyłem do jezdni i za patrzył się w okno Bowery, gdy przejeżdżały obok ze strażnikami idącymi po obu stronach. Ci, którzy je ciągnęli, zgięci byli wpół z wysiłku. To musi być coś cennego, pomyślał Billy, pewnie żywność. Pusty żołądek skurczył się boleśnie na samo wspomnienie jedzenia i Billy rozmasował go dłonią. Nie jadł nic od dwóch dni. Było coraz więcej śniegu; przechodząc obok żelaznego ogrodzenia zebrał go dość, by ulepić kulę, którą wepchnął do ust. Doszedłszy do Elizebeth Street zerknął na zegar na frontonie budynku Chinese Community Center. Wskazówki były ledwo widoczne, lecz dostrzegł, że minęła dopiero trzecia. To znaczyło, że ma jeszcze do dyspozycji przynajmniej trzy, cztery godziny, ciemności, dość czasu, by pójść i wrócić.

Jak długo szedł, było mu w miarę ciepło, mimo że topniejący na ubraniu śnieg przesiąkał powoli coraz głębiej. Lecz do Dwudziestej Trzeciej Ulicy było daleko, a on był bardzo zmęczony; nie jadł wiele przez ostatnie parę tygodni. Dwukrotnie przystawał, by odpocząć, lecz chłód szybko zmuszał go do marszu i nim mijało kilka minut, zrywał się znów na nogi. Im dalej zapuszczał się na północ, tym bardziej się bał.

Czemu niby nie miałbym tu zaglądać? - pytał sam siebie, wpatruj ąć się z lękiem w ciemność wokoło. Gliny już o mnie zapomniały,, to było tak dawńo temu, już - policzył na palcach - cztery miesiące, a teraz idzie piąty, grudzień. Gliny nigdy nie ciągną sprawy dłużej niż góra parę tygodni, chyba że ktoś zastrzeli burmistrza lub ukradnie milion Bolców. Jak długo nikt go nie widział, był bezpieczny. Dwakroć już zapuszczał się w te okolice, ale gdy tylko zbliżał się do znajomych ulic, zatrzymywał się i zawracał. Albo nie padało dość mocno, albo wokoło kręciło się zbyt wielu ludzi. Ale tej nocy było inaczej - śnieg padał wkoło jednolitą kurtyną i zdawał się coraz gęstszy, nikt go nie zobaczy. Będzie mógł spokojnie dostać się na "Columbia Victory", dojść do domu i obudzić ich. Są jego rodziną, ucieszą się na jego widok niezależnie od

tego, co zrobił; wyjaśni im, że to wszystko było ukartowane i że jest niewinny. I dadzą mu jeść! Splunął w ciemność. Dostawali przydziały na czworo i matka zawsze miała jakieś zapasy. Naje się do syta. Owsianka, przynajmniej resztki, a może nawet świeżo ugotowana i gorąca. No i ubrania, matka musi mieć je wszystkie. Weźmie trochę ciepłych rzeczy i parę ciężkich, butów po ojcu. Niczym nie ryzykuje, przecież nikt go nie zauważy. Zostanie tylko na kilka minut, może pół godziny, ale to góra, potem pójdzie sobie. Warto.

Na Dwudziestej Ulicy przeszedł pod estakadą i skierował się do pirsu 61. Przypominający remizę budynek przy molo napchany był ludźmi, nie miał dość odwagi, by przejść tamtędy. Lecz wokół budynku biegła wąska ścieżka, którą znał dobrze, lecz nigdy nie pokonywał jej po zmroku. Był to właściwie rząd wystających z wody pali, śliskich teraz od śniegu. Przesuwał się powoli, starannie przygotowując każdy krok i tuląc plecy do ściany budynku. W dole fale obijały się o nabrzeże; gdyby spadł, byłby bez szans, czekałaby go zimna, mokra śmierć. Roztrzęsiony przesunął stopę i omal nie potknął się o grubą cumę. Ponad nim wznosiły się niewidoczne w ciemności obrzeża Shiptown. Była to prawdopodobnie najdłuższa droga, by dostać się na "Columbia Victory", co oznaczało, że powinna być najbezpieczniejsza. Nikogo nie było w zasięgu wzroku, gdy wślizgiwał się na trap i dalej na pokład.

Przeszedłszy już ponad połowę drogi przez miasteczko statków, Billy poczuł, że wszystko będzie w porządku. Pogoda mu sprzyjała, przez cały czas padało równie intensywnie, a śnieg był najlepszą ochroną. Był sam na pokładach, w trakcie swej wędrówki nie mijał nikogo, nikt go nie widział. Obmyślał sobie to wszystko od bardzo dawna. Gdyby szedł normalną drogą, ktoś musiałby usłyszeć, jak próbuje budzić swoją rodzinę waląc w drzwi. Nie był tak głupi. Gdy dotarł na miejsce, wyciągnął zza pazuchy specjalnie przygotowany drut, który wydarł ze stacji zapłonowych pół tuzina samochodów już parę tygodni temu. Koniec z ciężarkiem wywiesił za burtę i ostrożnie rozkołysał go, aż zastukał w drewnianą pokrywę zaślepiającą pokój matki i siostry. Zapukał raz, drugi. Dźwięk był tłumiony przez śnieg, ginął w zgrzytach i trzeszczeniu zakotwiczonej floty. Lecz w pokoju musiał brzmieć dość głośno, by kogoś obudzić.

Niecałą minutę później serce zabiło mu żywo, gdy z trzaskiem pokrywa odsunęła się, potem zniknęła wewnątrz. Wciągnął drut. W otworze pojawiła się ciemna plama głowy jego siostry.

- Co się dzieje? - wyszeptała. - Kto tam?

- Starszy brat - wysyczał po kantońsku. - Wpuść mnie.

następny

. 24 .

- Tak bardzo żal mi Sola - powiedziała Shirl. - To było okrutne.

- Nie było - stwierdzi Andy, przyciągając ją blisko w ciepłym łóżku i całując. - Myślę, że on nie przeżywał tego wszystkiego tak bardzo jak ty. Był już stary, niejedno widział w życiu, robił różne rzeczy. Dla niego wszystko, co dobre i istotne dawno już minęło i nie sądzę, by cieszył go świat taki, jaki jest dzisiaj. Spójrz, zdaje się, że słońce wyjrzało? Śnieg przestał padać i chyba się rozjaśnia.

- Ale to była bezsensowna śmierć. Gdyby nie poszedł na tę demonstrację...

- Daj spokój Shirl, nie rozpaczaj. Co się stało, to się nie odstanie. Lepiej pomyśl, co będziemy robić dzisiaj? Czy możesz wyobrazić sobie Grassioliego dającego mi cały wolny dzień ot tak, z sympatii?

- Nie, to straszny człowiek. Pewna jestem, że ma po temu jakieś inne powody i poznasz je, gdy pójdziesz jutro do pracy.

- Zaczynasz myśleć jak ja - roześmiał się. - Przygotujmy sobie jakieś śniadanie i pomyślmy o tych wszystkich dobrych rzeczach, którymi możemy się dzisiaj zająć.

Wstał i poszedł zapalić ogień. Podczas gdy się ubierała, szybko sprawdził raz jeszcze drugi pokój, by upewnić się, że wszystkie rzeczy Sola zostały usunięte z pola widzenia. Ubrania były schowane w szafie, trzeba było jeszcze uporządkować półki i złożyć książki na ubraniach. Łóżko musiało zostać, zwinął jednak koce, a poduszkę wepchnął do szafy. Teraz łóżko przypominało raczej kanapę. Powinno być dobrze. W najbliższych tygodniach sprzeda te rzeczy jedną po drugiej na pchlim targu, za książki powinien dostać całkiem dobrą cenę. Przez jakiś czas będą jeść lepiej, a Shirl nie musi wcale wiedzieć, skąd są te pieniądze.

Wiedział, że będzie mu brakowało Sola. Siedem lat temu, kiedy po raz pierwszy wynajął ten pokój, było to dogodne dla obu. Sol wyjaśnił mu później, że do podziału pokoju i wynajęcia połówki zmusiły go rosnące ceny żywności. Nie chciał jednak mieszkać z byle kim. Przyszedł do komendy i powiedział o możliwości przeprowadzki, a Andy, który mieszkał w policyjnych barakach, skorzystał z tego od razu. Tak więc Sol zyskał równocześnie źródło dochodów i uzbrojoną ochronę. Z początku nie było między nimi przyjaźni, to przyszło z czasem. Pomimo różnicy wieku byli sobie naprawdę bliscy. Wystarczy myśleć młodo, by być młodym, jak mawiał zawsze Sol, który żył właśnie zgodnie , z tą zasadą. Aż dziwne, ile spośród tych dziwnych rzeczy, które Sol mówił, utkwiło Andy'emu w pamięci. I zamierzał je zapamiętać. Nie, nie był sentymentalny. Sol zresztą pierwszy by go wyśmiał i skwitował tym, co sam zwykle nazywał podwójnym pierdnięciem. Pragnął po prostu zachować przyjaciela w pamięci.

Dzięki zaglądającemu przez okno słońcu i piecykowi, chłód zniknął i pokój nabrał przytulności. Andy włączył telewizor i znalazł jakąś muzykę - niezupełnie taką, jaką lubił, ale odpowiadającą gustom Shirl. Był to program zatytułowany "Fontanny Rzymu", napis jaśniał na ekranie na tle bijących fontann. Weszła Shirl; przerywając jej rozczesywanie włosów, wskazał na odbiornik.

- Nie chce ci się pić od tego widoku? - spytał. - Raczej sprawia, że tęsknię za dobrym prysznicem. Założę się, że śmierdzę jak nieboskie stworzenie.

- Słodko jak perfumy - powiedział przyglądając się jej z przyjemnością, gdy przysiadła na parapecie i znów zajęła się włosami, a słońce zalało ją złotą poświatą. - A co byś powiedziała, gdybyśmy w ogóle urwali się dzisiaj i pojechali sobie na piknik? - spytał nagle.

- Przestań! - krzyknęła. - Nie cierpię głupich żartów przed śniadaniem!

- Nie, ja nie żartuję. Poważnie proponuję, by ruszyć się stąd na chwilę. - Przysunął się do okna i zerknął na stary termometr, który Sol przybił niegdyś do ramy na zewnątrz. Większość farby i cyfr dawno zlazła., ale Sol wydrapał nowe na ich miejsce. - Jest już pięćdziesiąt w cieniu, i mogę się założyć, że w ciągu dnia dojdzie do pięćdziesięciu pięciu. Jeśli w połowie grudnia w Nowym Jorku zdarza się taki dzień jak ten, to trzeba go wykorzystać. Jutro może być pięć stóp śniegu. Gdybyśmy tak wzięli resztę pasty sojowej i zrobili kanapki. Tramwaj wodny odchodzi o jedenastej; moglibyśmy podjechać wozem policyjnym.

- Więc mówisz poważnie?

- Oczywiście, to nie jest temat do żartów. Prawdziwa wycieczka na wieś. Mówiłem ci, gdzie byłem w zeszłym tygodniu. Razem ze strażą popłynęliśmy barką w górę rzeki do Croton-on-Hudson, tam napełniają zbiorniki samochodów. To trwa jakieś dwie, trzy godziny. Nie byłem aż tak daleko, lecz mówią, że można dojść aż do Croton Point Park. To jest tuż nad rzeką i podobno rosną tam wciąż prawdziwe drzewa. Dziś jest ciepło, możemy zrobić sobie piknik, a potem wrócić razem z nimi. Co o tym powiesz?

- Powiem, że brzmi to wspaniale i niewiarygodnie i że nigdy nie byłam tak daleko od miasta. Może wcześnie w dzieciństwie. To musi być mile stąd. Kiedy wyruszamy?

- Jak tylko zjemy śniadanie. Nastawiłem już owsiankę, możesz zamieszać, zanim wykipi.

- Nic nie jest w stanie wykipieć na ogniu z węgla morskiego. - Podeszła jednak do piecyka i zajęła się garnuszkiem.

Nie pamiętał, kiedy ostatni raz widział ją tak roześmianą i szczęśliwą; zupełnie jakby nagle wróciło lato.

- Nie bądź prosię i zjedz owsiankę - powiedziała. - Mogę zużyć olej kukurydziany, zachowywałam go na coś istotnego, i usmażyć trochę ciastek z owsianki. Wzięlibyśmy je na piknik.

- Posól je dobrze, będziemy tam mieli tyle wody, ile dusza zapragnie.

Andy przysunął krzesło Shirl tak, by usiadła tyłem do roweru Sola; nie było teraz w jej polu widzenia niczego, co przypominałoby o niedawnych wydarzeniach. Śmiała się, snuta plany na tak dobrze rozpoczęty dzień i nie chciał tego psuć. Zanosiło się na coś szczególnego i czuli to oboje.

Gdy pakowali lunch rozległo się szybkie stukanie do drzwi.

- Posłaniec, wiedziałam - rzuciła ze złością Shiri: - Będziesz musiał iść dzisiaj do pracy...

- Spokojnie - uśmiechnął się Andy. - Grassy nie złamałby słowa. A poza tym, posłaniec stuka inaczej, znam to na pamięć: stuk-stuk-stuk.

Shirl zmusiła się do uśmiechu i poszła otworzyć drzwi; Andy kończył pakowanie.

- Tab! - krzyknęła zaskoczona i szczęśliwa. - Jesteś ostatnią osobą na świecie... Wejdź, proszę, tak miło cię widzieć. To Tab Fielding - powiedziała Andy'emu.

- Dzień dobry, Miss Shirl - rzekł powściągliwie Tab, pozostając w korytarzu. - Przykro mi, lecz to nie jest towarzyska wizyta. Jestem - teraz w pracy.

- O co chodzi? - spytał Andy podchodząc do Shirl. - Musicie państwo zrozumieć, że przyjmuję taką pracę, jaką mi oferują. - Nie uśmiechał się, był ponury. - Od września byłem na liście strażników bez pracy, znajdowałem tylko dorywcze zajęcia, żadnych stałych umów i muszę brać to, co jest. Jeśli ktoś odmawia, odpada na koniec listy. Mam rodzinę do wyżywienia...

- O co ci ohodzi? - spytał Andy. Dostrzegł, że w ciemności za Tabem stoi ktoś jeszcze, a sądząc po szuraniu stóp, jest to przynajmniej kilka osób.

- Nie gadaj z nimi - powiedział mężczyzna skrywający się za plecami Taba. Głos miał nosowy i dość nieprzyjemny. - Prawo jest po mojej stronie. Zapłaciłem ci. Pokaż mu nakaz!

- Chyba już rozumiem - stwierdził Andy. - Odejdź od drzwi, Shirl. Tab, wejdź do środka, byśmy mogli chwilę porozmawiać.

Tab przeszedł przez próg, a mężczyzna, który teraz został odsłonięty, próbował wejść za nim.

- Nie wejdziesz beze mnie... - wrzasnął, ale Andy zatrzasnął mu drzwi przed nosem.

- Wolałbym, żeby pan tego nie robił - rzekł Tab. Na zaciśniętej pięści miał jak zwykle kastet.

- Uspokój się. Chcę tylko dowiedzieć się najpierw od ciebie dokładnie co jest grane. On ma nakaz kwaterunkowy, prawda?

Tab przytaknął, wpatrując się ponuro w podłogę.

- O czym wy do diabła mówicie? - spytała Shirl, spoglądając z niepokojem to na jednego, to na drugiego. Andy nie odpowiedział, a zatem Tab zaczął wyjaśnienia.

- Nakaz kwaterunkowy wydawany jest przez sąd każdemu, kto może udowodnić, że naprawdę nie ma gdzie mieszkać i potrzebuje lokalu. Wydają ich tylko tyle, ile znajduje się licznych rodzin, które musiały się skądś wyprowadzić. Mając ten nakaz można szukać pustych mieszkań albo pokoi czy czegokolwiek w tym rodzaju. Ten papierek jest rodzajem podstawy prawnej. Bywa, że zdarzają się kłopoty, ludzie nie lubią, gdy obcy ich nachodzą, tak więc każdy, kto ma nakaz kwaterunkowy, wynajmuje zwykle strażnika. I właśnie o to chodzi. To towarzystwo tam, za drzwiami nazywa się Belicherowie. Wynajęli mnie.

- Ale co ty tu robisz? - Shirl wciąż niczego nie rozumiała.

- Jest tu, bo Belicher to wampir - wyjaśnił Andy, tłumiąc gorycz. - Krąży po kostnicy i szuka świeżych zwłok.

- To jedna strona medalu - powiedział Tab, usiłując zachować spokój. - Lecz trzeba wziąć pod uwagę, że ma żonę i dzieci, i nie ma gdzie mieszkać.

Belicher załomotał nagle do drzwi, krzycząc coś obrażonym głosem. Shirl w końcu zrozumiała powód obecności Taba i wciągnęła głęboko powietrze.

- Jesteś tutaj, ponieważ im pomagasz. Dowiedzieli się, że Sol nie żyje i chcą zająć ten pokój.

Tab tylko przytaknął ponuro.

- Wciąż jeszcze można coś zrobić - stwierdził Andy. - Gdyby zamieszkał w tym pokoju ktoś, na przykład, z mojego posterunku, wówczas ci ludzie nie mogliby się tu wprowadzić.

Stukanie było coraz głośniejsze. Tab zrobił pół kroku w kierunku drzwi.

- Gdyby ktoś był tu teraz, to owszem, ale Belicher prawdopodobnie podałby sprawę do sądu i zarządził okupację, bo ma rodzinę. Zrobię co tylko będę w stanie, by wam pomóc, ale Belicher jest moim pracodawcą.

- Nie otwieraj drzwi - powiedział ostro Andy. - Przynajmniej dopóki nie wyjaśnimy wszystkiego.

- Muszę, nie mam wyboru - wyprostował się i ścisnął pięść. - Nie usiłuj mnie powstrzymać, Andy. Jesteś policjantem i znasz prawo.

- Tab, naprawdę musisz? - spytała cicho Shirl. Spojrzał na nią zakłopotany.

- Byliśmy kiedyś przyjaciółmi, Shirl i chciałbym to tak zapamiętać. Wiem, jak będziesz teraz o mnie myśleć, ale muszę wykonać to, co wchodzi w zakres moich obowiązków. Muszę ich wpuścić.

- To dalej, otwórz te cholerne drzwi - powiedział cierpko Andy, odwracając się i podchodząc do okna. Pokój zaroił się od Belicherów. Mr Belicher był szczupłym mężczyzną z dziwnie ukształtowaną głową, niemal zupełnie pozbawioną podbródka, i inteligencją wystarczającą akurat do tego, by podpisać się na formularzach opieki społecznej. Mrs Belicher była zapewne podporą rodziny; z jej tłustego obwisłego ciała wyszło już siedmioro dzieci skutecznie zwiększając przydziały żywnościowe, utrzymujące ich wszystkich przy życiu; numer ósmy wypychał właśnie jej brzuch. Tak naprawdę był numerem jedenastym, troje młodszych Belicherów bowiem miało pecha i zakończyło egzystencję na skutek nieuwagi i wypadków. Największa dziewczyna, zapewne około dwunastu lat, niosła pokryte wrzodami niemowlę, które śmierdziało straszliwie i nieustannie płakano. Pozostałe dzieci krzyczały jedno na drugie; wreszcie mogły przestać być cicho po długim, pełnym napięcia staniu w korytarzu.

- O, zobaczcie, fajnista lodówka - powiedziała Mrs Belichcr, wtaczając się do środka i zaraz sięgając ku drzwiczkom chłodziarki.

- Nie dotykajcie tego - rzekł Andy, a Belicher pociągnął go za ramię.

- Podoba mi się ten pokój, nieduży, wiecie, ale miły. A tu co jest? - skierował się do drzwi w przepierzeniu.

- To mój pokój - Andy zatrzasnął mu drzwi przed nosem. - Trzymaj się od niego z daleka.

- Nie trzeba się tak zachowywać - powiedział Belicher wycofując się szybko, jak pies znający uderzenia kija. - Mam swoje prawa, wiem co mi wolno. Prawo mówi, że z nakazem kwaterunkowym mogę zajrzeć, gdzie tylko chcę. - Ruszył, Andy za nim. - Nie, żebym panu nie wierzył, wierzę panu. Ten pokój jest fajny, ma stół, krzesła, łóżko...

- Te rzeczy należą do mnie, to jest pokój bez mebli, i do tego mały. Za mały dla pana i pańskiej rodziny.

- Starczy. W mniejszych mieszkaliśmy...

- Andy, powstrzymaj ich! Popatrz! - płaczliwy krzyk Shirl kazał Andy'emu obrócić się: ujrzał, że dwóch chłopców znalazło paczkę z ziołami, które Sol tak starannie uprawiał w skrzynce na oknie, a teraz oni rozdzierali papier myśląc, że może jest to coś do jedzenia.

- Zostawcie to! - krzyknął, ale zanim do nich doszedł, spróbowali ziół i zaczęli nimi pluć.

- Piecze! - krzyknął większy chłopiec, rozrzucając zawartość paczki po podłodze. Drugi podskoczył z radości i zaczął robić to samo z resztą ziół. Wyrwali się Andy'emu i zanim zdołał ich zatrzymać, paczki były puste. Kiedy się odwrócił, młodszy chłopiec, podniecony. zabawą, wspiął się na stół. Zostawiając na blacie ślady brudnych od błota stóp włączył telewizor. Grzmot muzyki wzbił się ponad krzykami dzieci i

nieefektywnymi piskami ich matki. Tab odciągnął Belichera, który usiłował otworzyć szafę i zobaczyć, co jest w środku.

Wyrzućcie stąd te bachory - powiedział Andy pobladły nagle z wściekłości.

- Mam nakaz kwaterunkowy. Mam prawa - krzyknął Belicher cofając się i wymachując zadrukowanym kawałkiem plastiku.

- Mam gdzieś twoje prawa. Porozmawiamy, gdy te bachory znajdą się za drzwiami.

Tab przeszedł do czynu, łapiąc najbliższego dzieciaka za kark i wypychając go na korytarz.

- Mr Rusch ma rację - powiedział. - Dzieci mogą poczekać na zewnątrz, aż wszystko uzgodnimy.

Mrs Belicher usiadła, ciężko na łóżku i zamknęła. oczy, jakby to wszystko nie miało z nią nic wspólnego. Mr Belicher wycofał się pod ścianę, mówiąc coś, czego nikt nie słyszał, nikogo to zresztą nie obchodziło. Wciąż jeszcze rozlegały się wrzaski, które przeszły w pełne złości łkania dochodzące z korytarza, gdy ostatni dzieciak został tam wyekspediowany.

Andy rozejrzał się i nagle zauważył, że Shirl zamyka za sobą drzwi ich pokoju. Usłyszał klucz obracający się w zamku.

- To pewnie przez to? - spytał patrząc prosto na Taba. Strażnik wzruszył bezradnie ramionami.

- Przykro mi, Andy, na Boga przysięgam, że mi przykro. Ale co innego mogę zrobić? Prawo głosi, że jeśli chcą tutaj zostać, nie możesz ich wyrzucić.

- Tak, takie jest prawo, tak - zawtórował bezmyślnie Belicher.

Andy wiedział, że gołymi pięściami niczego tu nie zdziała. Zmusił się, by rozewrzeć dłonie.

- Tab, pomożesz mi przenieść rzeczy do drugiego pokoju?

- Jasne - Tab znów uciekł ze wzrokiem. - Spróbuj wytłumaczyć Shirl moją rolę w tym wszystkim, dobrze? Nie sądzę, by rozumiała, że to tylko praca, którą muszę wykonywać.

Rozległ się chrzęst deptanych ziół i Andy mu nie odpowiedział.

następny

. 25 .

- Musisz coś zrobić, Andy, ci ludzie doprowadzają mnie do szaleństwa.

- Spokojnie, Shirl, nie jest tak źle - powiedział Andy. Stał na krześle i napełniał zbiornik z kanistra. Gdy odwrócił się, by jej odpowiedzieć, trochę wody prysnęło na podłogę. - Pozwól mi to skończyć, potem możemy się kłócić, dobrze?

- Nie mam zamiaru się kłócić, chcę ci tylko powiedzieć, jak się czuję. Posłuchaj, co tam się dzieje!

Cienka ściana działowa nie była żadną przeszkodą dla dźwięków. Dziecko płakało, mieli wrażenie że robi to nieustannie przez cały dzień i całą noc; zasnąć można było tylko z zatyczkami w uszach. Niektóre dzieci walczyły ze sobą kompletnie ignorując piskliwe napomnienia ojca. Któryś z bachorów uderzał bez przerwy czymś ciężkim w podłogę. Wkrótce przyjdą ludzie z mieszkania na dole, by się poskarżyć; z takich wizyt nigdy nie wynika nic dobrego. Shirl usiadła na skraju łóżka i splotła dłonie.

- Słyszysz? I nigdy nie przestają. Nie rozumiem, jak oni mogą żyć w ten sposób. Ty ~ zwykle wychodzisz, więc nie dyszysz najgorszego. Czy nie możemy ich stąd wyrzucić? Musi być jakiś sposób.

Andy opróżnił kanister i zszedł na dół, między gęsto ustawione sprzęty. Sprzedali łóżko i szafę Sola, ale całą resztę musieli przenieść tutaj i nie mieli teraz ani stopy wolnej podłogi. Opadł ciężko na krzesło.

- Wiesz, że próbowałem. Dwóch funkcjonariuszy, którzy teraz mieszkają w barakach przeprowadzi się tu, gdy tylko wywalimy Belicherów. Ale to ciężka sprawa, prawo ich chroni.

- Czy prawo rzeczywiście twierdzi, że można ładować jednych ludzi drugim na głowy? - bezradnie ściskała dłonie, ze wzrokiem wbitym w ściankę działową.

- Shirl, czy nie moglibyśmy porozmawiać o tym kiedy indziej? Wkrótce muszę wyjść...

- Chcę porozmawiać o tym teraz. Odkładasz to odkąd się zjawili, a to już ponad dwa tygodnie i ja nie wytrzymam tego dłużej.

- Słuchaj, nie jest tak źle, to tylko hałas.

W pokoju było bardzo zimno. Shirl podciągnęła nogi i owinęła się starym kocem; sprężyny łóżka jęknęły przy tym. W pokoju obok zapadła nagle cisza zakończona wybuchem śmiechu.

- Słyszysz? Czy oni myślą tyko o jednym? Za każdym razem, gdy słyszą, że ktoś siada na łóżku, zaczynają się śmiać. Nie mamy odrobiny prywatności, to przepierzenie jest cienkie jak papier, a oni wsłuchują się we wszystko, co robimy, słyszą każde nasze słowo. Jeśli ich nie można wyrzucić, to może my się przeprowadzimy?

- Dokąd? Podaj jakikolwiek pomysł. Mamy i tak dość szczęścia, że zostało nam aż tyle przestrzeni. Czy wiesz jak wielu ludzi wciąż sypia na ulicy, ile ciał zabiera się co rano?

- Ale co to ma do rzeczy? To moje życie i mam prawo troszczyć się o nie.

- Proszę, nie teraz - spojrzał na żarówkę, która zamrugała, przygasła i znów wróciła do życia. O szyby zadzwonił nagle grad. - Porozmawiamy o tym, kiedy wrócę, to nie potrwa długo.

- Nie, chcę dojść z tym do ładu teraz. Zawsze to odkładasz. Nie musisz teraz wychodzić.

Nałożył płaszcz. Ze wszystkich sił starał się zachować spokój.

- To może poczekać, aż wrócę. Mówię ci, że dostałem w końcu wiadomość na temat Billy'ego Chunga, informator widział go opuszczającego Shiptown. Wydaje się, że odwiedza rodzinę. Wiadomość jest sprzed piętnastu dni, ale ci głupcy uważali, że nie ma potrzeby mówić nam o tym od razu. Pewnie myśleli, że zobaczą go jeszcze raz, ale z tego co wiem, na razie nie wrócił. Muszę porozmawiać z jego rodziną i sprawdzić, co wiedzą.

- Nie musisz iść teraz, sam powiedziałeś, że to było już jakiś czas temu.

- A co to ma do rzeczy? Rano porucznik będzie chciał raportu. I co mu powiem? Że nie wypuściłaś mnie wieczorem z domu?

- Nie obchodzi mnie, co mu powiesz...

- Wiem, że ciebie to nic nie obchodzi, ale mnie tak. Na tym polega moja praca i zamierzam ją wykonywać. Spoglądali na siebie w milczeniu oddychając głęboko.

Z drugiej strony przepierzenia dobiegał ostry płacz i dziecięce łkanie.

- Shirl, nie chcę się z tobą spierać. Muszę wyjść. Możemy porozmawiać o tym później, gdy wrócę.

- Jeśli będę tu jeszcze, gdy wrócisz. - Ścisnęła palce jeszcze mocniej, jej twarz była blada.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Nie wiem jeszcze. Wiem tylko, że coś musi się zmienić. Proszę, porozmawiajmy o tym teraz.

- Czy nie rozumiesz, że to niemożliwej Zrobimy to, gdy wrócę. - Otworzył drzwi i stanął z ręką na klamce, by trochę ochłonąć. - Nie spierajmy się teraz. Wrócę za parę godzin, wtedy będziemy się o to martwić, dobrze?

Nie odpowiedziała. Odczekał jeszcze chwilę i wyszedł zamykając za sobą drzwi. W twarz uderzył go smrodliwy, gęsty odór.

- Belicher - powiedział, - będzie pan musiał tu posprzątać. Śmierdzi.

- Jak długo nie mam komina, nic nie zrobię z tym dymem. - Belicher pociągnął nosem, przykucając i przesuwając dłońmi ponad płonącym kawałkiem morskiego węgla. Za palenisko służył im dekiel samochodowy wypełniony piaskiem; gryzący w oczy, gęsty dym wypełniał pokój. Otwór w ścianie, który Sol wybił niegdyś dla komina, został starannie przykryty kawałkiem cienkiej folii trzepoczącej przy każdym uderzeniu wiatru.

- Dym jest tutaj najmilszym z zapachów - powiedział Andy. - Czy pańskie dzieciaki znów używają tego pokoju jako toalety?

- Przecież nie można kazać dzieciom chodzić po nocy schodami na dół, prawda? - stwierdził Belicher.

Andy rozejrzał się po pokoju, zwracając uwagę na stos okryć w rogu, gdzie Mrs Belicher i co młodsze Belichery usiłowały znaleźć trochę ciepła. Dwóch chłopców majstrowało coś w drugim kącie, obaj byli odwróceni plecami do reszty. Mała żarówka rzucała długie cienie na śmieci, które zaczynały gromadzić się pod ścianami, oświetlała nowe ślady i rysy wykute na tynku.

- Lepiej, żeby pan posprzątał tutaj - powiedział Andy, zatrzaskując drzwi i ucinając piskliwą odpowiedź Belichera. Shirl miała rację, ci ludzie byli nie do zniesienia i musiał coś z nimi zrobić. Ale kiedy? Im szybciej, tym lepiej, ona była u kresu wytrzymałości. Był zły na intruzów, zły na nią. W porządku, układa się źle, ale trzeba przyjmować rzeczy takimi, jakimi są. Wciąż pracował po dwanaście, czternaście godzin na dobę, co było o wiele gorsze niż po prostu siedzenie w pokoju i słuchanie krzyków.

Ulica była ciemna, wiatr niósł deszcz ze śniegiem. Na chodniku i pod murami zaczynały tworzyć się zaspy. Andy brnął z opuszczoną głową, pielęgnując nienawiść do Belicherów i próbując stłumić złość wobec Shirl.

Mostki i trapy Shiptown były oblodzone i śliskie, więc Andy musiał iść ostrożnie, pamiętając o ciemnej wodzie poniżej. W mroku wszystkie statki wyglądały podobnie, odszukiwał z latarką wymalowane na rufach nazwy. Zanim znalazł "Columbia Victory" był zmarznięty i przemoczony, z ulgą otworzył ciężkie stalowe drzwi prowadzące pod pokład. Gdy zszedł po metalowych stopniach, w głębi korytarza rozjarzyło się światło. W otwartych drzwiach stał mały chłopak o pajęczych nogach. Wyglądało, że są to drzwi do mieszkania Chungów.

- Chwileczkę - powiedział Andy wchodząc, zanim dziecko je zatrzasnęło. Chłopiec wpatrywał się w niego bez słowa, rozszerzonymi oczami.

- To mieszkanie Chungów, prawda? - spytał wchodząc dalej. Rozpoznał stojącą w głębi kobietę. Była to siostra Billy'ego, spotkał ją już przedtem. Matka siedziała w fotelu pod ścianą i obie miały na twarzy wyraz odrętwiałego strachu. Obok matki stał bliźniak tego chłopca, który otworzył drzwi. Nikt mu nie odpowiedział.

Ci ludzie naprawdę kochają policję, pomyślał Andy. W tej samej chwili zdał sobie sprawę, że wszyscy wpatrują się w drzwi w przeciwległej ścianie, bezskutecznie starając się przy tym odwrócić wzrok i patrzeć gdziekolwiek indziej. Co ich niepokoiło?

Sięgnął za siebie i zamknął drzwi. Wydało się to niemożliwe, ale poprzednia noc, gdy widziano Billy Chunga, była taka sama - deszczowa, idealnie kryjąca, uciekiniera. Czyżbym wreszcie trafił? Czy wybrał tę właśnie noc, by do nich przyjść?

Zastanawiał się jeszcze, gdy drzwi w głębi otworzyły się i wszedł Billy Chung. Chciał coś powiedzieć, ale jego słowa zginęły w ostrym krzyku matki i ostrzeżeniach siostry. Spojrzał najpierw na nie, potem zastygł w bezruchu, gdy ujrzał Andy'ego.

- Jesteś aresztowany - powiedział Andy, sięgając po kajdanki.

- Nie! - wykrzyknął chrapliwie Billy i wysunął zza pasa nóż.

Doszło do niejakiego zamieszania, gdyż stara kobieta krzyczała nieustannie piskliwym głosem, nie przerywając nawet, by zaczerpnąć oddech, a jej córka rzuciła się na Andy'ego, usiłując wydrapać mu oczy. Zdołała wbić mu paznokcie w policzki, zanim złapał ją i przytrzymał na odległość wyciągniętej ręki. Równocześnie obserwował Billy'ego, który zbliżał się machając długim, lśniącym ostrzem i wyglądał na gotowego do walki.

- Odłóż to! - krzyknął Andy i oparł się plecami o drzwi. - Nie wyjdziesz stąd! Nie utrudniaj sprawy! Kobieta zrozumiała, że nie jest w stanie dosięgnąć twarzy Andy'ego, zaczęła zatem orać głębokie bruzdy , w jego ręce. Andy odepchnął ją ledwo zauważając, że upadła, i wyciągnął broń.

- Daj spokój! - krzyknął wycelowując broń w powietrze. Chciał wystrzelić tylko na postrach, ale zdał sobie sprawę, że tutaj wszystko jest ze stali i każda kula będzie rykoszetować tak długo, aż w coś trafi. - Daj spokój, Billy, nie jesteś w stanie stąd wyjść - powiedział kierując broń na chłopca, który doszedł już do połowy pokoju.

- Wypuść mnie - załkał Billy. - Zabiję cię! Czemu po prostu nie zostawisz mnie w spokoju?

Nie zamierzał się poddać. Nóż był ostry, a ten gówniarz wiedział, jak go użyć. Jeśli szukał kłopotów, to łatwo mógł je znaleźć. Wycelował w nogi Billy'ego i pociągnął spust. Dokladnie w chwili, gdy chłopał potknął się. Huk wystrzału broni kalibru 38 wypełnił pomieszczenie. Billy rzucił się naprzód. Kula trafiła go w głowę, przeleciał jeszcze trochę i runął na stalowy pokład. Nóż wypadł z ręki i zatrzymał się prawie pod

stopami Andy'ego. Zaraz po strzale zapanowała martwa cisza, w powietrzu unosił się ostry zapach spalonego prochu. Nikt nie poruszył się prócz Andy'ego, który pochylił się i dotknął nadgarstka chłopca. Ktoś dobijał się do drzwi. Nie odwracając się wyciągnął rękę i otworzył je.

- Jestem funkcjonariuszem policji - powiedział. - Niech ktoś z was pójdzie do komisariatu 12 A na Dwudziestej Trzeciej Ulicy i powie tam, że mam Billy'ego Chunga. Nie żyje.

Kula w skroń, pomyślał nagle Andy. Zupełnie w to samo miejsce, w które ten chłopak trafił Wielkiego Mike'a O'Briena.

Teraz dopiero zaczęło się prawdziwe zamieszanie. Jego ośrodkiem nie był już Billy, on był martwy. To matka i siostra wykrzykiwały oskarżenia pod adresem Andy'ego, podczas gdy bliźniaki wtuliły się jeden w drugiego i płakały. W końcu kazał rodzinie z naprzeciwka zabrać wszystkich do siebie i został sam z ciałem, aż przybył Steve Kulozik i jeszcze jeden mundurowy. Nie widział już potem tych dwóch kobiet i wcale nie chciał ich widzieć. To był wypadek; powinny to zrozumieć. Gdyby ten dzieciak nie upadł, dostałby po prostu kulę w nogę i na tym by się skończyło. Nie dlatego, żeby policja dbała o to, gdzie strzela. Sprawa mogła zostać teraz zamknięta bez przewiązywania papierów czerwoną tasiemką, a to oznaczało, że trzeba będzie jeszcze nad nimi popracować. Tylko te dwie kobiety. Dobra, niech go znienawidzą, ostatecznie nie przyjdzie tu nigdy więcej, nigdy więcej ich nie zobaczy. Jeśli wolały pamiętać go w ten sposób, to proszę, niech ich syn będzie męczennikiem, a nie zabójcą, wolna wola. Tak czy inaczej, sprawa zastała zamknięta.

Było już późno po północy, gdy dotarł do domu. Zabranie ciała i sporządzenie raportu zabrało sporo czasu. Jak zwykle, Belicherowie nie zamknęli drzwi na korytarzu. Nie przejmowali się tym, nie mieli niczego wartościowego, co mogliby stracić. Ich pokój był ciemny, musiał latarką znajdywać drogę; światło wyłuskiwało z mroku zwalone na bezwładny stos ciała, odbijało się w otwartych oczach. Nie spali, ale przynajmniej byli cicho, nawet dzieci. Gdy wkładał klucz do zamka swoich drzwi, usłyszał za sobą, w ciemności, stłumiony chichot. Z czego się śmiali?

Pchnął drzwi i wszedł do cichego pokoju i nagle przypomniał sobie wszystkie kłopoty z Shirl. Poczuł nagły przypływ strachu. Uniósł latarkę. Za nim znów rozległ się śmiech, tym razem trochę głośniejszy. Światło prześliznęło się po pokoju, po pustych krzesłach, pustym łóżku. Shirl nie było, ale to mogło znaczyć wszystko. Mogła na przykład zejść na dół do ubikacji. Jednak zanim jeszcze otworzył szafę, wiedział, że nie znajdzie tam ani jej rzeczy, ani walizki.

Shirl odeszła.

następny

. 26 .

- Czego pan chce? - spytał mężczyzna o surowym spojrzeniu, stając w drzwiach sypialni. - Wie pan, że Mr Briggs jest zajętym człowiekiem, ja jestem zajętym człowiekiem. Nikt z nas nie lubi, gdy dzwoni się i mówi, żeby ot tak po prostu przyjść. Jeśli ma pan coś do przekazania Mr Briggsowi, to pan przychodzi i pan mu to mówi.

- Bardzo mi przykro, że nie mogę pana zadowolić - powiedział sędzia Santini, poprawiając głowę na poduszce w wielkim, czarnym, podwójnym łożu. Owinięty był kocami. - Bardzo bym chciał, ale obawiam się, że moje dni są policzone, przynajmniej tak twierdzą lekarze, a płacę im dość, za ich diagnozy. Człowiek w moim wieku, który ma na dodatek chorobę wieńcową, musi na siebie uważać. Odpoczynek, dużo odpoczynku, żadnego wspinania się po schodach na Empire State Building. Wyznam panu, Schlachter, żc tak naprawdę, to nie brakuje mi za bardzo tych schodów...

- Czego pan chce, Santini?

- Chciałbym przekazać panu pewną informację dla Mr Briggsa. Znaleziono chłopaka Chungów, Billy'ego Chunga, tego, który zabił Wielkiego Mike'a.

- I co z tego?

- No i miałem nadzieję, że pamięta pan spotkanie, na którym omawialiśmy ten temat. Padło wtedy podejrzenie, że zabójca mógł być powiązany z Nickiem Cuore, że chłopak mógł zostać opłacony. Osobiście w to wątpiłem, ale teraz nigdy nie poznamy już prawdy. Chłopak nie żyje.

- To wszystko?

- Nie dość? Może pamięta pan, że Mr Briggs był zaniepokojony przypuszczeniem, że Cuore chce przenieść się ze swoją działalnością do naszego miasta.

- To wykluczone. Cuore był już wtedy od tygodnia zaangażowany w zdobywanie Paterson, do dziś jest tuzin ofiar. Nigdy nie interesował się Nowym Jorkiem.

- Miło mi to słyszeć. Ale sądzę, że dobrze będzie, jeśli tak czy inaczej powie pan o tym wszystkim Mr Briggsowi. Był dość zainteresowany tą sprawą, by wywierać presję na policję. Pewien człowiek męczył się nad nią od sierpnia.

- To przykre. Powiem mu, jeśli znajdę sposobność, ale nie jestem już tym zainteresowany.

Sędzia Santini umościł się z wysiłkiem pod okryciami ledwo gość wyszedł. Czuł się zmęczony, bardziej zmęczony niż zdarzyło mu się to kiedykolwiek. I wciąż jeszcze pamiętał ten ból, który zapłonął w jego piersi.

Już tylko dwa tygodnie do nowego roku. I do nowego stulecia. Dziwnie będzie pisać dwa tysiące ileś, zamiast tysiąc dziewięćset, jak dotychczas, jak robił to przez całe swoje życie.

Pierwszy stycznia roku 2000. Z jakiegoś powodu wydawała mu się to dziwna data. Zadzwonił na Rosę, by podała mu lekarstwo. Ile z tego nowego stulecia zdoła zobaczyć? Była to przygnębiająca myśl.

W ciszy pokoju tykanie staroświeckiego zegara wydawało mu się bardzo głośne.

następny

. 27 .

- Porucznik chce cię widzieć - zawołał przez cały pokój Steve.

Andy odmachnął dziękując, wstał i przeciągnął się. Niczego nie pragnął tak bardzo, jak oderwać się od stosu raportów, nad którymi pracował. Nie spał dobrze poprzedniej nocy i był zmęczony. Najpierw ta nieszczęsna strzelanina, potem odejście Shirl. Za wiele na jedną noc. Gdzie miał jej szukać, by poprosić ją, aby wróciła? Zresztą, jak mógł prosić ją o powrót, skoro Belicherowie się nie wyprowadzili? Jak miał się pozbyć Belicherów? Myślał o tym nie po raz pierwszy, te myśli nachodziły go jedna za drugą, zupełne błędne koło. To nic nie dawało. Zapukał do drzwi pokoju porucznika i wszedł.

- Chciał mnie pan widzieć, sir?

Porucznik Grassioli przełykał właśnie tabletkę, więc tylko skinął głową i spłukał lekarstwo łykiem wody. Rozkaszlał się, potem opadł na podniszczone krzesło obrotowe. Wyglądał bardziej szaro niż zwykle, był wyczerpany.

- Ten żołądek wykończy mnie kiedyś. Słyszałeś, żeby ktoś umarł na żołądek?

Na takie pytania nie było odpowiedzi. Andy zastanawiał się, ku czemu porucznik zmierza. To było niepodobne do niego. Zwykle bez oporów mówił, co myśli.

- Ci na górze nie są zadowoleni z zastrzelenia tego chińskiego szczeniaka - powiedział kartkując raporty i akta, które zaśmiecały mu biurko.

- Co pan chce powiedzieć...?

- Właśnie to, Boże, zupełnie, jakbym nie miał dość kłopotów z tym posterunkiem, muszę się jeszcze zajmować polityką. Centre Street jest zdania, że zbyt wiele czasu zmarnowałeś na tę sprawę. Od czasu, gdy zacząłeś śledztwo, mieliśmy w rejonie dwa tuziny morderstw, których sprawcy nie zostali wykryci.

- Ale. . . - Andy oniemiał. - Powiedział mi pan, że sam komisarz rozkazał zająć się sprawą. Powiedział mi pan, że... - Nieważne, co powiedziałem - warknął Grassioli.

- Komisarza nie można złapać telefonicznie, a przynajmniej dla mnie .go nie ma. Nic go nie obchodzi zabójca O'Briena i nikt nie chce słuchać tego, co mam do powiedzenia o tej szmacie z Jersey, Cuore. A co więcej, asystent komisarza ma pretensje do nas o zastrzelenie Billy'ego Chunga. Zwalili to wszystko na mnie.

- Wygląda, że to ja zostałem kozłem ofiarnym.

- Nie wyzłośliwiaj się, Rusch - porucznik wstał, odkopnął krzesło i odwrócił się plecami do Andy'ego, patrząc w okno i bębniąc palcami po framudze. - Zastępca komisarza to George Chu. Uważa, że dyskryminujesz Chińczyków, że tropiłeś tego dzieciaka w ramach wendety, a potem zastrzeliłeś go, zamiast doprowadzić.

- Oczywiście powiedział mu pan, poruczniku, że wykonywałem rozkazy? - spytał cicho Andy. - Powiedział pan, że chłopak zginął przez przypadek, wszystko napisałem w raporcie.

- Niczego mu nie powiedziałem - Grassioli odwrócił się twarzą do Andy'ego. - Wpakowali' mnie w tę sprawę, ale teraz będę milczeć. Nie mam co powiedzieć Chu. Z drugiej strony, on ma odbicie na punkcie swego pochodzenia. Jeśli spróbuję powiedzieć mu, co naprawdę się stało, to tylko narobię kłopotów sobie, komendzie i wszystkim. - Opadł na krzesło i potarł drżącą powiekę. - Będę szczery; Andy. Zamierzam zwalić to wszystko na ciebie, ty wypijesz całe nawarzone piwo. Na sześć miesięcy wpakuję cię w mundur, a potem sprawa przyschnie. Nie stracisz ani rangi, ani pensji.

- Nie oczekiwałem żadnej nagrody za rozwiązanie tej sprawy - powiedział ze złością Andy. - Ani za podanie wam zabójcy. Ale na coś takiego nie byłem przygotowany. Mogę zwrócić się do sądu policyjnego.

- Tak, tak, możesz to zrobić - porucznik wahał się, wyraźnie było mu nieswojo. - Możesz, ale ja proszę cię, żebyś tego nie robił. Jeśli nie dla mnie, to dla dobra komendy. Wiem, że to zła transakcja, takie przyjmowanie winy na siebie, ale wyjdziesz z tego cały i zdrowy. Włączę cię z powrotem w skład oddziału detektywów tak szybko, jak tylko będę mógł. Zresztą, to nie musi oznaczać, że będziesz robił coś innego. Równie dobrze wszystkim nam mogło się to zdarzyć. Wykonujemy tak mało

roboty detektywistycznej, że aż dziwne, czemu nie posłali nas jeszcze na ulice. - Stuknął energicznie w biurko. - Co na to powiesz?

- Że cała ta sprawa śmierdzi.

- Wiem, że śmierdzi! - krzyknął porucznik. - Myślisz, że mniej będzie śmierdzieć, gdy wniesiesz sprawę? Co niby mam zrobić? Nie masz szans! Wyrzucą cię z policji, stracisz pracę, a ja pewnie razem z tobą. Jesteś dobrym gliną, Andy, a takich nie ma już wielu. Ci z góry potrzebują ciebie bardziej niż ty ich. Wybij to sobie z głowy. Co na to powiesz?

Zapadła długa cisza, porucznik znów spojrzał w okno. - Dobrze - powiedział w końcu Andy. - Zgadzam się. Postąpię jak pan chce, poruczniku. - Wyszedł nie odmeldowując się. Nie chciał, by porucznik zaczął mu dziękować.

następny

. 28 .

- Za pół godziny będziemy mieli nowe stulecie - powiedział Steve Kulozik, przytupując na oblodzonym chodniku. - Słyszałem wczoraj w telewizji, jak jakiś żartowniś usiłował wyjaśnić, że kolejny wiek zaczyna się dopiero za rok, ale musiał być stuknięty. Północ, rok dwutysięczny, nowe stulecie. To jest coś. Patrz - wskazał na projekcję dużego ekranu telewizyjnego na starym Times Building. Na białej płaszczyźnie ścigały się wysokie na stopę litery:

ATAK MROZU NA ŚRODKOWYM ZACHODZIE WIELE PRZYPADKÓW ŚMIERTELNYCH

- Wiele - mruknął Steve. - Założę się, że nawet już ich nie liczą. Nie chcą, byśmy wiedzieli, ilu umiera.

GAŁYGIN MÓWI, ŻE INFORMACJE O GŁODZIE W ROSJI SĄ NIEPRAWDZIWE

U ZARANIA NOWEGO STULECIA NADAMY ORĘDZIE PREZYDENTA PONADDŹWIĘKOWY ODRZUTOWIEC NAVY ROZBIŁ SIĘ W ZATOCE FRISCO

Andy spojrzał na ekran, potem na kłębiący się na Times Square tłum. Przywykł już, że znów chodził w granatowym mundurze, chociaż gdy spotykał pozostałych detektywów, nie było mu łatwo.

- Co ty tu robisz? - spytał Steve'a.

- To samo, co ty. Patroluję. Ciągle żebrzą o rezerwy, więc pożyczono mnie temu rewirowi. Obawiają się, że może dojść do zamieszek.

- Mylą się, jest zbyt zimno, i nie matu aż tak wielu ludzi. - To nie ja się niepokoję. Wszystko, wszystko przez tych nawiedzeńców, którzy mówią o millenium, o Dniu Sądu Ostatecznego i diabli wiedzą o czym jeszcze. Będą bardzo rozczarowani, gdy świat nie skończy się o północy, jak tego oczekują.

- My będziemy o wiele bardziej zaskoczeni, jeśli jednak się skończy.

Gigantyczne, bezgłośne słowa wciąż goniły się nad ich głowami.

COLIN OBIECUJE SZYBKI KONIEC IMPASU W SPRAWIE USTAWY DZIECIĘCEJ

Tłum falował, przesuwał się z wolna. Wszyscy wyciągali szyje ku ekranowi. Gdzieś dęto w rogi, a w odgłosy tłumu wkradało się chwilami pobrzękiwanie krowich dzwonków i grzechot kołatek. Gdy na ekranie pokazały się cyfry, tłum wyraźnie ożywił się.

23:38-11:38 PM

- TYLKO 23 MINUTY DO NOWEGO ROKU

- Koniec roku i koniec mojej służby - powiedział Steve.

- O czym mówisz?

- Zwalniam się. Obiecałem Grassy'emu, że zostanę do pierwszego stycznia, lecz nie rozpowiadałem tego, zanim nie byłem gotowy do odejścia. Podpisałem umowę z policją stanową. Będę strażnikiem na jednej z farm więziennych. Kulozik znów się naje. Ledwo mogę się doczekać.

- Żartujesz, Steve. Pracujesz od dwunastu lat, masz starszeństwo, jesteś detektywem drugiego stopnia...

- A czy ja w ogóle wyglądam na detektywa? - postukał lekko pałą w błękitno-biały hełm. - Trzeba spojrzeć prawdziwie w oczy: miasto się skończyło. Tutaj potrzebni są treserzy dzikich zwierząt, nie policjanci. A nowa praca zapowiada się nieźle, będziemy z żoną jeść dobrze, wreszcie znajdziemy się daleko od tego miasta i wszystkiego. Urodziłem się i wychowałem tutaj, ale mogę ci powiedzieć, że nie będzie mi tego brakować. W głębi kraju potrzebują doświadczonych policjantów. Przyjmą cię z otwartymi ramionami. Czemu nie pojedziesz ze mną? - Nie - powiedział Andy.

- Nie odpowiadaj od razu, namyśl się. Co to miasto dato ci kiedykolwiek prócz kłopotów. Rozwiązałeś trudną sprawę, dostałeś mordercę i miałeś prawo oczekiwać medalu, a tu, proszę, z powrotem na ulicy.

- Zamknij się, Steve - powiedział bez wrogości. - Nie wiem, czemu tu zostaję, ale zostaję. Nie wydaje mi się, żeby tam, gdzie się przenosisz było aż tak wspaniale, chociaż... ze względu na ciebie mam nadzieję, że jest. Ale... moje miejsce pracy jest tutaj. Władowałem się w to wiedząc, w co się pakuję. Czuję, że nie nadeszła jeszcze chwila, bym dał sobie spokój.

- Wybór należy do ciebie - Steve wzruszył ramionami w fałdach grubego płaszcza. - Zobaczymy się jeszcze. Andy uniósł pałkę w geście pożegnania, gdy Steve rozepchnął co bliżej stojących i zniknął.

23:59 - 11.59 PM - JEDNA MINUTA DO PÓŁNOCY

Słowa zniknęły z ekranu zastąpione przez wielką tarczę zegarową. Tłum ożywił się, rozkrzyczał, zaczęto znów dąć w rogi.

Steve przedzierał się przez zwarty tłum, który wypełniał Times Square ze wszystkich stron, przyciskający się do zamkniętych na głucho okiennic wystaw. Światło zalewało ich puste twarze i rozwarte usta migoczącą zielonkawą poświatą, jakby byli wiecem topielców w głębi morza.

Ponad nimi sekundowa wskazówka odmierzała ostatnie sekundy ostatniej minuty roku. Ostatnie chwile stulecia. - Koniec świata! - wrzasnął jakiś mężczyzna dość głośno, by być słyszany ponad tłumem, niemal opryskując śliną Andy'ego. - Koniec świata! - Andy sięgnął i stuknął go końcem pały. Mężczyzna rozwarł szeroko usta i złapał się za brzuch. Został uderzony dość mocno, by idea końca świata wyleciała mu na chwilę z głowy i by pomyślał raczej o własnych flakach. Parę osób, które to dostrzegły pokazywały go sobie ze śmiechem, ale ich rechot ginął we wszechobecnym ryku. Potem zniknęli z widoku wraz z owym mężczyzną, gdy tłum ruszył naprzód.

Z głośników zamontowanych na otaczających Times Square budynkach buchnął nierówny i pełen zakłóceń łomot bijących dzwonów kościelnych, fala za falą spływając na głowy tłumu poniżej.

- SZCZĘŚLIWEGO NOWEGO ROKU! - ryknęły tysiące gardeł. SZCZĘŚLIWEGO NOWEGO STULECIA! - Rogi, dzwonki i kołatki dołączyły się do jazgotu, zagłuszając wszelkie słowa.

Ponad nimi sekundowa wskazówka zakończyła pełny obrót, nowe stulecie postarzało się już o minutę. Zegar zniknął, a na jego miejscu pojawiła się gigantyczna głowa prezydenta. Wygłaszał orędzie, ale ani słowo nie przedarło się przez ryk tłumu. Wielka różowa twarz nie zwracała na to uwagi, z zapałem wygłaszała niesłyszalne zdania, wzniosła upominająco palec, by podkreślić niezrozumiałe przesłania.

Gdzieś z kierunku Czterdziestej Drugiej Ulicy dały się słyszeć słabe gwizdki policyjne. Andy skierował się w tę stronę, walcząc z tłumem ramionami i pałką. Dźwięk osłabł, zamiast tego usłyszał śmiechy i gwizdy. Kogoś popychano

pogardliwie, inny policjant, wciąż dmący w ściskany w zębach gwizdek, usiłował sforsować krąg ludzi przekazujących sobie z rąk do rąk ofiarę. Zawzięcie machał pałką, a gdy Andy przyłączył się do niego, grupa szybko się rozproszyła. Na chodniku pozostał wysoki mężczyzna, osłaniający rękami głowę przed wieloma plączącymi się wkoło stopami.

Twarz prezydenta zniknęła z ekranu i na tłum runęła muzyka. Raz jeszcze pojawiły się rozbiegane litery. Leżący na ziemi mężczyzna był chudy i miał na sobie jedynie jakieś szmaty i łachmany. Andy pomógł mu wstać; napotkał spojrzenie błękitnych, niemal przejrzystych oczu. - Bóg otrze wszelką łzę z oczu ich.. . - powiedział Piotr chrapliwie, skóra na, kościach policzkowych napięła się niebezpiecznie. - I śmierci już więcej nie będzie, ani smutku, ani płaczu, ani cierpienia już nie będzie: albowiem pierwsze rzeczy już przeminęły. I rzekł Ten, który siedział na tronie. Patrzcie, oto wszystko nowym czynię.

- Nie tym razem - powiedział Andy podtrzymując go, by znów nie upadł. - Może pan wracać do domu.

- Do domu? - Piotr zamrugał nieprzytomnie, gdy te słowa do niego dotarły. - Nie ma już domu, nie ma świata, gdyż nadeszło millenium i wszyscy będziemy sądzeni. Tysiąc lat minęło i Jezus Chrystus powróci, by objąć panowanie chwalebnie na Ziemi.

- Może to nie w tym stuleciu - Andy wyprowadził mężczyznę z tłumu. - Jest już po północy, mamy nowe stulecie i nic się nie zmieniło.

- Nic się nie zmieniło? - krzyknął Piotr. - To Armageddon, coś musi się zmienić! - Przerażony wyrwał ramię z uścisku Andy'ego i ruszył przed siebie, lecz odwrócił się, zanim przeszedł parę kroków.

- Świat musi się skończyć! - zawołał nabrzmiałym od cierpienia głosem. - Czar taki świat może trwać jeszcze przez tysiąc lat, taki świat? TAKI ŚWIAT? - a potem ludzie weszli między nich i zniknął.

Taki świat? Andy myślał o tym, przeciskając się przez rozpraszający się z wolna tłum. Był zmęczony; potrząsnął głową, by oprzytomnieć, wyprostował się. Służba się jeszcze nie skończyła.

Teraz, gdy entuzjazm opadł; ludzie zaczynali odczuwać zimno i tłum szybko topniał. W szeregach pojawiały się coraz liczniejsze luki, coraz nowe postacie odchodziły, pochylając głowy przed lodowatym wiatrem wiejącym od morza. Wokół narożnika Czterdziestej Czwartej Ulicy strażnicy z hotelu Astor oczyszczali z ludzi podjazd dla riksz. Wyjście od Ósmej Alei było jasno oświetlone, pierwszy gość pojawił się pod markizą w chwili, gdy Andy mijał róg. Futra, suknie wieczorowe, czarne spodnie smokingów pod czarnymi płaszczami z astrachańskimi kołnierzami. Musiało tam się dziś bawić dobre towarzystwo. Coraz więcej strażników i gości wylewało się ze środka i stawało przy krawężniku. Rozległy się kobiece śmiechy, ileś głosów zawołało: Szczęśliwego Nowego Roku!

Andy manewrował tak, by przeciąć drogę grupie ludzi wychodzących z placu i kierujących się w Czterdziestą Czwartą Ulicę. Gdy się obrócił, ujrzał Shirl. Stała na chodniku czekając na rikszę i z kimś rozmawiała.

Nie zwrócił uwagi ani na jej towarzystwo, ani na strój. Widział tylko jej twarz, poznawał charakterystyczny sposób, w jaki jej opadały włosy, gdy przechylała głowę. Śmiała się, mówiła coś pospiesznie do ludzi, którzy z nią byli. Potem wsiadła do rikszy, zaciągnięto daszek i zniknęła.

Wiatr niósł teraz gęsty, zmarznięty śnieg, który osiadł na popękanych płytach Times Square, kłębił się w podmuchach. Zostało już bardzo mała ludzi, a i oni kwapili się wyraźnie do odejścia. Andy nie miał już tu nic do roboty. Wypełnił obowiązek, mógł zacząć rutynowy obchód poza centrum. Przypiął pałkę do pasa i ruszył w kierunku Siedemnastej Alei. Jaśniejący wciąż ekran gigantycznego telewizora rzucał na jego płaszcz niepotrzebny nikomu blask, który skrzył się w każdym topniejącym płatku śniegu, aż w końcu Andy minął róg budynku i zginął w nieprzeniknionym mroku.

Przez ekran ponad pustym placem wciąż goniły się litery.

ZE SPISU POWSZECHNEGO: WYNIKA, ŻE STANY ZJEDNOCZONE MIAŁY NAJLEPSZY ROK, JAKI KIEDYKOLWIEK KOŃCZYŁ STULECIE

WIELKIE STANY ZJEDNOCZONE LICZĄ 344 MILIONY OBYWATELI

SZCZĘŚLIWEGO NOWEGO STULECIA!

SZCZĘŚLIWEGO NOWEGO ROKU!

Koniec